

MARGIT SANDEMO

CIENIE

Tajemnica czarnych rycerzy tom 05

Tytuł oryginału: „Skygger”

Streszczenie

Morten, lat 24, *Unni*, 21, *Vesla*, 22, i *Antonio Vargas*, 27, stwierdzają, że wplątali się w przerażającą historię, której korzenie sięgają głęboko w przeszłość. W ich rodzinach pierwotne dzieci umierają w wieku dwudziestu pięciu lat, trzeba więc zbadać całą sprawę bliżej. Młodzi zostają wciągnięci w upiorny wir wydarzeń, pojawiają się koszmarnie sny, czarni rycerze i ziejący nienawiścią mnisi.

Młodzi są narażeni na ataki i próby morderstwa ze strony jak najbardziej żywych ludzi. *Morten* zostaje ciężko ranny.

Starszy brat *Antonia*, *Jordi*, powinien był umrzeć cztery lata temu. On jednak zawarł pakt z hiszpańskimi rycerzami z odległej przeszłości i uzyskał coś w rodzaju pięcioletniego odroczenia śmierci w zamian za to, że podejmie próbę rozwiązania zagadki rycerzy, a tym samym przzerwania przekleństwa obciążającego ich potomstwo. W tym celu musiał jednak wejść do ich nierzeczywistego świata, a zakochana w nim *Unni* nie może się do niego zbliżyć z uwagi na bijący od niego chłód śmierci. *Jordi* nie ma czasu zająć się rozwiązaniem zagadki, ponieważ jego brat i przyjaciele są nieustannie atakowani, musi więc ich ochraniać. *Jordiemu* pomagają również wysoko postawiony hiszpański urzędnik *Pedro* oraz sympatyczna macocha *Mortena*, *Flavia*. Ale czas dany *Jordiemu* i *Mortenowi* wkrótce dobiegnie końca.

Vesla spodziewa się dziecka z *Antoniem*, co jeszcze bardziej komplikuje całą sprawę, oznacza bowiem, że *Jordi* i jego przyjaciele muszą rozwiązać zagadkę w czas, ponieważ w wypadku bezpotomnej śmierci *Jordiego* złe dziedzictwo przejdzie na pierwotne dziecko drugiego z braci, *Antonia*.

Wśród wrogów rycerzy znajduje się grupa fanatycznych mnichów z czasów świętej inkwizycji oraz współcześnie żyjący ojczym obu braci, *Leon*, wraz ze swoją bandą, a także współpracująca z nimi piękna *Emma*. Poszukują oni skarbu, który, jak się wydaje, ma jakiś związek z tajemnicą rycerzy.

Pięciu rycerzy to:

Don Galindo de Asturias, ród wymarły.

Don Garcia de Cantabria, ród wymarły.

Don Sebastian de Vasconia, przodek *Unni*.

Don Ramiro de Navarra, przodek *Mortena*, *Jordiego* i *Antonia*.

Don Federico de Galicia, najdostojniejszy wśród rycerzy, przodek *Pedra*.

Przekleństwo, które obciąża rycerzy oraz ich potomstwo, zostało rzucone w roku 1481

przez dwie znające się na czarach istoty: złego Wambę, stojącego po stronie inkwizycji, oraz dobrą Urracę, sojuszniczkę rycerzy. Urraca nie była w stanie zdjąć przekleństwa, mogła je jedynie złagodzić. W następstwie tortur, jakim poddawali ich mnisi, rycerze są niemi. Tylko Jordi może się z nimi porozumiewać na zasadzie przepływu myśli.

W trakcie kilku budzących grozę wizji wrażliwa Unni przeżyła to, co wydarzyło się w roku 1481. Ścięto parę młodych ludzi, a pogrążeni w żałobie rycerze wraz z Utracą, zabrawszy ciała zmarłych, wąską doliną przyjechali do nie zamieszkanego wioski. Unni i jej przyjaciele przypuszczają, że tam właśnie należy szukać odpowiedzi na zagadkę. Nikt jednak nie wie, gdzie leży owa odludna dolina.

Po wielu wstrząsających przygodach w Hiszpanii, gdzie przyjaciele znaleźli „skarby Santiago”, niedużą skrzynkę zawierającą kilka cennych elementów zagadki, wszyscy wrócili teraz do Norwegii. Wraz z babcią Mortena ukryli się w willi na przedmieściach i przez krótki czas przeżyli sielankę. Zły Leon został wyeliminowany z gry, jego ciało i duszę zajął czarnoksiężnik Wamba, który strzeże teraz skarbu na szczycie góry w północnej Hiszpanii, nie wiedząc dokładnie, gdzie się ten skarb znajduje. Pozostali przestępcy siedzą w więzieniach, w Norwegii lub Hiszpanii.

Jednakże zakochanemu w Emmie Mortenowi udaje się wyciągnąć dziewczynę, a także nowego szefa bandytów, Alonza, z więzienia. Zdradza im też, gdzie mieszkają przyjaciele. Emma i jej towarzysz zmierzają właśnie do willi wraz z wypuszczonymi z więzienia norweskimi kompanami.

W skrzyni Santiago znajdowało się również nieduże pudełko, zawierające śmiertelnie niebezpieczną truciznę, należącą do mnichów, której używali do uśmiercania pierworodnych dzieci z rodów rycerzy. Antonio otrzymał od rycerzy polecenie zniszczenia zawartości pudełka. Wyrusza właśnie w norweskie góry, żeby odnaleźć ostatnie składniki, niezbędne do sporządzenia antidotum.

Unni pozwolono czytać „dziennik grzesznej Estelli”, również odnaleziony w skrzyni Santiago, z której niestety zniknęło kilka ważnych dokumentów, skradziono je z samochodu. Gdzieś w jakimś miejscu tkwi nieznany fanatyk ze swym asystentem, który dzięki kradzieży zyskał wielką przewagę w rozwiązywaniu zagadki.

KILKA SŁÓW O BOHATERACH:

Unni Karlsrud

Adoptowana do Norwegii z Chile. Córka Hiszpanki i nieznanego ojca. Nieduża, dość mocno zbudowana, o ciemnej cerze i włosach. Pod względem urody nie może mierzyć się z dziewczętami z zaprzyjaźnionej grupy, lecz dla Jordiego jest najpiękniejszą dziewczyną na świecie. W wyniku odmownych odpowiedzi na wszystkie zgłoszenia do pracodawców, Unni straciła wszelką pewność siebie. Posiada natomiast niejaką wrażliwość na zjawiska nadprzyrodzone. Ma przed sobą jeszcze cztery lata życia.

Morten Anderse

Wysoki, mocno zbudowany blondyn o bardzo niebieskich oczach. Jeżeli przyjaciele nie zdołają uwolnić rycerzy od przekleństwa, to zostało mu zaledwie kilka miesięcy życia. Morten ma poczucie humoru i jest właściwie dobrą duszą, ale potrafi złościć się jak dzieciak, a niekiedy sprawia grupie mnóstwo kłopotów.

Antonio Vargas

Przystojny, bardzo atrakcyjny student medycyny, który zakochał się w Vesli. Uwielbia starszego brata, który opiekował się nim przez całe życie.

Jordi Vargas

29 lat, niezwykle fascynujący mężczyzna, którego trudno nazwać pięknym. Od dawna obiekt potajemnej miłości Unni. Jordi już od czterech lat powinien nie żyć i nikt, nawet on sam, nie wie, czy jest żywy czy martwy.

Vesla Ødegård

Dwudziestodwuletnia pielęgniarka. Blondynka, o przyciągającej uwagę urodzie, przypominająca boginię, o złotym sercu. W swej dobroci wykorzystywana całe życie przez matkę, dopóki nie zdołała się od niej uwolnić.

Gudrun Vik Hansen

Babcia Mortena ze strony matki, 66 lat, niekonwencjonalna osoba, uczestniczy w większości wydarzeń, zapominając o swym wieku. Zakochana w donie Pedro.

Don Pedro de Verin Y Galicia Y Aragon

Hiszpański szlachcic, 60 lat, był już umierający, lecz został ocalony przez rycerzy z powodu zaangażowania w ich sprawę. Blisko zaprzyjaźniony z macochą Mortena, Flavią, lecz przypadli sobie z Gudrun do serca od pierwszego wejrzenia.

Flavia

44 lata, włoska dyplomatka w Hiszpanii. Była żoną ojca Mortena aż do jego śmierci, później zaprzyjaźniła się z Pedrem. Wróciła do rodzinnych Włoch.

Elio Navarro

66 lat, starszy krewny braci Vargasów. Pomógł im w Hiszpanii, lecz musiał uciekać przed bandą Leona. Obecnie mieszka wraz z rodziną we Włoszech, pozostając pod opieką Flavii.

DALSI PRZYJACIELE:

Hege - śliczna, miła i, łagodnie mówiąc, nie najmądrzejsza. Kocha wszystkich, a wszyscy kochają ją.

Jørn - zapalony komputerowiec

Marius - entuzjasta piłki nożnej

ŹLI PRZECIWNICY:

Leon

60 lat, ojczym braci Vargasów. Zamordował ich rodziców, próbował też zabić Jordiego, którego nienawidzi. Obecnie czeka w Hiszpanii, aż się tu pojawią i odnajdą dla niego owiany legendą skarb.

Emma Lang

Niezwykle piękna młoda dziewczyna, była kochanka Leona, wnuczka złej Emilii, która zamordowała swego męża Estebana Vargasa. Emma jest również potomkinią Emile, mordercy młodego Santiago. Zdołała wkręcić się do grupy przyjaciół, lecz teraz wszyscy już wiedzą, z kim mają do czynienia.

Alonzo

Przystojny Hiszpan, nowy kochanek Emmy, spadkobierca Leona. Przewodzi wrogiej grupie.

POMOCNICY:

Czterech ludzi w Hiszpanii.

W Norwegii *KENNY*, *TOMMY* i *ROGER*.

OŚMIU ZŁYCH MNICHÓW Z CZASÓW INKWIZYCJI.

Pierwotnie było ich trzynastu, lecz Urraca zdołała unicestwić jednego, jednego Jordi, a Unni trzech.

Dawno zapomniana świętość tkwiła nieruchomo w oczekiwaniu. Las zdołał skryć ją już przed wieloma stuleciami, trawa i krzewy wcisnęły się do środka, otulając ją zielonym woalem.

Żadna prowadząca do niej droga już nie istniała. Nigdzie nie widać też było śladów, świadczących o tym, że kiedyś wokół świętej budowli znajdowały się ludzkie siedziby. Wszystko zostało zrównane z ziemią, ukryte. Któż chciałby się tu przedzierać przez nieprzebyte pustkowia?

Mimo wszystko jednak miejsce to kryło w sobie rozwiązanie tajemnicy, mimo wszystko mogło zapewnić spokój ducha i zamożność wielu ludziom, innym zaś przynieść ocalenie.

Cóż z tego jednak, skoro w zapomnienie odeszła nawet sama tajemnica?

CZEŚĆ PIERWSZA
NIE OGLĄDAJ SIĘ W TYŁ!

1

Antonio znów się zatrzymał. Nasłuchiwał w skupieniu, usiłując znaleźć jakieś wyjaśnienie.

Otoczająca go niezwykła cisza gór wprost krzyczała w powietrzu. Długi dzień go zwiódł. Nadszedł już późny wieczór, a on tego nie zauważył. Niskie słońce złociło krzewiastą roślinność i górskie szczyty. Cienie pod pionowymi ścianami wydłużyły się i pociemniały.

Nieoczekiwanie poczuł, jak bardzo jest tu samotny. A może jednak nie?

Po plecach przebiegły mu ciarki strachu. W plecaku niósł to straszne pudełko, na które czarownik Wamba, kiedyś, stulecia temu, rzucił swój zły urok. Napełnił je śmiertelną trucizną i dał mnichom, wiedzionym niszczącą żądzą zemsty. Donowi Felipe z Navarry i jego synowi Santiago udało się na przykrywce pudełka wyryć znak rycerzy, a tym samym wstrzymać niecne postęпки mnichów. Przez wiele lat nieszczęsny pojemnik leżał zakopany w ziemi, w skrzyni Santiago. Teraz Jordi i Pedro razem z Unni i Eliem go wykopali, Antonio zaś otrzymał od rycerzy polecenie:

„Unicestwisz pudełko z trucizną na zawsze!”

Antonio znów ruszył. Przedzierał się w górę wąską, krętą ścieżką, wydeptaną w ciągu stuleci przez bydło, którą teraz z obu stron usiłowały odzyskać zarośla jałowca. Gałązki uderzały Antonia w kostki u nóg. Jego kroki jednak ponownie zaczynały stawać się coraz wolniejsze. Z rosnącym zdziwieniem nasłuchiwał podejrzanych szelestów dobiegających zza pleców.

Jałowce nie mogą chyba wydawać z siebie takiego odgłosu, odgłosu skradających się kroków? I to w dodatku skradających się tuż za nim!

Zatrzymał się, dreptanie natychmiast ucichło.

To chyba ja sam muszę wywoływać tę iluzję, uznał. Coś w moim ubraniu albo w plecaku!

Przy tej ostatniej myśli znów po plecach przeszły mu ciarki, jak gdyby wzdłuż kręgosłupa przebiegła zimna jaszczurka.

Przecież za każdym razem, kiedy tylko usłyszał skradające się kroki, odwracał się i spoglądał w tył. I za każdym razem stwierdzał, że jest najzupełniej sam. Była zaledwie późna wiosna, daleko do pełni sezonu turystycznego.

Jak to często się zdarza, Antonio wyruszył w znajome okolice. Był teraz w górach Valdres. To oczywiście niepotrzebnie daleka podróż, karłowatą brzozę mógł przecież znaleźć

znacznie bliżej, ale babcia i dziadek, rodzice matki, którzy mieszkali swego czasu w Hadeland, mieli kiedyś letni domek w zachodniej części gór Valdres. Dlatego właśnie Antonio przyjechał aż tutaj. Długa podróż wydała mu się całkiem naturalna, z przyjemnością zresztą patrzył na góry dzieciństwa.

Szkoda tylko, że nie ma z nim Vesli! Bardzo chciałby jej pokazać te strony. Tego jednak, niestety, nie dało się zrobić. Zwłaszcza tym razem, kiedy miał przy sobie to potworne zaklęte pudełko.

Właściwie nie znajdował się już teraz w Valdres. Zamiast udać się w okolice dawnego letniego domku dziadków i tam oddać się nostalgii - chatka miała teraz nowych właścicieli - Antonio pojechał na drugą stronę jeziora Storę Flyvatn i wyżej do Lykkja, by przedostać się na tak zwany Kjølén, obszar graniczny pomiędzy dolinami Yaldres i Hallingdal, między okręgami Oppland i Buskerud. Płaskowyż Kjølén rozciągał się u stóp gór Hemsedal od strony Yaldres, czyli tej piękniejszej.

Gdyby tylko Antonio mógł zadzwonić do Vesli albo Jordiego czy też do innych! Niestety, zapomniał o naładowaniu baterii telefonu komórkowego, który zresztą leżał teraz w samochodzie, stojącym niedaleko Lykkja.

No cóż, tak czy owak wkrótce znajdzie się z powrotem w tym miejscu. Chciał jeszcze tylko zobaczyć jedną z tych położonych na uboczu, opuszczonych letnich zagród, na których widok, jak pamiętał, zawsze ogarniało go takie niezwykle uczucie. Otaczała je bardzo szczególna atmosfera, atmosfera świata, który dawno już przestał istnieć, atmosfera smutku, tęsknoty i spokoju.

Antonio popatrzył w dół, na drugą stronę Flyvatn. Nie mógł stąd dojrzeć „swojego” letniego domku, bo brzozowy las i tu zwyciężył nad wszystkim. Wprawdzie w miejscu, w którym chłopak stał, ziemia była naga, porośnięta jedynie niskimi krzewinkami, lecz dalej, przy brzegu Kjølén, zaczynał wznosić się las, zasłaniający widok. Antonio podążał ścieżką biegnącą blisko gór.

Robiło się coraz chłodniej, może powinien już zawrócić? Cienie stale się wydłużały, góry rzucały na Antonia mrok. Wciąż jeszcze zewnętrzne krańce płaskowyżu, którym szedł, leżały skapane w promieniach wiosennego słońca, wciąż jeszcze dało się powiedzieć, że jest widno, ale teraz prędko nadciągnie ciemność. Antonio domyślał się, że słońce znajduje się akurat na linii horyzontu.

A oto i zawałony mostek nad strumieniem, wezbranym teraz po wiosennych roztopach. Jego widok obudził w Antoniu wspomnienie o tym, jak to razem z Jordim wybrali się kiedyś wraz z dziadkami na moroszki. Był jeszcze wtedy bardzo mały. Starszy brat, Jordi,

nazbierał całe wiaderko, Antonio natomiast bardziej był zainteresowany siewkami, których monotony krzyk bezustannie niósł się ponad płaskowyżem. Antonio zerwał siedem jagód, trzy gdzieś zgubił, a resztę zjadł.

Zatrzymał się teraz przy mostku, znów usłyszał ten odgłos skradających się kroków.

W tej samej chwili zgasło światło słońca. Pustkowie okrył zimny, niebieski cień.

Antonio poczuł się nieswojo. Z wielką niepewnością odwrócił się jeszcze raz, chcąc zobaczyć tego, kto się za nim skrada. A może skradających się było więcej? Niekiedy wydawało mu się, że słyszy kroki kilku osób.

Niechętnie popatrzył przez ramię.

Nikogo nie było, ale czego się spodziewał?

Antonio celowo wybrał to miejsce, te wrzosowiska, noszące ślady minionych wypasów, z resztkami dwóch samotnych letnich zagród, położonych w takiej odległości od siebie, że, doprawdy, trudno to było nazwać sąsiedztwem.

Miał przecież odprawić pewien rytuał, na zawsze unicestwić pełne złej mocy pudełko, i to właśnie zamierzał uczynić tu, w tych górach. Lecz nie w pobliżu letnich zagród, bo to równałoby się niemal świętokradztwu. Zdecydował, że wyszuka takie miejsce, do którego nikt się nie zapuszcza.

Myśl o rytuale, który miał odprawić, przyprawiła go o mocniejsze bicie serca. Mogła to być niebezpieczna procedura, a on przybył tutaj o tak późnej porze. Nie miał też pewności co do piołunu - czy był prawdziwy, czy też to tylko pospolita bylica? Zgromadził już wszystkie pozostałe składniki, niezbędne do sporządzenia czarodziejskiej nalewki, z tym jednym wyjątkiem - piołunu nie był pewien.

Rycerze twierdzili, że może liczyć na pomoc w unicestwianiu pudełka. Doprawdy, taka pomoc z pewnością mu się przyda! Do tej pory bowiem podróż była istnym koszmarem, czające się, skradające kroki, to przecież bagatelka w porównaniu z tym, co wcześniej napędziło mu niezłego stracha.

Przeprawa z rodzinnego miasta do Valdres była po dziesięćkroć gorsza. Poszukiwanie piołunu sprowadziło go na manowce, a to, co przeżył wtedy...

Nie, nie chciał o tym myśleć, nie teraz, kiedy czuł się tak rozpaczliwie samotny i opuszczony, na budzącym grozę, pograżonym w wieczornym mroku pustkowiu, z niewidzialnymi duchami depczącymi mu po piętach.

Było już za późno na to, by skierować się z powrotem do samochodu, przecież pragnął zobaczyć tę starą, opuszczoną letnią zagrodę, znajdującą się tak niedaleko, no i chciał tu, wysoko, odprawić rytuał. Głupio byłoby teraz zawracać, doskonale wiedział, że później

bardzo by tego żałował.

Ale co począć z nadciągającą nocą? Nocleg w tym miejscu, przy wtórze kroków, które zdawały się go prześladować, nie wydawał się najlepszym pomysłem, a właściwie ani trochę dobrym.

Staął nieruchomo, patrząc na wieczorny, niebieski świat gór. Jakże piękny, choć przepojony smutkiem, a zarazem tak niebywale potężny.

Tu, w tym świecie, człowiek był zaledwie małą częścią wieczności.

Jednocześnie

„On to ma, on to ma naprawdę. Ma nasze bezcenne naczynie!”

„Co zrobimy? Co teraz zrobimy?”

„Zabijemy!”

„Nie. Na wieczku wciąż widnieje ten ohydny bezbożny znak”.

„To prawda. Niedobrze, żebyśmy my, wtajemniczeni słudzy boscy, zanadto zbliżali się do tego znaku”.

„Trzeba się go najpierw pozbyć, a wtedy maść znów będzie nasza i wówczas możemy zabić!”

„Tylko jak go usunąć? Nauczyli się już odpychać od siebie nasze słowa w snach, które na nich zsyłamy”.

„Ale ten człowiek jest słaby. To najzwyczajniejszy śmiertelnik”.

„Jednakże jest bratem swego brata - ostrzegł jeden z ośmiu pozostałych mnichów. - Musimy wykazać się przebiegłością”.

„Czego on tu szuka, na tych opuszczonych przez Boga wyżynach?”

„To niepokojące, mylące. Nie rozumiemy, o co mu chodzi”.

Tak właśnie rozmawiali w tym czasie, kiedy Antonio spoglądał na górski krajobraz z myślą, że chyba nigdzie nie można znaleźć się bliżej Boga aniżeli właśnie tutaj. I określenie „opuszczone przez Boga” było ostatnim, jakiego by użył w odniesieniu do tych okolic.

Dzień zaczął się spokojnie, zdradziecko spokojnie. Był niczym rzeka, która wolno toczy wody przez pogrążoną w ciszy i spokoju okolicę, nim ktoś wyżej w dolinie nie otworzy śluz.

Vesla uczyła się hiszpańskiego. Z jej pokoju dochodził nagrany na kasetę pedagogiczny głos z hiperpoprawną wymową i odpowiedzi Vesli, naśladowanej nawet ów nauczycielski ton.

Pedro i Gudrun byli w ogrodzie i rozmawiali o tym, jak można by go urządzić, chociaż wcale nie mieli zamiaru zatrzymać na stałe domu ani działki. Przyjemność sprawiała im po prostu możliwość przebywania razem i rozmowa o zwyczajnych, powszednich rzeczach bez nieustannego wrażenia, że serce przeskoczyło do gardła.

Morten wybrał się do sąsiadów. Z rozpiętego w przyległym ogrodzie hamaka dochodziły ściszone głosy jego i córki sąsiadów, Moniki. Była niedziela, wszystko tchnęło spokojem.

W pokoiku na poddaszu Unni mozoliła się przy odcyfrowywaniu znaków, mających wyobrażać litery w księdze Estelli. Zapisywała wszystko, co zdołała przetłumaczyć, ale zawstydzająco często musiała prosić o pomoc Jordiego. On zaś siedział na swoim łóżku, oparty o poręcz w głowach, i uważał, że pomaganie Unni jest bardzo przyjemne.

Odczytywanie zapisków Estelli trwało bardzo długo i Unni często czuła się zmęczona.

Przedzieranie się przez hiszpański tekst, spisany niestarannym pismem, a wywodzący się z początku siedemnastego wieku, liczący więc sobie blisko czterysta lat, było niezwykle mozolnym zajęciem. Unni doskonale zdawała sobie sprawę, że nie jest odpowiednią osobą do tej pracy. Jordi, Pedro czy Antonio o wiele łatwiej poradziliby sobie z tym zadaniem, lecz Unni była uparta, Jordi zaś wykazywał wiele cierpliwości. Unni prychnęła zniecierpliwiona.

- Znów jakby stado koni przebiegło po tym tekście - westchnęła.

Jordi natychmiast się poderwał, podszedł do niej i uważnie przyjrzał się zapiskom.

- To nie są żadne konie - uśmiechnął się, roztaczając wokół siebie aurę chłodu. - Ta litera to S, Unni, a ta tutaj to R.

- Pierwsza wygląda jak F, a druga przypomina jakąś rosyjską bukwę - mruknęła Unni nie bez złości. - No dobrze, co więc jest tu napisane?

Ale nawet Jordi miał problemy z odczytaniem słowa.

- Napisane jest tu... Nie, nie, to nie jest słowo dla ciebie. Nasza kochana Estella

zaczyna się wyrażać, łagodnie mówiąc, dość swobodnie. Odpocznij teraz sobie trochę.

Kolejny raz odłożyła długopis i położyła się na swoim łóżku. W głowie jej szumiało.

- Unni - odezwał się Jordi ze swego miejsca.

- Mmm?

- Wiesz, że nie mogę i nie wolno mi cię dotknąć.

- Owszem, wiem doskonale.

- Ale często o tym myślę.

Unni otworzyła oczy i popatrzyła w sufit, w jednej chwili najzupełniej przebudzona.

- Naprawdę?

- Tak. Czasami nawet o tym śnię. Unni dech zapało w piersiach.

- Opowiadaj!

- Nie, nie opowiem ci o snach. One są takie irracjonalne i takie... osobiste. Nie, nie, zapomnij o tym! Ale kiedy na ciebie patrzę... Kiedy patrzę na ciebie tak jak przed chwilą, gdy siedziałś przy stole, pochłonięta pracą, to naprawdę z trudem trzymam się z dala od ciebie. Bardzo bym chciał móc do ciebie podejść, położyć ci rękę na ramieniu pod pozorem pomocy przy tym tekście, a tak naprawdę po prostu chciałbym być blisko ciebie, czuć zapach twoich włosów. One zawsze niezwykle przyjemnie pachną. Myjesz głowę codziennie?

- Jordi, nie psuj nastroju! To, co powiedziałaś wcześniej, sprawiło mi wielką radość.

Jordi uśmiechnął się przelotnie, ale zaraz spoważniał.

- Moje ręce są takie puste, Unni - rzeki z bólem w głosie. - Tak bardzo chciałbym ująć w nie twoją twarz, te delikatne zaokrąglenia linii szczęki, które widzę, gdy siedzisz obrócona do mnie półprofilem. I kości policzkowe...

- Dziękuję. To bardzo miłe, chociaż przez moment wydawało mi się, że dajesz mi do zrozumienia, że mam grube szczęki.

- Och, wcale nie! I tak bardzo bym chciał dotknąć twoich ramion, są takie dziecinne.

- Pulchne?

- Czy ty musisz przeinaczać wszystko, co powiem?

- Przepraszam, taka jestem głupia. Mów dalej!

- Nie, teraz już mnie całkiem wybiłaś - oświadczył, wstając. - Wyjdziemy na dwór? Jest taka wspaniała pogoda, ja już całkowicie wyzdrowiałem, a tymczasem siedzimy tu i dusimy się na jakimś strychu.

Oczywiście Unni z radością zgodziła się mu towarzyszyć i, rzecz jasna, ogromnie była zła na samą siebie za to, że zepsuła taką piękną, rzadką chwilę, próbując obrócić w żart poważne wyznania Jordiego.

Dlaczego? Dlaczego?

Doskonale o tym wiedziała.

Dlatego, że była tak rozpaczliwie niepewna siebie i nie wierzyła, że komuś może się naprawdę spodobać. I dlatego, że nie chciała, aby ktoś wyobraził sobie, że myśli na swój temat nie wiadomo co.

Jakież to skomplikowane, jakąż niedojrzałość! Unni jednak nie potrafiła wydobyć się z grząskiego bagna. Jedynie wówczas, gdy niepokoiła się o innego człowieka, potrafiła zapomnieć o zastanawianiu się nad tym, jakie wrażenie wywiera na innych. A przecież wiedziała, że brak pewności siebie często bywa formą przesadnego zajęcia własną osobą. To takie upokarzające: była tak krótkowzroczna, taka głupia. Sama się przez to nie znosiła, a to uczucie wcale nie poprawiało jej własnego obrazu.

Na dole w korytarzu spotkali Vesłę, która sprawiała wrażenie bardzo niespokojnej.

- Czy Antonio nie powinien już wrócić do domu? - spytała. Oczy miała szeroko otwarte, wyraźnie pełne strachu.

Jordi zmarszczył czoło.

- No tak, oczywiście. Kiedy miałaś od niego jakieś ostatnie wiadomości?

- Już dawno temu. Próbowalam dodzwonić się do niego na komórkę, ale...

- Ja też - przyznał Jordi. - Ale słyszałem tylko „abonent niedostępny”.

Gudrun i Pedro przyszli z ogrodu. Oni także dali wyraz temu samemu niepokojowi. Od dwóch dni już nie mieli żadnych wieści do Antonia.

To zbyt długi czas na szukanie miejsca, w którym rośnie karłowata brzoza.

- Na pewno zatrzymuje go piołun. Niełatwo znaleźć taką anonimową roślinę - stwierdziła Gudrun, próbując ich pocieszać. - Ale powinien wyłączyć sekretarkę i sam odebrać telefon!

- Jeśli dzisiaj nie da nam znać, co się z nim dzieje, jadę go szukać - oznajmił Jordi zdecydowanie, starając się nie dopuścić do tego, żeby w jego głosie zabrzmiał lęk. Nikogo jednak nie oszukał.

- Ale przecież nie wiemy, gdzie on może być - przypomniała Unni.

- Ja się trochę domyślam - odparł Jordi. - Veslo, co on ci mówił? Nie wspominał, dokąd się wybiera? Kiedy z nim ostatnio rozmawiałaś?

- Ojej, tyle pytań naraz! Ale zaczynając od ostatniego odpowiem: wczoraj rano. Powiedział mi wtedy, że wydaje mu się, że znalazł piołun, zwiędłą roślinkę z zeszłego roku z małym szarozielonym pędem, który zerwał. Ale równie dobrze mogła to być bylica pospolita,

one są przecież takie do siebie podobne. Chociaż Antonio mówił, że wahał tę roślinę i nie kichał. Miała bardzo charakterystyczny zapach, tylko, jak dodał, nie wie, dla której z nich jest on charakterystyczny.

- Ach, tak, doskonale! - powiedział Jordi cierpko. - Ale gdzie wtedy był? Dokąd się wybierał? Mówił coś o tym?

- Nie wprost. Powiedział, że teraz została mu jeszcze tylko karłowata brzoza i że wie, gdzie jej szukać.

- Ale przecież po karłowatą brzozę wcale nie trzeba wybierać się daleko - wtrąciła Gudrun. - Wystarczy dotrzeć na najbliższy górski płaskowyż albo torfowisko.

- Oczywiście - kiwnął głową Jordi. - Wydaje mi się jednak, że wiem, dokąd pojechał Antonio. W okolicy zapamiętane z dzieciństwa, w Valdres. Zawsze tęsknił do tych miejsc. A podróż tam trwa zaledwie trzy, cztery godziny.

- No właśnie - dodał Pedro znaczącym tonem. - I trzeba liczyć trzy, cztery godziny z powrotem. Nie potrzeba aż dwóch noclegów.

Ta konkluzja odebrała im mowę. Wszyscy przecież myśleli o tym samym, tylko nie mieli śmiałości nic powiedzieć na głos.

W końcu Unni przerwała milczenie.

- Nigdy nie mogłam pojąć, jaki związek z czarodziejskim płynem ma karłowata brzoza. Chodzi mi o to, że wszystkie pozostałe składniki: szałwia, tymianek, imbir, mirt, oliwki... To przecież hiszpański przepis. Lawenda i piołun... Owszem, można sobie wyobrazić dodanie ich do czarodziejskiej nalewki, ale karłowata brzoza? Przecież to nie jest roślina lecznicza!

- Ha! - ożywiła się Gudrun. - Spytaj tylko starych Lapończyków, oni wiedzą wszystko na temat dobroczynnych, wręcz magicznych właściwości karłowatej brzozy. I zresztą ona na pewno rośnie również w Hiszpanii, nieprawdaż, Pedro?

- O, tak. Z pewnością można ją znaleźć w Pirenejach.

- No to teraz lepiej już rozumiem - stwierdziła Unni mędrkowato, lecz z widocznym roztargnieniem. - A tak przy okazji, pamiętacie, że jakiś czas temu wspomniałam o pewnej swojej teorii?

- Dotyczącej tej straszliwej maści? Owszem - powiedział Jordi. - Przedstaw nam ją teraz.

- Dobrze. A więc jestem pewna, że i wy wszyscy myśleliście podobnie jak ja. Mieliśmy okazję poznać wiele świadectw o tym, że czarne, budzące grozę postaci pojawiały się w pobliżu naszych ciężko dotkniętych przekleństwem przodków w momencie ich śmierci i

że w niektórych wypadkach zauważono również to przekłete puzderko.

- Zgadza się - przyznał Pedro.

Unni mówiła teraz z większym zapałem.

- Wydaje mi się, że to mnisi własnoręcznie zabili naszych przodków, podając im w taki czy inny sposób potworną maść Wamby...

- No, tak - stwierdził Jordi. - Mnie również przyszło to do głowy. Mów dalej, Unni!

- Ale w końcu don Felipe i jego syn Santiago popsuli wszystko tym nieszczęsnym hipokrytą, tym niby to bogobojnym szatanem. Don Felipe wyrył na wieczku pudełka znak rycerzy, a poza tym on i Santiago byli na tyle bezczelni, że zakopali tę ich śmiercionośną zabaweczkę głęboko w ziemi.

- Od tej pory mnisi nie mogli już mordować swoich ofiar - uzupełnił Pedro. - I wtedy postanowili pozyskać sobie pomocników.

- No właśnie - powiedziała Unni zadowolona z tego, że jej teoria została zaakceptowana. - Znaleźli chętną do współdziałania ofiarę w osobie przepojonego nienawiścią Emile. On był pierwszym ze sprzymierzeńców mnichów.

- Później zaś zaczęli rekrutować nowych, wywodzących się z tej samej, pełnej zła rodziny. Emilię, może innych, których jeszcze nie znamy, a teraz Emmę.

- No a Leon? - spytała Vesla.

- Leon nie jest z nimi spokrewniony, on jest potomkiem jednego z mnichów. Potrafię sobie wyobrazić, że ci potworni mnisi doprowadzili do spotkania Leona z, na przykład, Emilią. Oboje są ulepieni z tej samej gliny - teoretyzował Pedro. - Tak się to mogło ułożyć.

Wszyscy się z nim zgadzali.

Krótką dygresja Unni niczego nie zmieniła. Lęk o to, co mogło przytrafić się Antoniowi, nie przestawał zaciskać szponów na ich sercach.

Jordi objął Veslę za ramiona.

- Wszystko będzie dobrze, przekonasz się. Antonio potrafi się o siebie zatroszczyć.

Twarz dziewczyny pobladła z niepokoju.

- Wczoraj rano przez telefon wydawał się taki dziwny.

- Co masz na myśli?

- Jego głos brzmiał tak, jakby znalazł się pod jakąś presją, jakby był bardzo zdenerwowany. Wręcz wystraszony, tak mi się wydawało. Usiłowałam się dowiedzieć, czy coś się stało. Najpierw mi nie odpowiedział, a potem spytał w roztargnieniu: „Co mówiłaś?”. Powtórzyłam pytanie, a wtedy on odrzekł: „Czy coś się stało? Nie, a co miałyby się stać?”

Czekali.

- Co potem? - spytał Jordi.

- Nie, nic więcej, zwykła rozmowa. Zakończył tylko prośbą, żebym uważała na siebie, i dodał jeszcze kilka... bardzo osobistych słów.

- Rozumiemy - powiedziała Gudrun. - I to cię niepokoi?

- Tak. Antonio nigdy wcześniej nie był taki. Wydawał się... No tak, właśnie tak, jak powiedziałam. Wystraszony. Niepewny. Jakby zdezorientowany. Nie wiem. Musiał przeżyć albo odkryć coś, co porządnie nim wstrząsnęło.

Jordi odetchnął głęboko.

- Jeśli dzisiaj nie będziemy mieć od niego żadnych nowych wiadomości, to jadę go szukać. Spróbuję go odnaleźć. Dobrze wiem, że nie chciałby, żebym się w to mieszał, ale przecież nie mogę po prostu tak tutaj siedzieć.

Wszyscy doskonale go rozumieli. Vesla w podziękowaniu uścisnęła go za rękę.

Pedro odczuł niegodne zaniepokojenie o samochód. To jego wóz bowiem pożyczył Antonio, drugi miał jakieś problemy z olejem. Teraz był już zreperowany, ale wówczas tak bardzo się im spieszyło i Pedro szlachetnie pożyczył mu swoje auto. W tej chwili żałował podwójnie, po pierwsze, że to zrobił, po drugie zaś, że miał w sobie tyle wyrachowania, by myśleć o samochodzie, gdy być może Antonio znalazł się w niebezpieczeństwie.

Miał nadzieję, że Najświętsza Matka Niebieska wstawi się za chłopakiem.

3

Wszyscy akurat siedzieli przy stole i jedli śniadanie, kiedy zatelefonowała Emma. Zadzwoniła do Mortena, który, jak wiedziała, jest najsłabszym ogniwiem w grupie.

Twarz chłopaka jakby zgasła w panice.

Emma mówiła bardzo zwięźle.

- Właśnie wyjeżdżam z Oslo. Jesteś chyba w domu?

- Tak, ale...

- W porządku, wobec tego jadę do ciebie. Klik, koniec rozmowy.

Morten słabym głosem wyjaśnił przyjaciółom, o co chodzi.

Atmosfera zrobiła się, łagodnie mówiąc, napięta.

- Co teraz? - spytał cicho Pedro.

I wtedy Morten jakby w ciągu kilku sekund dorósł.

- Pozwólcie mi zająć się Emmą - oświadczył z mocą i przedstawił swój plan.

Pozostali z uznaniem pokiwali głowami.

W ciągu zaledwie kilku minut uprzątnęli z domu wszystkie osobiste rzeczy, odprowadzili dalej samochody, a śniadanie postanowili dokończyć w restauracji. Nie mieli ochoty opuszczać swojej przyjemnej willi na zawsze, i to tylko z powodu kilkorga łotrów.

Morten został sam w pustym domu. Nie był już teraz tak przekonany, że poradzi sobie z czekającą go próbą. Nakrył prześcieradłami kanapę i fotele Vesli, które Emma mogła przypadkiem rozpoznać, usunął też wszystkie ślady przyjaciół. Jego własna walizka czekała spakowana.

Serce waliło mu w piersi. Teraz albo nigdy. Oto miał szansę pokazać innym, że nie jest tylko wiecznie sprawiającą kłopoty doczepką. Nie wolno mu teraz popełnić żadnego błędu. Ale denerwował się tak, że w żołądku wszystko mu się wywracało.

Odwagi, Mortenie! Przecież przyjaciele o wiele więcej razy niż ty stawali twarzą w twarz ze śmiercią!

Jak postępują bohaterowie, żeby dodać sobie otuchy? Robią przysiady, głośno pokrzykując: „Raz! Dwa!”? Czy też odgryzają czubek niezapalonego cygara? A może najzwyczajniej robią w spodnie, chociaż nikt tego nie widzi?

Sam zaliczał się chyba do tej ostatniej kategorii.

Emma przyjechała samochodem, lecz wcale nie sama. Wprawdzie tylko ona z niego wysiadła, Morten dostrzegł jednak wewnątrz pojazdu trzech mężczyzn, tkwiących tam na

podobieństwo milczącej groźby. Teraz naprawdę nie wolno ci popełnić żadnego błędu, Mortenie!

Nie było wśród nich Leona, ale zobaczył innego Hiszpana, i jeszcze dwóch, którzy musieli być Norwegami.

Przełknął strach. To mogło się okazać niebezpieczniejsze, niż w pierwszej chwili przypuszczał.

Na Boga, jaka ta Emma piękna! Zawsze była dziewczyną z marzeń Mortena, ale wiedział już przecież, że wszystkie próby tłumaczenia jej przed przyjaciółmi podejmował jedynie po to, żeby sobie samemu zamydlić oczy. Emma wcale nie była tak niewinna i czysta, jak twierdził. Naprawdę była kochanką Leona, chociaż on nie chciał w to wierzyć. Należała też do obozu wroga i tamtym razem, kiedy kochała się z bezradnym, unieruchomionym Mortenem, nie zrobiła tego wcale z miłości. Chciała się jedynie przekonać, czy Morten będzie w stanie spłodzić dziecko, które byłoby potomkiem jednego z rycerzy, i stwierdziła, że z jego strony nic im nie grozi.

To była bardzo gorzka pigułka do przełknięcia. Morten przez jakiś czas miał ochotę iść do Emmy i wyjaśnić, że teraz wszystko już z nim w porządku, ale wówczas poznał prawdę o powodach tamtejszej wizyty dziewczyny. Marzenie pękło jak bańka mydlana.

A mimo to gdy patrzył teraz na nią, jak idzie w kierunku schodów, kolana się pod nim ugięły. Musiał z całych sił wziąć się w garść, żeby odegrać zaplanowane przedstawienie.

- Cześć, Morten! - zagruchała Emma, uśmiechając się najbardziej uwodzicielskim ze swoich uśmiechów. - Doprawdy, stanąłeś już na nogi! I taki jesteś męski! Mój Morten...

Na Boga, czy widać, jak spocilo mu się czoło? Uśmiech nie wypadł najlepiej, było to raczej skrzywienie.

- Emmo, nie zdążyłem ci przez telefon powiedzieć, że właśnie opuszczam tę willę. Wracam do domu.

Emma prześlizgnęła się obok niego i stanęła w drzwiach. Morten kątem oka dostrzegł, że trzech mężczyźni wysiedli z samochodu i rozproszyli się po ogrodzie.

- Wyprowadzasz się? - spytała Emma, wzrokiem omiatając korytarz. - Ale chyba nie mieszkasz tu sam?

- Tamci już się wynieśli. Ja jestem ostatni. Nie mogliśmy tu mieszkać, bo podwoili cenę za wynajem. Wprowadzi się teraz ktoś nowy.

Emma od razu przestała być tak pokojowo nastawiona.

- A gdzie się podziała reszta?

- No cóż, Antonio i Vesla dostali pracę w jakimś szpitalu. Babcia wróciła do siebie, a

pozostali pojechali do Hiszpanii wraz z Pedrem. Mówili, że znaleźli jakiś ślad.

- A ciebie ze sobą nie zabrali? Morten wymownie wzruszył ramionami.

- Jestem rekonwalescentem.

Emma przeszła już do pokoju dziennego i Morten ruszył za nią. Tylko nie podnoś tych prześcieradeł, próbował ją zaklinać w duchu. A tam przecież stoi półka z książkami Antonia, całkiem o tym nie pomyślałem, ratunku! Co będzie, jak ona zacznie odczytywać napisy na grzbietach? Przecież to podręczniki medycyny!

Ale Emmę bardziej interesowało to, gdzie pojechali inni.

- Do jakiego miejsca w Hiszpanii się wybierali? - spytała obojętnie.

Morten znów wzruszył ramionami. Byle tylko nie weszło mu to w nawyk!

- Do Santiago de Compostela, tak mi się przynajmniej wydaje. Mnie nigdy nie chcą ze sobą zabrać. Podobno słyszeli o jakimś masywie górskim w Galicji. (Morten miał nadzieję, że widać coś podobnego na mapie, bo inaczej jego oszustwo mogłoby zostać prędko odkryte). Antonio i Vesla też się zresztą z nimi wybrali, dostali tydzień urlopu ze szpitala.

- Tylko tydzień? W ciągu tygodnia niewiele zdołają załatwić. A co za ślad znaleźli?

- Tego ja nie wiem. Oni mi nigdy nic nie mówią.

- Ale może powiedzieli coś twojej babci? Morten nagle się wystraszył.

- Nie, ona jest za stara. Też jej nigdy niczego nie zdradzają. Stale tylko szepczą coś po kątach.

Starął się, żeby w jego słowach zabrzmiała złość i uraza. A miał w tym pewne doświadczenie.

Emma odwróciła się i przeszła z powrotem do korytarza. Dzięki Bogu!

- A tak przy okazji, nie wiesz, gdzie jest Elio?

- Elio? A kto to, na... Ach, ten? Czy on nie mieszka w Hiszpanii?

Emma westchnęła. Podeszła teraz bliżej do chłopaka, obróciła się tak, by mógł powąchać jej perfumy za uchem, miękkim policzkiem otarła się o jego policzek. Morten wystraszył się, że Emma zaraz otrzyma dowód powrotu jego sił witalnych, i starał się zmrozić się od środka, lecz to na zbyt wiele się nie zdało, bo Emma była rzeczywiście niezwykle pociągająca.

- A co oni znaleźli w Nawarrze, kochanie?

- W Na... Na... znaleźli tam coś?

Paznokcie Emmy delikatnie wpiły mu się w kark.

- Już wiem! - roześmiał się Morten odrobinę histerycznie. - Znaleźli jakąś starą skrzynię.

- Ach, tak?

- Nic w niej nie było, jakiś zardzewiały miecz i inne śmiecie, kompletnie już zniszczone ze starości. To bardzo rozczarowało nas wszystkich. A skąd ty zresztą o tym wiesz?

Doświadczył już, że atak jest najlepszą formą obrony. Emma natychmiast się odsunęła. Straciła dla niego wszelkie zainteresowanie.

- Możesz jechać z nami - rzuciła lekko. Ach, na Boga, nie!

Przeprosił, tłumacząc, że jest już umówiony z kimś, kto ma go zabrać.

Emma pocałowała go lekko i niemal tańcząc, zeszła ze schodów. Morten przez otwarte okno łazienki nasłuchiwał, co się dzieje. Usłyszał, że dziewczyna wsiada do samochodu, a mężczyźni także zajęli swoje miejsca.

- Znów jedziemy do Hiszpanii.

- Co takiego? Znów? Och, nie...

Trzasnęły drzwiczki samochodu, ruszyli z takim przyspieszeniem, że aż żwir trysnął spod kół.

Morten odetchnął z ulgą, uśmiechając się triumfalnie. Zadzwoił do przyjaciół w restauracji. Telefon odebrała babcia.

- „Mission imposible” zakończona. (Głupio, że w pędzie nie wpadł na angielski odpowiednik słowa „zakończona”). Jutro możecie znów się tu wprowadzić.

- Doskonale, Mortenie! - odparła Gudrun. - Ale posłuchaj tylko: Jordi i ja ustaliliśmy, że gdy tylko Antonio bezpiecznie wróci do domu, we trójkę razem z Unni wyjeżdżamy do Selje. Oni chcą zanieść kwiaty na grób twojej matki. Pragną też mi pomóc w szukaniu dziennika mojego męża, jedynej rzeczy, której nam brakuje.

- Jeszcze jeden dziennik! - westchnął Morten. - Nie wystarczy tych, które już mamy? Zresztą ja też pojedę z wami do Selje.

Zakończyli rozmowę.

Morten był dumny z siebie. Wydawało mu się, że w ciągu ostatniej godziny urósł o kilka cali. Ale, do diabła, cały, calutki zlany był zimnym potem!

Nagle znów szarpnął nim niepokój. Antonio? Gdzie on mógł się podziać? Dlaczego nie wraca? Co się z nim stało?

Poprzedniego wieczoru

Była mroczna, późnowiosenna noc, kiedy Antonio dotarł w końcu do Kvannegro. Wszystkie barwy się zatarły, choć kontury i przedmioty widział jeszcze wyraźniej. Na szczytach gór jaśniały zmarszczki śniegu, po drodze musiał się nawet przedzierać przez gęstą, zbitą zaspę. Wciąż jeszcze daleko było do pełni lata, dopiero w sierpniu większość śniegu stopnieje.

Zadrzał z zimna. Nocny wiatr szeleścił wśród niskiej roślinności. Antonio nigdy nie lubił zmięzchu. Szara godzina zawsze budziła w nim gwałtowną nostalgię, poruszała wir wspomnień z minionych lat.

Ze smutkiem myślał o dziewczętach, i młodych, i starszych, w letnich zagrodach, które spędzały długie miesiące tak niesłychanie daleko od ludzi. Niekiedy dni bywały cudownie piękne, lecz wieczory i noce jakże samotne! Niekóre lata były deszczowe, szczyty gór na całe tygodnie kryły się w chmurach. Dojenie, wyrabianie serów, koszenie trawy. Nadzieja na wizytę gości w niedzielę. Marzenia o tym jednym, wybranym, który nie przychodził. Nieproszeni goście, włóczędzy, nierzadko niszczący życie młodym dziewczętom. Strach przed dzikimi zwierzętami lub gromadami chodzących wolno młodych byczków, spotkania ze stadami koni, które walczyły ze sobą o to, by podejść jak najbliżej. Odwiedziny z drugiej letniej zagrody, Lasgret, wybranie się tam z wizytą, przyjemne godziny spędzane na rozmowie. Dogłądanie stada, pilnowanie, żeby wszystkie zwierzęta przed wieczorem znalazły się pod dachem. Wyczekiwanie na te, które późno wracały do domu. I zawsze obecne w myślach duszki przyrody i czary...

A mimo wszystko te dziewczęta tęskniły za powrotem do letnich zagród. Każdej wiosny na nowo rozpalala się nadzieja i wyczekiwanie. A kiedy robiły się już za stare na długą pieszą wędrówkę... Siadały wtedy przy oknie w domu w rodzinnej wiosce i spoglądały na góry, pozwalając, by wspomnienia i marzenia szarpały za serce.

Ku zdumieniu Antonia na terenie starej letniej zagrody wznosił się niedawno zbudowany dom. Antonio nie umiał stwierdzić, czy to stary budynek odnowiono, czy też wzniesiono go całkiem od fundamentów. Tak naprawdę nie bardzo pamiętał, jak wyglądała zagroda w czasach jego dzieciństwa, zresztą wszystko tu teraz było niewyraźne, spowite w czarodziejski mrok wiosennej nocy.

Kiedy ostatnio odwiedził to miejsce jako dziecko, kilka samotnych owiec szukało

schronienia w maleńkiej obórce, wśród bali posiwiających ze starości i od wiatru. Teraz za wcześnie jeszcze było na pojawienie się drobnych zwierząt.

Ponad letnią zagrodą górował szczyt Kvannegrønsi ze swą nagą skalną ścianą. Z bliska nie wyglądał jednak tak groźnie, jak z drugiej strony Flyvatnet. Tutaj osłaniał od wiatru, stanowił doskonałe tło dla zagrody, a rozpościerający się stąd widok był naprawdę fantastyczny. Jak nazywa się to wielkie górskie jezioro w dole na Kjølen? Antonio szperał w pamięci. Hundsenwatnet, tak, właśnie tak. Ach, te rozległe bagniska i wrzosowiska dookoła! Nic dziwnego, że mieszkańcy Hemsedal wzniesli tu swoje letnie zagrody już wieleset lat temu, choć zapewne pędzenie trzody i przenoszenie dobytku wokół masywu skalnego musiało trwać całutki dzień.

Głęboko w dole dostrzegał przeblysłk swojego górskiego jeziora. Storę Flyvatn. Na jakiej wysokości się rozciągało? Dziewięćset metrów nad poziomem morza. A Hundsenwatnet tysiąc czterysta, tysiąc pięćset metrów. Sam znajdował się w miejscu położonym na wysokości co najmniej tysiąca pięciuset metrów nad poziomem morza. A jak wysokie są te szczyty? Skogshorn miał około tysiąca siedmuset metrów, a Troymsf jell tysiąc osiemset. Skurvefjell i Skarvanfjell coś pomiędzy. Święte góry, święte obszary jego dzieciństwa. Cudownego dzieciństwa!

Nie! Antonia przeszedł zimny dreszcz. Jego dzieciństwo wcale nie było cudowne. Zły człowiek, Leon, napełnił te czasy bólem, a także smutkiem i lękiem. Nieustającym lękiem. I nienawiścią, nienawiścią tak mocną, że aż dusza się od niej kurczyła i zmuszała do pożytkowania sił w niewłaściwy sposób. Także strachem, że Leon znów się pojawi.

Ale tu, wysoko w górach, Antonio był bezpieczny. Tu Leon nie mógł do nich dotrzeć, ani do niego, ani do jego wspaniałego, nieszczęśliwego starszego brata Jordiego.

Palce miał zlodowaciałe, wsunął więc dłonie do kieszeni. Nie mógł teraz zawrócić i powędrować z powrotem do samochodu, to było niemożliwe. W dodatku pamiętał, że każdej wiosny w okolicach Kjølen włóczył się niedźwiedź, oddalający się od zimowej gawry. Antonio nie miał ochoty na spotkanie z misiem w nocnym mroku.

Znalazł miejsce osłonięte od wiatru pod ścianą domu i ukucnął pod nią. Jeśli spadnie deszcz albo zrobi się za zimno, będzie musiał włamać się do środka. Uznał to jednak za ostateczność.

W poczuciu, że oto całkowicie oddaje się samotności i wieczności, Antonio skulił się w swoim bezwietrznym kącie. Odkąd się zatrzymał, nie słyszał żadnych kroków, w ogóle niczego. Oczywiście więc musiały to być tylko i wyłącznie przywidzenia.

Mimo to jednak wiedział, że nie jest sam. To, co skradało się za nim przyczajone,

skryte, pojawiło się również tutaj, czekało. Tylko na co?

Przygnębiony wyciągnął nóż i wbił go w drewniany bal nieopodal. To prastary sposób ochrony się przed wszelkiego rodzaju czarami.

Nie, tak dalej się nie da! Otrząsnął się z niemądrych myśli, najwyraźniej halucynacje nie są rzeczą niezwykłą, kiedy człowiek czuje się zanadto osamotniony na pustkowiu.

Antonio ogrzewał się myślą o Vesli, o jej szczodrej, bezwarunkowej miłości, o bliskości jej ciała, kiedy kładli się spać. Przeszył go dreszcz zaniepokojenia, gdy pomyślał o dziecku, którego oczekują. Czy to słuszne z ich strony? Czy powinni wydawać na świat dziecko, z góry skazane na życie przez zaledwie dwadzieścia pięć lat?

Jeśli Jordi umrze, to rzeczywiście tak będzie. Do jego urodzin, a zarazem urodzin Mortena, pozostało jeszcze niewiele ponad siedem miesięcy. Dla Mortena będą to dwudzieste piąte urodziny, dla Jordiego zaś trzydzieste. Następna w kolejce jest Unni, za trzy i pół roku. A potem? Potem dziecko Antonia.

Ta świadomość przycisnęła go do ziemi, niemal w nią wbiła, tak ciężka była do zniesienia. Muszą sobie z tym poradzić! Muszą rozwikłać tę skomplikowaną zagadkę! A teraz wyznaczono mu do wykonania zadanie, ma unicestwić to pudełko rodem z samego piekła.

Wokół Antonia panowała cisza, szum strumienia dochodził z bardzo daleka, wiatr tylko szeptał wśród bezlistnej górskiej roślinności.

Nadciągnęły myśli, których wcale sobie nie życzył. Wspomnienie pierwszej nocy przeżytej podczas tej wyprawy. Pierwszy dzień. Niezwykłe wydarzenia, jakim musiał stawić czoło.

Wspomnienia towarzyszyły mu również we śnie.

Opuścił wilę z silnym postanowieniem. To on otrzymał zadanie od rycerzy. On, nie Jordi. Zlecieli to jemu, Antoniowi. Uważali go bowiem za kogoś w rodzaju osoby znającej się na leczniczych czarach czy też może uczonego medyka. Przypuszczał, że w piętnastym wieku medycy nie cieszyli się szczególnie dobrą sławą, zapewne oskarżano ich o uprawianie czarnej magii, rzucanie zaklęć i wszelkie oszustwa. Ale rycerze okazali mu zaufanie. Antoniowi cieplej się od tego zrobiło na sercu. Poradzi sobie.

Antonio często zatrzymywał się po drodze, szukał piołunu na brzegach rowów. Kilkakrotnie się zdarzyło, że inni kierowcy przystawali z pytaniem, czy czegoś nie zgubił, proponując mu swoją pomoc. Zbywał ich jednak machnięciem ręki i odpowiadał świadczącym o wdzięczności uśmiechem.

Zabrał ze sobą przewodnik po roślinach, który ciągle wnikliwie studiował. Bylica

piołun czy też bylica pospolita? Obie rośliny należały do rodziny *Artemisia*, obie miały mocny aromatyczny zapach i były bezwstydnie do siebie podobne. Różniły się jedynie barwą kwiatów, a on przecież nie miał czasu czekać aż do sierpnia, by je obejrzeć.

Często, gdy tkwił pochylony nad kępką zdrewniałych zeszłorocznych łodyg, wyczuwał w pobliżu obecność czegoś nieprzyjemnego, nieokreślonego. Wsiadając z samochodu, zawsze starannie go zamykał, bo przecież nikomu nie wolno zbliżać się do plecaka, w którym leżał pojemnik z trucizną, czy też do plastikowych pojemniczków z ziołami, wstawionych do turystycznej lodówki.

Nie potrafił stwierdzić, dlaczego czuje się tak nieswojo. W miarę jednak, jak pierwszy dzień jego wyprawy mijał, wrażenie to stawało się coraz dotkliwsze. Kilkakrotnie gotów był niemalże przysiąc, że dostrzegł coś kątem oka, gdy jednak kierował wzrok w tamtą stronę, okazywało się, że nic tam nie ma. Kiedy zdarzyło się, że oddalał się od samochodu i zapuszczał na leśne ścieżki, nieprzyjemne uczucie przeradzało się w panikę, tak dojmującą, że odwracał się na pięcie i biegł z powrotem. Ale w samochodzie wcale nie było sympatyczniej. Świadomość, że pudełko z potwornym jadem mnichów cały czas leży w bagażniku, sprawiała, że ciarki przebiegały mu wzdłuż kręgosłupa.

Czyżby to mnisi? Nie, oni przecież nie mogli zbliżyć się do znaku rycerzy, widniejącego na wieczku pudełka. Śmiertelnie się go wszak bali, to musiało być coś innego.

Raz po raz nachodziło go przedziwne przeświadczenie, że powinien zrobić coś z plecakiem. Nie mógł tego pojąć. Miałby zdjąć z niego pokrywę? Przecież plecak nie miał żadnej pokrywy!

„Zdejmij wieko, wyrzuć je!”

Dlaczego stale powtarzał w myślach te bzdury? To trochę tak, jakby w głowie utkwiała melodia, której nie można się pozbyć.

Podczas kolejnego przystanku otworzył bagażnik i - jak gdyby będąc myślami zupełnie gdzie indziej - sięgnął do plecaka.

„Wyrzuć pokrywę”.

Ręka znieruchomiła w pół ruchu.

Kto mówił mu coś podobnego?

Ach, tak, ci którzy opowiadali o podróży samochodem z Hiszpanii. Podobne zajście miało miejsce w jakimś zajeździe w Niemczech.

Antonia zmroził chłód. To wcale nie on bez przerwy powtarzał słowa o pokrywce. To ktoś inny wbił mu do głowy tę myśl. Chodziło o wieczko pudełka z trucizną! Jakiż był do tej pory głupi!

Ze złością zatrzęsnał bagażnik, wsiadł do samochodu i ruszył z szarpnięciem.

- Tak łatwo mnie nie dostaniecie! - wysyczał przez zęby, zły głównie na samego siebie o to, że myślał tak powoli.

Dotarł już stosunkowo daleko i zaczynał robić się głodny. Rozglądał się właśnie za jakąś przydrożną gospodą, kiedy rozdzwonił się telefon komórkowy.

Jakiś metaliczny chłodny głos z przykrością oznajmił mu, że, niestety, Vesla znalazła się w szpitalu z powodu poważnych krwawień i bardzo prosi, żeby Antonio natychmiast do niej przyjechał.

Oczywiście przeżył szok i na nic się nie oglądając, zawrócił samochód.

Zaciskając mocno dłonie na czarnej kierownicy, pognął na południe między jasnymi złotozielonymi drzewami po niedopuszczalnie wąskich drogach.

Vesla? Ach, nie, jej nic złego nie może spotkać! Tylko nie ona! Teraz, kiedy wreszcie znalazł dziewczynę, którą potrafił pokochać, taką, która go rozumiała, i była tylko dla niego, a on również gotów był uczynić dla niej wszystko.

Na pewno coś złego z dzieckiem. Poronienie!

Antonia przeszył gwałtowny ból, niczym szloch. Przecież rozmawiali o aborcji, lecz oboje się przed tym wzbranieli. Oboje chcieli mieć dziecko ze sobą. Po prostu.

Może mimo wszystko takie rozwiązanie byłoby najlepsze?

Nie. To słowo rozniosło się w Antoniu jękiem, wywołało o wiele większy smutek, aniżeli się tego spodziewał. Przecież pragnął tego dziecka, już się zaczął do niego przyzwyczajać. Karl - Astrid, tak je nazywał w myślach. Teraz, kiedy mogło go już nie być, pustka w nim aż krzyczała.

Był tak wzburzony, tak głęboko rozczarowany i zatopiony w myślach, że dojechał dość daleko, nim w końcu przyszło mu do głowy, że powinien gdzieś zatelefonować. Może do szpitala? Nie, nie znał tego numeru na pamięć.

Wyciągnął telefon i zadzwonił do willi. Ktoś chyba powinien być w domu.

Odebrała Unni.

- Cześć, Antonio, jak się miewasz?

- Ze mną wszystko w porządku - odparł krótko niewyraźnym głosem. - A co z Veslą?

- Z Veslą? Nie mam pojęcia, przez cały dzień zajmowałam się tłumaczeniem tego opornego siedemnastowiecznego hiszpańskiego tekstu. Ale chwileczkę... Widzę, że Vesla razem z Gudrun są w ogrodzie, zbierają żonkile. Zaraz po nią pobiegnę!

- Nie, nie, zaczekaj, nie trzeba! - oznajmił bez tchu. Nie chciał ich niepokoić. - Wiesz, muszę kończyć, bo dojeżdżam do skrzyżowania. Pozdrów wszystkich!

Przecież nie było tu żadnych ulic! Antonio zjechał na pobocze, starając się uspokoić skołataną nerwy, płuca i serce, a przede wszystkim rozum.

To musiało być jakieś oszustwo, po to, żeby odciągnąć go od zadania. A on dał się złapać na lep, nawet bez odrobiny namysłu. Oczywiście tłumaczył go niepokój o Vesłę, to godne pochwały, ale co by było, gdyby nie zadzwonił do przyjaciół...

Burzył się wewnątrz na myśl o zmarnowanym czasie. Musiał teraz ponownie pokonywać wszystkie te kilometry, które raz już zostawił za sobą.

Przygnębiony, zawrócił samochód i skierował go znów na północ. Gdy niedługo potem zauważył zajazd, zatrzymał się przy nim. W gniewie i na dodatek o pustym żołądku niedobrze się jedzie. Lepiej trochę podładować akumulatory.

Teraz już nie pozwoli się oszukać kolejnym fałszywym telefonem. Wyłączył komórkę i rzucił ją na tylne siedzenie pod wszystkie plastikowe torby z okazami piołunu, ewentualnie bylicy, ewentualnie czegoś zupełnie innego.

Po chwili namysłu wybrał najlepsze egzemplarze i zabrał je ze sobą do kafeterii.

Zajadając naprawdę smaczny kotlet i przeklinając w duchu różowy sos „Tysiąc Wysp”, w którym utonąła cała sałatka, przyglądał się trzem kruchym roślinkom, które rozłożył na plastikowej torbie na stoliku. Przytrzymując łokciem otwarty na odpowiedniej stronie klucz od oznaczania roślin, usiłował wyciągnąć jakieś inteligentne wnioski. Ale roślinki były takie maleńkie, wiosennie niewyrośnięte.

Jakiś młody chłopak siedzący przy sąsiednim stoliku z zainteresowaniem przyglądał się jego poczynaniom.

- Przepraszam, zauważyłem, że ta twoja elegancka limuzyna ma hiszpańskie numery - odezwał się również po hiszpańsku. - Sam też jesteś Hiszpanem?

Antonio przyświadczył, choć z pewną rezerwą, bo nie miał ochoty zabierać żadnych autostopowiczów.

Ale chłopakowi wcale o to nie chodziło. Powiedział, że tu mieszka, uczy się w szkole rolniczej i dlatego bardzo zainteresowało go, czym zajmuje się Antonio.

Zabrzmiało to bardziej sympatycznie. Antonio z uśmiechem opowiedział mu o swoich kłopotach w odnalezieniu piołunu. Wyjaśnił, że brakuje mu go do zielnika.

Chłopak, ciemnowłosy, o bystrych, mądrych oczach, przyjrzał się uważnie jego roślinkom.

- Nie - stwierdził. - Żadna z nich nie jest *ajenjo*. Żadna.

- Żadna z nich nie jest piołunem? Ale przecież tak się od siebie różnią!

- Masz jednak szczęście, *amigo* - oświadczył chłopak, a oczy mu rozblęły. - Wiem,

gdzie rośnie prawdziwy piołun!

- Prawdziwy piołun? - rozjaśnił się Antonio. - To dla mnie najlepsza wiadomość. Gdzieś daleko?

- Nie, wcale nie - wyjaśnił chłopak. - Koło tartaku nad jeziorem. Nie musimy nawet jechać tym wspaniałym samochodem. Przejdziemy na piechotę.

Antonio nie posiadał się z radości. Znalezienie pomocy prawdziwego eksperta w tej jakże trudnej sytuacji to doprawdy szczęśliwy traf. Ponieważ obaj skończyli już jedzenie, wyszli na zewnątrz. Antonio zabrał jeszcze plastikową torebkę na przechowanie znaleziska.

Chłopak, drobny i szczupły, w czarnej koszuli i czarnych spodniach, szedł przed nim dość szeroką ścieżką, drogą na skrót do jeziora połyskującego pomiędzy pniami drzew. Nie przestawał opowiadać o swojej norweskiej narzeczonej.

Wkrótce dotarli już do nieczynnego zakładu, w którym najwyraźniej mieścił się zarówno tartak, jak i młyn. Chłopak, machając ręką, przywołał Antonia do wielkiej hałdy odpadów, ciągnącej się poza baraki.

Szli wzdłuż szczytu hałdy, aż do jej najbardziej odległego końca. Tam chłopak wskazał w dół stromej ściany. I właśnie tam, w dole, w odległości zaledwie metra od nich, Antonio spostrzegł kilka wspaniałych okazów tego przeklętego piołunu.

- Cudownie! - oświadczył z radością. - Już schodzę, żeby je zerwać.

Dał krok ku brzegowi i ten osunął się pod nim. Pod spodem ziała pustka.

Antonio spadał w dół, odruchowo wymachując rękami w powietrzu, lecz było tu zbyt stromo i za wysoko. Nie miał się czego przytrzymać, dopóki nie znalazł się w połowie drogi do jeziora. Dopiero tam zawisnął na rękach wczepionych w kawałek starego żelastwa, które wystawało z hałdy, nie wiadomo już od jak dawna. Wolał o tym nie myśleć.

Popatrzył w górę.

- Pomóż mi! - poprosił.

Ale na górze nie było nikogo. Chłopak zniknął.

Zardzewiałe żelazne sprężyny wbijały mu się w dłonie. Poczuł teraz, że porządnie się potłukł o rozmaite rupiecie wystające z hałdy odpadów. Czy możliwe, że uratowało go stare podwozie samochodowe? A jeśli to coś mniejszego, to jak długo wytrzyma? Wystarczyło jedno spojrzenie w dół jako ostrzeżenie, że za wszelką cenę nie może już niżej spaść. Śmieci były tam ostrzejsze i bardziej najeżone, a poza tym lot zakończyłby się na usypisku kamieni nad brzegiem jeziora.

Dla jednej nogi znalazł wreszcie oparcie w czymś skrytym wśród usypiska trocin. Jedyna droga wiodła w górę, innych możliwości nie miał.

Antonio nie posiadał się ze złości na samego siebie. Że też okazał się taki naiwny! Ale jak mógł cokolwiek przypuszczać... ?

Skąd oni wiedzieli? Jak to możliwe, że tu trafili?

Kim jest ten młody chłopak? Czyżby to jeden z pomocników Leona?

Tutaj?

To się nie zgadzało.

Samochód! Wspaniały samochód Pedra i wszystko to, co się w nim znajdowało! Pudełeczko z trucizną!

To przypomnienie dodało mu nowych sił. Podciągnął się do góry. Nie był w stanie sprawdzić, czy wciąż ma w kieszeni kluczyki do samochodu, musiał się skoncentrować na wydostawaniu się z pułapki. Momentami zupełnie nie miał się czego złapać, ale pomagał mu upór.

Był śmiertelnie przerażony myślą, że ów młody chłopak mógłby zawładnąć plecakiem.

Palce zakopywały się w trociny, szukały czegoś, czego mógł się przytrzymać. Szczyt hałdy się zbliżał.

Kiedy Antonio był tuż przy piołunie, z gniewem wyrwał roślinkę i z trudem jedną ręką wsunął ją do kieszeni, mało przy tym nie zlatując. Drugą ręką przytrzymując się bardzo niepewnego oparcia, spojrzał w otchłań, która stała się jeszcze głębsza teraz, kiedy wspiał się wyżej. Vesla, pomyślał, muszę wracać do Vesli! Dziecko nie może wychowywać się bez ojca. Chcę zobaczyć mego syna. Albo córkę! Nie powinien myśleć jak południowiec, przecież córka zostanie powitana z równą serdecznością! Na Boga, musi ich jeszcze zobaczyć! Veslę i dziecko, z którym gawędził tylko na żarty, przykładając rękę do brzucha ukochanej. Mówił

jej wówczas, z jaką radością powita Karla - Astrid.

Nagle znalazł się na górze. Jak do tego doszło, nie pamiętał, tak bardzo koncentrował się na tych, którzy zostali w domu. Wczołgał się na szczyt hałdy, przez chwilę leżał nieruchomo, starając się odzyskać normalny oddech, a potem podniósł się i ruszył biegiem. Szybciej chyba Antonio Eng Vargas nie biegł nigdy w życiu. A kluczyki były na swoim miejscu, dzięki Bogu!

Bolały go liczne otarcia i jedna większa rana na kolanie. Spadał przecież do tyłu i w locie zdołał się obrócić. Przypuszczał, że w kolano zraniła go jego ostatnia deska ratunku, czyli żelazne sprężyny. Tym, jak może wyglądać jego ubranie, w ogóle się nie przejmował.

W końcu zobaczył kafeterię. Był już teraz bardzo zmęczony, ale nie przestawał biec.

Na parkingu grupka ludzi.

Odruchowo otrzepał ubranie, poprawił je trochę. Złamał zeszłoroczne łodygi wystające mu z kieszeni.

Ludzie stali zgromadzeni wokół jego samochodu czy też raczej samochodu Pedra, pięciu mężczyzn dyskutujących o czymś z powagą. Antonio prędko zerknął na samochód, pojazd wyglądał na nie uszkodzony.

Kiedy spytał, co się wydarzyło, zaczęli z zapalem opowiadać jeden przez drugiego. Poprosił najstarszego o szczegóły.

Okazało się, że mężczyźni uratowali samochód przed jakimś dzikusiem.

- W czarnym ubraniu? - dopytywał się Antonio.

- No właśnie! Widać chciał się dostać do auta, ale stał tylko, ciągnął i szarpał za klamkę jak rozwścieczony wariat, a potem zaciśniętą pięścią zaczął walić w szybę i biegał od jednych drzwiczek do drugich.

- Czy próbował się dostać również do bagażnika? Ależ tak, oczywiście, ale kiedy podniósł kamień, żeby wybić szybę, wtedy właśnie oni się włączyli. Przybiegli wszyscy, a młody chłopak uciekł. Dwóch za nim pognało, ale był za szybki i zniknął w lesie. Czyżby Antonio go znał?

No cóż, czy znał? Ale pokazując na stan swojego ubrania i liczne krwawiące otarcia na skórze, oznajmił, że ten młody chłopak musi być chyba szaleńcem, bo przed chwilą próbował zepchnąć Antonia w przepaść.

Co prawda chłopak wcale go nie popchnął, właściwie w ogóle się nie dotknęli. Pewne jednak było, że młodzieniec nie zachował się ładnie. Mówił, że chodzi do szkoły rolniczej.

Do szkoły rolniczej? Nie ma takiej nigdzie w pobliżu. A i tę położoną dalej zamknięto już kilka lat temu. Nie, nigdy przedtem nie widzieli tego chłopaka w tych okolicach. Może

powinno się zgłosić o nim policji?

- Ja się tym zajmę - oświadczył Antonio spokojnie i wręczył mężczyznom tysiąckoronowy banknot do podziału jako podziękowanie za ocalenie jego samochodu. Nie bardzo go było na to stać, lecz uważał, że mężczyźni na to zasłużyli. Na pewno zdołają sobie za tę nagrodę kupić kilka ładnych puszek piwa.

Potem Antonio czym prędzej opuścił to miejsce.

Uznał, że zgłaszanie występków tego młodego bandyty na policji nie ma sensu, z całą pewnością nie pochodził z tych okolic, a zresztą najprawdopodobniej był już daleko stąd.

Z niezwykłą jak na siebie podejrzliwością Antonio zerknął we wsteczne lusterko. Ale nie, nikt go nie śledził.

Nie wolno mu popadać w histerię.

To wszystko zapewne jedynie przypadek. Młody chłopak, który nabrał ochoty na wspianiały samochód i postanowił wyłączyć z gry właściciela. Ot i tyle, nic więcej!

Przejechawszy kilkadziesiąt kilometrów, Antonio zatrzymał się, żeby obejrzyć swoje rany. Wyjął apteczkę, którą zawsze ze sobą woził, i oczyścił zranienia na dłoniach i ramionach. Musiał też zmienić koszulę i kurtkę, bo te, które miał na sobie, były już dość zużyte, jeśli nie wprost zniszczone.

Gorzej przedstawiała się sprawa z kolanem. Nogawka spodni była rozdarta i sztywna od zakrzepłej krwi. Antonio z wielką starannością oczyścił ranę, bo przecież z hałdami śmieci i zardzewiałym żelastwem nie ma żartów. Potem zalepił kolano dużym plastrem, naciągnął zapasowe spodnie i znów poczuł się niemalże elegancki.

Tymczasem jednak pora zrobiła się późna. Wszystkie te kłody, które rzucano mu pod nogi, pochłonęły niewiarygodnie dużo czasu. Nie zdąży dziś dotrzeć w góry.

Musi znaleźć jakieś miejsce na nocleg.

Ale kiedy się czegoś potrzebuje, bardzo trudno to znaleźć. Musiał długo jechać, nim wreszcie trafił na otwarty kemping z kilkoma małymi domkami. Zaraz zjechał na jego teren. Niestety, tego roku śniegi stopniały gwałtownie i część domków znalazła się pod wodą. Lecz jeśli zgodziłby się przyjąć jeden ze starych pokojów w budynku położonym na uboczu, to...

Antonio był śpiący i zmęczony, zabrakło mu już sił na szukanie innego lokum na noc. Zgodził się więc, podziękował i wziął klucz. Samochód zostawił tuż przed domkiem, tak żeby widzieć go z okna. Nie miał ochoty na kontakt z kolejnymi złodziejaskami.

Potem zadzwonił do Vesli. Z wielką ulgą i przyjemnością słuchał jej głosu. Nie wspomniał jednak ani słowem o tym, na co był narażony. O takich rzeczach będzie mógł porozmawiać dopiero z Pedrem albo Jordim.

Jednocześnie

Pięciu czarnych rycerzy trzymało się w bezpiecznej odległości od pudełka z trucizną. Z wysokości końskich grzbietów spoglądali w dół na kemping.

Don Galindo westchnął:

„Naiwny jest ten młody człowiek, który zna się na leczeniu”.

„To prawda - przyznał przodek Antonia, don Ramiro. - Powinniśmy byli wybrać brata”.

„Nasz sprzymierzeniec, don Jordi de Navarra, nic nie wie o leczniczych ani magicznych ziołach, w dodatku potrzebny jest w tym domu, w którym mieszkają, gdyby tam przypuszczono atak”.

Don Ramiro nie krył niezadowolenia.

„Nie rozumiem, z jakiego powodu mieszkają tak nędznie. Dlaczego nie zamieszkają w zamku, jak przystoi naszym potomkom?”

Ale don Federico nie słuchał skarg przyjaciela. Zamyślił się.

„Nie podobają mi się te niebezpieczne wypadki, jakie oni podejmują przeciwko młodszemu z braci.”

„Musimy być bardzo czujni. Te bezwłose nędzne psy robią wszystko, byle tylko dopaść swego śmiercionośnego pudełka!”

„Teraz się trzęsą - stwierdził don Sebastian z wyraźną satysfakcją. - Boją się, że trucizna ulegnie zniszczeniu”.

„Musimy osłaniać tego młodego alchemika, ile tylko mamy do tego mocy”.

„Uważacie, że on jest alchemikiem?”

„Nauka z pewnością zdołała odnaleźć kamień mędrców - rzekł z mocą don Garcia. - Jestem pewien, że nasz młody przyjaciel opanował sztukę przemieniania w złoto zwykłych metali i również tego, że za pomocą kamienia mędrców można leczyć wszystkie choroby i wrócić człowiekowi młodość”.

Pozostali pokiwali głowami, poprawili się w siodłach, gotowi czuwać nad młodym Antoniem, chociaż nie mogli włączyć się bezpośrednio do akcji. Nie pozwalało na to owo małe potworne pudełeczko, zawierające spowitą czarami truciznę.

W małym pokoiku było ciepło. Na szczęście okno dało się uchylić u góry, powstawała w ten sposób szczelina, którą nikt nie mógł przedostać się do środka. Antonio zrobił się pod tym względem bardzo wyczulony.

Zabrał ze sobą dwa najładniejsze okazy piołunu, czy też wcale nie piołunu, i wstawił je do miednicy, do której nalał odrobinę wody. Jedną z nich był ten prawdziwy piołun, ten, który rósł na hałdzie odpadów. Przynajmniej za to mógł dziękować młodemu łobuzowi. Antonio widział teraz, że ta roślina bardzo różni się od pozostałych, które muszą być najwyraźniej bylicą pospolitą.

Górne oświetlenie nie było najlepsze. Nad łóżkiem jednak umocowano dodatkową lampkę, rzadko spotykane udogodnienie w tak prostym miejscu noclegowym jak to. Gdyby tylko miał ze sobą coś do czytania!

Widocznie jednak na kempingu sprzątano nie najstaranniej, bo spod dolnej płyty nocnego stolika wystawał róg jakiejś książki w miękkich okładkach. Antonio wyciągnął ją, razem z zalegającym kurzem.

Co to takiego? Poważny podręcznik seksuologii! Wielkie nieba, pomyślał, uśmiechając się lekko. Z pewnym dystansem do tematu przewrócił stronicę, zauważył, że książka jest podzielona na rozdziały, bogata ilustrowana, zawiera całe mnóstwo rysunków. Mój ty Boże, ciekawe, jaki to młody chłopak albo dziewczyna korzystali z tego, żeby się wprawiać?

Uśmiechnął się pod nosem.

Nagle jednak w oko wpadł mu pewien tytuł, który zaraz gdzieś przepadł i Antonio musiał go szukać. Jest wreszcie...

„Jak można pomóc kobiecie, która nigdy nie doznała orgazmu?”

Vesla! Przecież oni właśnie z tym mieli problem! Antonio wiedział, że Vesla lubi się z nim kochać, lubi czuć go w sobie i z całą pewnością sprawiało jej to jakąś radość. Nigdy jednak nie zdołała dotrzeć do szczytu. Ach, próbowali już wszystkiego, wykazywali się cierpliwością, starali się w ogóle o tym nie myśleć, lecz niestety, pod tym względem Vesla była jak martwa, nic się nie działo.

Vesla nigdy nie udawała i z tego Antonio bardzo się cieszył. Kochał się z paroma dziewczętami, które tak postępowały, i bardzo łatwo było je przejrzeć na wylot. Zachowywały się tak, jakby grały w jednym z tych marnych filmów pornograficznych, w

których kobiety gryzą palce, oblizują wargi i przewracają oczami, jęcząc przy tym z przejęciem. Symulowanie orgazmu nie jest możliwe, kobiece spełnienie wygląda inaczej.

Leżał tak i myślał, jakby był doświadczonym uwodzicielem, a przecież tak naprawdę minęło ładnych kilka lat, odkąd dziewczęta uganiały się za nim i mógł wśród nich przebierać do woli. To zresztą na dłuższą metę nie było wcale interesujące.

Teraz znalazł wreszcie swoją przystań. On też był odpowiedzialny za to, żeby Vesla doświadczyła wreszcie owych niezwykłych doznań.

Zaczął czytać ten rozdział.

Wiele z tego, o czym pisano, już wypróbowali, ale i tak bez żadnego rezultatu. Punkt G, ach, nie, to zbyt trudne, zresztą też nie podziałało. Różne pozycje, owszem, to też znali. Miłe rozmowy, czułość...

Nie, wszystko na nic. Nikt nie poświęcił chyba dłuższego czasu na grę wstępną niż Antonio, nikt nie mógł czuć się bardziej kochany niż Vesla.

Ale to coś nowego! Twarda brutalna rzeczywistość, bezpośrednio i bezwzględnie, bez zbędnych czułości. Cóż, może warto spróbować?

„Zmysłowość u niektórych kobiet tkwi głębiej”, pisał autor podręcznika. Dalej następował opis.

Nie brzmiało to zbyt dobrze, lecz była w tym pewna szansa. Możliwe, że pożądanie zamknęło się gdzieś u niej w środku, jakby cofnęło się, schowało po nieprzyjemnych przeżyciach w okresie dorastania. Autor książki mógł mieć co do tego pewną rację.

Która godzina? Czy można jeszcze zatelefonować do Vesli?

Nie, nie. Był kwadrans po drugiej w nocy, jeszcze by się przestraszyła, pomyślałaby, że przytrafiło mu się coś złego.

Po części była to zresztą prawda, lecz Antonio akurat o tym nie zamierzał opowiadać, dopóki nie wróci do domu.

Zatęsknił teraz bardzo za powrotem, zapragnął spróbować tego, co proponował autor książki.

Nagle drgnął. Z zewnątrz dobiegł jakiś odgłos. Antonio wstał z łóżka i na palcach podkradł się pod okno. Książka nie wzbudziła w nim pożądania, bo też i nie to miała na celu. Zawierała suche, lecz być może bardzo cenne informacje. Teraz jednak należało o tym zapomnieć.

Noc była jeszcze mroczna, lecz odrobinę zaczęło się już rozjaśniać. Nikogo nie spostrzegł, nikt nie kręcił się przy samochodzie. Plecak oczywiście zabrał ze sobą do pokoju. Leżał teraz dość daleko, w kącie, lecz Antonio miał przez cały czas na niego widok. Zgasił

już światło, kiedy usłyszał dźwięk. Czy powinien otworzyć drzwi i wyrzeć? Nie, nie będzie podejmował niepotrzebnego ryzyka. Przecież musi iść w góry, odnaleźć karłowatą brzozę i...

I co potem? Nikt przecież nie podpowiedział mu, w jaki sposób ma unicestwić przeklętą zawartość pudełka. Czy ma je sam otworzyć? Czy też...?

Nawet Jordi nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

Ostrzegął tylko Antonia przed tym. Ale wobec tego w jaki sposób...

Powiedzieli, że otrzyma pomoc. Owszem, na pewno mu się to przyda!

Ale przecież rycerze nie mogą się do niego zbliżyć!

Nagle poczuł, jak bardzo jest samotny w tym zadaniu.

I nie tylko to, był również sam na kempingu. Samochód właściciela zniknął, a wcześniej mężczyzna wspomniał, że nie ma innych gości. Antonio nie czuł się całkiem bezpieczny, stojąc przy oknie i wyglądając na opustoszałe domki i przyczepy kempingowe. Jezioro lekko połyskiwało w nocnym świetle o barwie szarej mgły. Nie słychać już było nigdzie żadnego odgłosu, nawet z drogi nie dochodził szum, bo o tak późnej porze nie jeździły tędy samochody.

Antonio wrócił do łóżka.

Niemal natychmiast w jego głowie rozległ się nie znoszący sprzeciwu głos:

„Zdejmij wieczko, wyrzuć je!”

Antonio postanowił nie zwracać na to uwagi, jakby był to najzwyczajniejszy szum w uszach, *tinnitus*. Jako student medycyny doskonale wiedział, jak bardzo dokuczliwa potrafi być ta przypadłość dla osób, które na nią cierpią. Wielu ludzi potrafiło zignorować słabsze symptomy lub też po prostu nauczyć się z nimi żyć, dla innych *tinnitus* potrafił być prawdziwym piekłem hałasu. Stopnie tej choroby były liczne i bardzo różnorodne.

Zatykanie uszu nie pomagało. Nie miał radia, które mógłby włączyć, nic takiego, co zagłuszyłoby wciąż powtarzające się polecenia czy też raczej rozkazy.

Antonio usiłował myśleć o czymś innym, zaakceptować te głosy i zignorować je. Mógł teraz zrozumieć, jak się czują niebezpieczni dla innych pacjenci oddziałów psychiatrycznych, którzy twierdzą, że jakiś głos nakazuje im zabić. Chorzy najczęściej słyszą głos Boga albo Diabła.

Głos, który słyszał Antonio, z pewnością nie był głosem Boga. To odzywali się mnisi, słudzy Inkwizycji, a im bliżej było raczej do zupełnie innego miejsca, chociaż zadawali ludziom cierpienie w imię niebios.

Po jakimś czasie jednak zasnął. Z najzwyczajszego, najczystszeo zmęczenia.

Nie było wcale dziwne, że śnili mu się mnisi. Zachowywali się okropnie natrętnie, wbijali w niego swoje czarne oczy, pochylając się nad łóżkiem. Antonio miał bowiem jeden z tych naprawdę nieprzyjemnych snów, które rozgrywają się w tym samym pomieszczeniu, w którym się śpi, i przez to są wyjątkowo realistyczne.

Antonio próbował się przed nimi bronić, wymachiwał rękami, chcąc ich odpędzić od siebie, ale mnisi wywierali na niego coraz większy wpływ. „Zdejmij pokrywkę, zdejmij wieczko! Wyrzuć je, wyrzuć daleko!”

Nagle coś dotknęło jego policzka. A to dopiero! Teraz doprawdy już przesadzają!

Ale to, co musnęło jego twarz, było tak delikatne i miękkie, łaskotało go w nos i usta, uparcie, niemal z rozpaczą.

Antonio przebudził się i natychmiast poderwał do góry.

I przeżył szok. Okazało się, że siedzi na podłodze w rogu pokoju, tuż przy plecaku, i usiłuje go rozsznurować!

Ach, nie, nie, to niemożliwe! Podniósł się tak gwałtownie, że aż stracił równowagę i musiał oprzeć się o ścianę.

A po pokoju wciąż coś krążyło, coś leciutkiego, cichego.

Widocznie przez wąską szczelinę w oknie dostał się do środka jakiś ptaszek. Ach, są aż dwa! Spozrzegł, że krążą pod sufitem.

To one właśnie musiały go zbudzić uderzeniami skrzydełek po twarzy. Tak, to się mogło zgadzać.

- Dziękuję wam, moi mali przyjaciele - szepnął.

Trzeba je wypuścić, ale bez zapalania światła, to mogło je tylko przestraszyć.

Antonio przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi, do środka wpadło chłodne wiosenne powietrze. Potem odsunął się od drzwi jak najdalej z zamiarem skierowania ptaszków na tę drogę.

Jeden wkrótce znalazł wyjście, zaczął cichutko, jak gdyby dając sygnał towarzyszowi, i wkrótce oba wyfrunęły.

To się stało niezwykle szybko, pomyślał Antonio. Na ogół wypędzenie zabłąkanego ptaka z pomieszczenia nie należy do najłatwiejszych rzeczy pod słońcem.

Czy powinien wyruszać już dalej?

Nie, był zbyt zmęczony, potrzebował snu. I to jak najwięcej. Kolejny dzień zapowiadał się ciężki, jeśli wszystko miało się toczyć tak jak do tej pory.

Ale plecak trzeba wynieść. Usłyszy, jeśli ktoś będzie próbował dobrać się do bagażnika samochodu. Ze środka pojazdu nie można się było dostać do bagażu.

No dobrze, ale jeśli sam zostanie zmuszony do otwarcia bagażnika? Cóż, powinien się od tego przebudzić. Na wszelki wypadek włączył alarm.

Bosymi stopami szedł po mokrej, lodowato zimnej trawie. Bacznie rozejrzał się jeszcze dokoła, zanim wsunął się z powrotem do środka i starannie zamknął za sobą drzwi na klucz.

Dziwne. Teraz kiedy wyniósł plecak, wszystko wydawało się jakby o wiele bezpieczniejsze.

Nareszcie Antonio mógł spokojnie zasnąć. Nie dręczyły go już żadne koszmarne sny, mnisi najwyraźniej musieli się poddać.

Ach, gdybyż było tak dobrze! Postanowił, że gdy tylko nadejdzie rano, zaraz zatelefonuje do Vesli. Już się na to cieszył.

Tymczasem poranek przyniósł mu kolejną niespodziankę. Po pierwsze, spał nieprzyzwoicie długo. Obudził się dopiero przed dziesiątą. A przecież wcale nie miał takiego zamiaru, liczył, że wyruszy bardzo wcześnie, czekała go wszak daleka droga.

Niespodzianka nastąpiła, kiedy postanowił się umyć.

W miednicy leżały dwie roślinki, tak jak je tam ułożył. Wydawały się najzupełniej świeże. Coś się jednak wydarzyło.

Na prawdziwym piołunie widniała niewielka biała ptasia kupka. A na bylicy pospolitej - maleńkie czerwone piórko.

Antonio podniósł głowę i głęboko odetchnął. Przypomnił sobie, jak kiedyś w szpitalu pomogli parce małych ptaszków uciec przed atakującymi je wielkimi czarnymi ptaszyskami.

Mieli wówczas do czynienia z parą gili, samczyk miał jasnoczerwone piórka na piersi.

Nasi kochani, tak mówili o nich rycerze. Dziękowali za ich ocalenie.

Antonio podniósł roślinki do góry. Uśmiechnął się, patrząc na białą plamkę.

Czy można w wyraźniejszy sposób powiedzieć, która z roślin była tą właściwą?

Ubrany na czarno młody chłopak jeszcze raz go oszukał. To, co nazwał prawdziwym piołunem, okazało się oszustwem. To była bylica.

Dlatego też to, co Antonio wziął za bylicę, było piołunem.

Jeszcze raz wam dziękuję, moi mali przyjaciele, powiedział w duchu.

Potem zadzwonił do Vesli. Rozmawiali długo, lecz Antonio ciągle jeszcze nie wspomniął o żadnym z wielu problemów ani o przeszkodach, jakie napotkał po drodze. Chciał jej tego oszczędzić aż do powrotu do domu.

Rozmawiali, dopóki w telefonie Antonia nie wyczerpała się bateria.

Tego dnia nie wychodzili z willi, chociaż piękna pogoda zachęcała do spacerów. Jordi miał wielką ochotę wybrać się gdzieś z Unni na przejażdżkę, lecz postanowił poczekać na powrót Antonia.

Siedzieli na werandzie, wsłuchując się w głośnie trele ptaków, wyśpiewujących rozmaite gamy. Potrafili rozróżnić drozda śpiewaka i trznadla, stadko pokrzewek, które próbowały nawzajem się zagłuszyć, wronę, a od czasu do czasu kukułkę.

- Wiesz chyba, że jeśli mam siedzieć obok ciebie w samochodzie, to muszę się zapakować w ciężki sprzęt zimowy - uśmiechnęła się Unni.

- I świetnie - odparł Jordi. - Dopóki marzniesz, przebywając blisko mnie, mam pewność, że mnie kochasz.

- Owszem, w ten sposób również można na to popatrzeć - odrzekła Unni cierpko.

Mieli przed sobą księgę Estelli, ale woleli spędzać czas na pogaduszkach. Antonia nie było już od doby i w każdej chwili mógł wrócić do domu.

Unni wprost nie posiadała się z radości, że widzi Jordiego znów zdrowym i silnym. O dziwo jednak, chociaż podczas choroby bardzo osłabł, to mimo wszystko nawet na chwilę nie stracił nic ze swego autorytetu. Zawsze właśnie do niego zwracali się o radę i pomoc, nawet wtedy, gdy ledwie mógł oddychać.

Teraz znów wszystko było w porządku.

Prawie.

Działo się to na dzień przed tym, jak Morten zdołał sprowadzić Emmę na manowce, dzień przed tym, jak Vesla zaczęła się zastanawiać, dlaczego Antonio nie wraca do domu.

- Jordi - powiedziała Unni w zamyśleniu. - Bardzo wiele się zastanawiałam nad tym, kto ukradł te nasze papiery ze skrzyni w samochodzie.

- Chyba tak jak wszyscy.

- Zupełnie tego nie pojmuję. Tego nie mogli zrobić mnisi, bo im nie wolno zbliżyć się do znaku wrytego na wieczku pojemnika z trucizną. Rycerze natomiast nie mogą zbliżyć się do samej trucizny w pudełku. Emma i Leon & Co. byli wtedy w więzieniu, a na pewno nie dotarli jeszcze do Norwegii. Kto to mógł więc być?

- Doszliśmy już przecież do wniosku, że jest jakaś trzecia zainteresowana tym wszystkim strona.

- No, tak, ale dlaczego nie zabrali pudełka z trucizną?

- Ono najwyraźniej nie stanowiło nic interesującego dla złodzieja czy też złodziei.

- Co oznacza, że mamy do czynienia z poszukiwaczami skarbów?

- Na to wygląda. Unni nie kryła irytacji.

- Co to za cholerny skarb, którego wszyscy chcą dopaść? Nie pojmuję, skąd się w ogóle wziął! I co wspólnego ma z tragedią rycerzy?

- Nie wiem, Unni. Może zrozumiemy to, kiedy się dowiemy, czego chcą rycerze.

- Optymista - mruknęła.

- Musimy być optymistami. Teraz jest przecież więcej istnień, o których musimy myśleć.

- Wiem o tym. Doszło jeszcze nie narodzone dziecko Vesli. To powinna być taka radosna nowina, a tymczasem w tej radości jest wielkie pęknięcie.

- No właśnie, to szczęśliwe wydarzenie jeszcze bardziej komplikuje sytuację.

- Czy dziecko przyjdzie na świat przed urodzinami twoimi i Mortena?

- Antonio twierdzi, że tak. Ważne jest więc, żeby nam się udało, Unni.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Myśli krążyły jej dość zadziwiającym torem. Gdyby miała z Jordim dziecko ono ocaliłoby córkę czy syna Vesli i Antonia. Przekleństwo natomiast spadłoby na jej dziecko.

Oczywiście, gdyby wcześniej umarł Jordi.

Nagle z trudem mogła złapać oddech. Nie chciała, żeby Jordi umierał. Nie chciała, żeby złe przekleństwo spadło na którekolwiek dziecko, czy to jej, czy Vesli.

Cóż, niebezpieczeństwo, że złe dziedzictwo dotknie potomka jej i Jordiego, nie istniało, bo on przecież właściwie nie mógł jej nawet objąć, a co dopiero pocałować. Przecież od razu zmieniała się w bryłę lodu.

Wszystko, absolutnie wszystko uzależnione było od tego, czy zdołają rozwikłać na czas zagadkę rycerzy.

- Problem w tym - powiedziała Unni zamyślona - że cały świat już zapomniał, jaka jest ta ich zagadka. Nie mogą więc liczyć na niczyją pomoc, z wyjątkiem nas.

- Tak, to doprawdy brzmi bardzo ponuro.

- A przecież to tacy wspaniali ludzie, czy może raczej duchy, jak wolisz. To takie niemądre. Hiszpanie są bardzo honorowym i dumnym narodem, życzliwi, ugodowi, pomocni i weseli, a głupie jest to, że natknęliśmy się akurat na ten malusieńki procent, jaki wśród nich stanowią łajdacy i oszuści, jak Leon i jego kompania. To takie niesprawiedliwe!

- Owszem, masz pod tym względem całkowitą rację, ale poznaliśmy przecież Elia i jego niewielką miłą rodzinę, Pedra i wielu innych. I rycerzy.

- No tak, oni rzeczywiście zasługują na naszą pomoc.

A tymczasem siedzieli sobie na werandzie w Norwegii, nie podejmując żadnych działań, podczas gdy czas nieubłaganie uciekał.

Dzień śmierci Jordiego i Mortena zbliżał się wielkimi krokami.

Unni miała uczucie, jakby wprost rozsadzała ją od środka pragnienie podjęcia jakiegoś działania.

Musieli jednak czekać na Antonia. Wykonanie wyznaczonego mu zadania było absolutnie konieczne, aby mogli przedsięwziąć dalsze kroki.

Bez zbyt wielkiego entuzjazmu znów zabrali się do pracy nad jakże trudną księgą Estelli. Wydawała się tak przebrzmiała, a ich przede wszystkim interesowało to, co dzieje się tu i teraz. Przez cały czas nie opuszczało ich uczucie, że muszą się spieszyć.

Vesla spędzała sję samotnie w łóżku, rozmyślając o tym, co Antonio powiedział jej rano przez telefon. Mówił, że znalazł jakąś książkę...

Opisał jej, co muszą zrobić, żeby i ona mogła czerpać radość z przeżywanych wspólnie chwil. Vesla trochę niepotrzebnie poczuła się urażona. Czy to dla niego, doprawdy, takie ważne? Przecież jej tak dobrze w jego objęciach. Nigdy na nic się nie skarżyła. Czyżby była aż tak marną kochanką?

Natychmiast zapewnił ją, że nie, ale skąd, że wcale nie o to chodzi, chociaż często sam sobie czynił wyrzuty, że nie jest w stanie jej rozpalic. Po prostu omija ją coś naprawdę wspaniałego. Vesla wtrąciła, że podobnie sprawa ma się z bardzo wieloma innymi kobietami. Setki, ba, nawet tysiące kobiet nawet się nie domyślają, czym jest orgazm. W wielu wypadkach to po prostu wina mężczyzny albo też całkowity brak miłości do niego. Ale Antonio jest pod tym względem absolutnie bez winy. Nie ma przecież czulszego i troskliwszego niż on. I ona również kochała go tak mocno, że na myśl o nim aż ścisnęła ją w sercu.

Antonio prosił, żeby Vesla poćwiczyła na własną rękę, nim on wróci do domu, a potem spróbują razem. Postara się jej pomóc.

Vesli nie spodobał się pomysł, że ma sama czegoś próbować. Onieśmielało ją własne ciało, wstydziła się go, chociaż wiedziała, że tak naprawdę nie ma czego. Ale po tym, co przeszła w dzieciństwie, poczucie wstydu utkwilo w niej głęboko i nigdy widać nie pozbyła się uprzedzenia, że to, co ma związek z ciałem, jest brudne.

Dobrze się czymś nasmaruj, pouczył ją Antonio, bo to nie będzie proste. Vesla roześmiała się cichutko do siebie, bliska rozpaczy. Oto leżała, posmarowawszy się swoim

najdroższym kremem do twarzy. Szkoda, że ta elegancka firma kosmetyczna nie wie, jak zbecześciła ich ekskluzywny produkt!

Oczywiście Vesla jako nastolatka próbowała zaspokoić się sama, lecz nigdy jej się to nie powiodło. Może dlatego, że nie przykładała się do tego z całego serca, bo tak doskwierało jej poczucie winy i świadomość, że robi coś niedozwolonego.

Ale tym razem to Antonio prosił ją, żeby spróbowała zrobić to w nowy sposób. A dla niego Vesla gotowa była na wszystko. I to stawało się niemal czyste i piękne. Niemal.

Nie wierzyła wprawdzie, że jej działania przyniosą jakikolwiek skutek, jak na razie dotychczas nic przecież nie pomagało i mniej więcej to samo robiła wcześniej. Może nie tak mocno, ale...

Okej, zaczynaj, powiedziała do samej siebie.

Położyła palce na najwrażliwszym punkcie, który u niej nie był ani trochę wrażliwy, ale wiedziała, gdzie go szukać. Potem mocno go przycisnęła, aż do kości łonowej, i zaczęła robić tak, jak powiedział jej Antonio, obracać mocno palcami przyciśniętymi do kości, nie trąc nimi. Skóra poddawała się ruchom palców. Robiła tak, dopóki nie poczuła się całkowicie wycieńczona. Miała wówczas przestać na minutę albo dwie i zacząć od nowa.

Kiedy powtórzyła tę czynność pięć albo sześć razy, była już tak zmaltretowana, że musiała się od nowa posmarować swoim eleganckim kremem do twarzy. Nie wierzyła, żeby to, co robiła, mogło mieć jakiś efekt, poza tym, że zaczęło ją boleć, ale uparcie nie przerywała. Nie chciała sprawić Antoniowi zawodu. Intensywnie przy tym o nim myślała...

Wykonała już chyba dwadzieścia „zabiegów”, kiedy wreszcie się poddała. Leżała, z trudem łapiąc oddech, bardzo rozczarowana. Nic z tego, widać ona się do niczego nie nadaje. Jeśli w takim miejscu można dostać siniaków, z całą pewnością właśnie to ją czekało następnego dnia.

Leżała tak przez kilka minut, gdy nieoczekiwanie poczuła lekkie mrowienie w owym wrażliwym, a teraz bardzo udręczonym punkcie, jak gdyby czekał na kolejny atak. Uczuciem przyjemności nikt nie mógł tego nazwać, lecz nagle jakby coś obudziło się do życia, coś, co od bardzo dawna pozostawało w uśpieniu. A więc było tak, jak opisywano w tej książce: ta jej część, która powinna być pod względem erotycznym najbardziej wrażliwa, cofnęła się gdzieś w obrzydzeniu dawniejszymi przeżyciami. Albo może też Vesla po prostu zaliczała się do kobiet, które trudno rozpalić.

Po kolejnych dwóch minutach pojawiła się kolejna zachęta:

Rób tak dalej.

Ale owa słabiutka oznaka życia wystraszyła Vesłę nie na żarty. Nie miała śmiałości

robić tego dalej sama. Nie chciała ryzykować przeżycia kolejnej klęski. Pozwoliła, by owo ledwie przebudzone uczucie ucichło.

Jutro, nie, już dzisiaj wieczorem, wróci Antonio, pomyślała. Wtedy będę miała jego wsparcie, on mi pomoże przejść dalej.

Jeśli oczywiście będzie jeszcze jakieś „dalej”. Bo zapewne jak zwykle skończy się w ślepej uliczce.

Dzień upływał na nerwowym wyczekiwaniu. Wydawało im się, że marnują tylko czas, lecz nie mogli wykrzesać z siebie dość spokoju, żeby cokolwiek zdziałać.

Nadeszła kolej Unni na przygotowanie obiadu, a ona nie była mistrzynią świata w gotowaniu.

- Co mogę wymyślić? - poskarżyła się, niechętnie zaglądając do lodówki.

- Jest naprawdę dużo składników - pocieszyła ją Gudrun. - Masz w czym wybierać.

Unni westchnęła.

- Chciałabym przyrządzić coś ekstra, coś takiego, co ty umiesz, ale nie mam żadnej wyobraźni, jeśli chodzi o jedzenie.

- Zajrzyj do jakiegoś tygodnika. Często zamieszczają smaczne i bardzo ciekawe przepisy.

- Nie, dziękuję - odparła Unni krótko. - Nie znoszę tej nowej mody fotografowania jedzenia. Fotograficy robią zdjęcia dań z tak bliska, że jedzenie wygląda jak wnętrzności trupa.

- Ależ, Unni!

- Przepraszam, nie powinnam była tego powiedzieć, jestem po prostu poirytowana, zniecierpliwiona i niespokojna. Nie mogę się już doczekać Antonia!

- Wiem o tym - kiwnęła głową Gudrun. - Nikt z nas nie ma dzisiaj najlepszego nastroju.

Unni znów westchnęła.

- Chciałabym zrobić coś, co lubi Jordi.

- To go zapytaj! To wcale nie musi być nic wyrafinowanego, często to, co najprostsze, bywa najlepsze.

- To prawda. - Unni zatoneła w myślach. - Moja babcia opowiadała, że wyszła za mąż w roku, w którym skończyła się druga wojna światowa. Ona i dziadek pojechali wtedy do Szwecji. Mieli sobie zażyczyć, czego tylko zapragną na weselny obiad, a oni wybrali kotlety schabowe z brązową fasolą, a na deser sałatkę owocową. Bo właśnie o tym marzyli przez wszystkie te lata.

- Sama widzisz. Nie była to więc żadna egzotyczna orgia.

- To prawda - uśmiechnęła się Unni. - Ale Norwegowie i tak nigdy nie pokochali tej bardzo szczególnej szwedzkiej brązowej fasoli z syropem i octem. Babcia mówi, że z tym daniem trzeba się urodzić i dorosnąć.

- No właśnie - przyznała Gudrun. - Podobnie jak Szwedzi bardzo obojętnie podchodzą do puddingu karmelowego, który dla Norwegów jest szczytem doskonałości.

- A ani Norwegowie, ani Szwedzi nie pojmują zamiłowania do duńskiego chleba piwnego. A propos, skoro już mówimy o czymś, czego nie znosimy... Nie cierpię też tej głupiej mody, jaka pojawiła się w kwiaciarniach. Jak można dokładać do bukietów kokardę w kratkę, w dodatku z materiału? To jest po prostu brzydkie, a poza tym uważam, że to zniewaga dla kwiatów. Zawsze ją wyrzucam. Ale już wiem! Usmażę naleśniki na cześć Antonia, bo on je uwielbia. Ucieszy się, jak wróci do domu po południu albo wieczorem.

- Świetny pomysł! - przyznała Gudrun.

Ale Antonio nie wrócił do domu tego dnia.

Kontynuował swą podróż w stronę Valdres, a nawet dotarł już do tak niebezpiecznych dawniej Bagnskeivane i nic więcej się nie wydarzyło.

Zrezygnowali, pomyślał triumfująco. Mnisi zrezygnowali! Teraz Bagnskeivane były stosunkowo dobrze zabezpieczone. Mocne poręcze chroniły przed upadkiem w przepaść, zredukowano także niebezpieczeństwo kamiennych lawin, chociaż wciąż jeszcze zdarzało się, zwłaszcza w okresie topnienia lodów, że kamienie spadały z góry. Oczywiście miały też miejsce wypadki, zjechanie z drogi prosto w przepaść, na ogół zdarzały się jednak nocą kierowcom wracającym z dobrej zabawy, młodym chłopakom, którzy niedawno dostali prawo jazdy i koniecznie chcieli popisać się przed kolegami w samochodzie, do czego są zdolni.

Do wypadków dochodziło jednak bardzo rzadko. U każdego odruchowo wzmagała się czujność na widok przepastnej głębi, przez którą przedzierała się rzeka Begna.

Antonio był naturalnie poirytowany wszystkimi opóźnieniami wczorajszego dnia. Przecież mógł być już teraz w domu, a tymczasem jeszcze nawet nie osiągnął celu podróży!

Skręcił, żeby objechać skalny występ.

I nagle przeszył go zimny dreszcz, wszystkie reakcje nastąpiły jedna po drugiej. Na drodze tuż przed samochodem wyrósł jakiś człowiek. Antonio wcisnął do dechy hamulec, lecz był na to kompletnie nieprzygotowany, prowadził samochód zwykłym, równym tempem, które w tej sytuacji okazało się za szybkie. Musiał wybierać, czy wjechać w skałę, czy też zawierzyć ochronnej balustradzie, mającej zabezpieczać przed upadkiem w przepaść.

Nie zdając sobie z tego sprawy, zawołał: „Przeklęty idiota!” akurat wtedy, gdy mężczyzna obejrzał się za siebie wolnym ruchem. Antonio dostrzegł na jego twarzy złośliwy uśmieszek, ale musiał skoncentrować się na samochodzie.

Zdażył jednak zobaczyć.

To był ów ubrany na czarno miody chłopak, z którym rozmawiał po hiszpańsku.

Antonio usłyszał spokojny głos mówiący po norwesku.

- Samochód jest cały, ale kierowcą nieźle musiało potrząsnąć.

Przenikliwie zgrzytał metal.

Coś wciskało się w niego, tłoczyło, a ból w kolanie wydawał się nieznośny.

- Musimy go wyciągnąć - powiedział jakiś głos.

- Spokojnie, spokojnie! - zaproponował inny. - Najpierw trzeba ustabilizować sytuację! Jakiś kobiecy głos w pobliżu.

- To my zadzwoniliśmy po pomoc!

- Tak, tak - odpowiedział jej mężczyzna. - Ale teraz posuń się trochę, żebyśmy mogli się do czegoś tu przydać.

Antonio zdołał wreszcie odwrócić głowę od szarej przeszkody, która okazała się nadmuchaną poduszką powietrzną. Szarpnął się mocniej.

- Nie ruszaj się! - wrzasnął ów spokojny głos. - A może wolisz spaść?

Antonio ze swego miejsca niewiele mógł zobaczyć, lecz jeśli jego obliczenia były właściwie, to samochód zwiślał niebezpiecznie, przewieszony przez balustradę.

Dzięki Bogu, że jest ta poduszka, pomyślał. To ona nie pozwala mi teraz spojrzeć w przepaść. Pewnie bym tego nie wytrzymał. Powinienem też chyba być jej wdzięczny za życie!

Antonio nigdy dotychczas nie przeżył wypadku, w którym poduszka powietrzna się nadmuchała. Wywoływało to w nim mieszane uczucia. Czuł się jakby zduszony.

Na szczęście powietrze z poduszki zaczęło z wolna uchodzić i mógł oddychać z większą łatwością. Zaczerpnął głęboko powietrza, żeby sprawdzić, czy nic nie stało się z żebrami.

Były nieco obolałe, ale wytrzymały. Gorzej natomiast przedstawiała się sprawa ze zranionym wcześniej kolanem. Ktoś powinien chyba je obejrzeć. Uderzył się też mocno w jedno przedramię.

W skalnej ścianie odbiło się niebieskie światełko. Czyżby ambulans?

- Jest już przytomny - wyjaśnił nieznajomy. - Ale stracił świadomość na dosyć długo.

Na dosyć długo? To nie zabrzmiało przyjemnie. Ale właściwie powinien się być tego spodziewać, przecież służby ratunkowe nie czekają za najbliższym zakrętem, zwłaszcza tutaj wśród pustkowi Bagnskleivane.

Największym problemem było najwyraźniej zapanowanie nad samochodem, żeby się nie przechylił. Antonio pojął, że jego życie dosłownie wisi na włosku. Ledwie śmiał teraz oddychać. Czy oni nie mogą wciągnąć samochodu chociaż odrobinę bardziej na drogę?

Nie śmiał pytać, bał się urazić pracujących specjalistów.

Przed szybą zakolysała się wielka metalowa łapa. Chciał zawołać, żeby uważali na samochód Pedra, uznał jednak, że lepiej będzie milczeć. Musi pamiętać, żeby zapytać o tego młodego człowieka. Ktoś chyba go zauważył.

Teraz jednak musiał myśleć o czym innym. Samochód zaczął drzeć, trząść się, gdy próbowano zaczepić uchwyt dźwigu. Antonio wychylił się w stronę przepaści, a potem wbił

w oparciu siedzenia, by choć w małym stopniu stworzyć przeciwwagę. Trzymał się przy tym tak mocno, że aż kostki mu pobieły...

Samochód gwałtownie drgnął. Antonia nie chroniła już teraz żadna poduszka, rąbnął głową o przednią szybę tak mocno, że przed oczami pokazały mu się gwiazdy. Jednocześnie piersią uderzył o kierownicę, a w deskę rozdzielczą kolaniem, którego ból już wcześniej z trudem wytrzymał. Znowu stracił przytomność.

Ocknął się, gdy chciano go na noszach przenieść do karetki. Dzięki Bogu, znajdował się na drodze, a nie na dnie przepaści!

- Chwileczkę! - zawołał. - To nie jest konieczne. Sam jestem lekarzem i mogę stwierdzić, że czuję się stosunkowo dobrze.

Zatrzymali się.

- Najlepiej będzie, żeby pana jednak obejrzeli w szpitalu w Gjøvik.

Gjøvik? Wielkie nieba, przecież do Gjøvik jest sto kilometrów!

- Nie ma nic bliżej? Popatrzeli na siebie niepewnie.

- Jest ośrodek zdrowia w Fagernes, ale oni nie mają...

- To wystarczy - oświadczył Antonio zdecydowanie. - Nie jest mi słabo, trochę się tylko poobijałem. Co z samochodem?

- Jakoś poszło, ma tylko nieco zadrapań. Ale nic mu się nie stało.

Dzięki Bogu, pomyślał.

- A co z tym młodym człowiekiem?

- Z jakim młodym człowiekiem?

- Tym, który szedł środkiem drogi i wymusił na mnie skręt.

Otoczający go ludzie popatrzeli na siebie ze zdziwieniem. Kobieta, która pierwsza zobaczyła samochód zwisający ponad przepaścią, pokręciła głową.

- Kiedy przyjechaliśmy, nikogo tu nie było.

- Nie było chłopaka w czarnej koszuli i czarnych spodniach?

- Nie widziałam w ogóle nikogo.

Antonio poddał się. Po krótkiej dyskusji zgodził się na przewiezienie go ambulansem. Jeden z sanitariuszy miał poprowadzić wspaniały samochód Pedra. Chłopak nie krył zadowolenia.

- Pierwszy raz będę jechał samochodem ze znaczkiem CD - uśmiechnął się.

Ach, a więc dlatego odnosili się do Antonia z taką uprzejmością i szacunkiem!

Cieszył się, że jechali teraz przynajmniej we właściwym kierunku. Jedno spojrzenie na

zegarek powiedziało mu, że znów stracił mnóstwo czasu i że zapewne w Fagernes straci go jeszcze więcej.

- A więc jest pan przedstawicielem Hiszpanii? - spytał drugi sanitariusz, ten, który pozostał w karetce.

Antonio nie miał siły na żadne tłumaczenia, mruknął coś, co mogło oznaczać i tak, i nie.

- Ma pan też jakiś straszliwie dostojny i skomplikowany tytuł - ciągnął mężczyzna.

Ojej, a więc oglądali kartę wozu? Na szczęście sanitariusz nie oczekiwał od niego żadnej odpowiedzi. Ciągnął dobrodusznie:

- Ale dobrze pan mówi po norwesku.

- Mieszkam tu od wielu lat - odparł Antonio, nie kłamiąc przecież wcale.

- Jest więc pan lekarzem w ambasadzie? Sytuacja zaczynała się komplikować.

- Tak, ale wydaje mi się, że ten bandaż trochę się poluzował.

- Niech się pan nie denerwuje, już niedługo będziemy na miejscu. Wszystko dobrze się skończy.

Kiedy Antoniowi opatrzone już zranienia i zrobiono najrozmaitsze badania, lekarz w ośrodku zdrowia w Fagernes pozwolił mu jechać dalej. Sam Antonio nie narzekał na formę, bo lekkim bólem i potłuczeniami w ogóle się nie przejmował. Bardzo też mu pomógł zrobiony w kolano uśmierzający zastrzyk. Antonio nie posiadał się tylko ze złości na myśl o tym młodym człowieku, który pojawił mu się na drodze tuż przed nosem i znów skazał go na wielogodzinne opóźnienie. Postanowił jednak, że teraz dotrze już do gór. Dosyć tych przeszkód.

Wjechał samochodem tak wysoko, jak tylko się dało, powyżej Lykkja, i tam zaparkował. Podjął próbę nawiązania kontaktu telefonicznego z przyjaciółmi, zwłaszcza z Veslą, lecz, jak się spodziewał, nic z tego nie wyszło. Powinien naładować baterię telefonu w Fagernes, ale wtedy głowę miał zaprzątniętą jedynie myślą o tym, by jak najszybciej wyruszyć naprzód.

Zastanawiał się, jak właściwie miewa się jego głowa po tym uderzeniu o przednią szybę, przecież i zaraz po samym wypadku był przez jakiś czas nieprzytomny. Tymczasem głowa wcale go nie bolała, odczuwał jedynie lekkie pulsowanie w guzie na czole.

Lekarz starannie zajął się jego kolanem. Dzięki mocnemu obandażowaniu Antonio mógł się poruszać w miarę normalnie.

Upłynęła dobra chwila, zanim sforsował długie zbocza ponad Lykkja i minął skrzyżowanie z wyraźnie wydeptaną ścieżką, prowadzącą na szczyt Skogshorn. Nie wybierał

się tam, zamierzał przeprowić się w głąb płaskowyżu zwanego Kjølen.

I właśnie w tym czasie zaczął słyszeć za plecami owe ciche, skradające się kroki.

Nie potrafił rozstrzygnąć, czy jest to odgłos stóp jednego człowieka, czy też tajemniczych prześladowców jest więcej. Wierzchowce rycerzy poruszały się bezszelestnie, o tym wiedział, zresztą to wcale nie brzmiało jak stukot kopyt. To ludzkie kroki.

Ale za nim nikogo nie było.

Cienie, cienie... Bo czyż nie właśnie cienie ścigał lub był przez nie ścigany? Niekiedy nie były to nawet cienie, po prostu nic.

Jednocześnie

Milczące cienie strzegły odpoczynku Antonia.

Pogrążone w nocnym mroku góry spowiła cisza. Mgła nad Hundsenwatnet kryła ryby, rzucające się po powierzchni jeziora przy wtórze niekiedy słabego szeptu, to znów ostrego plusku.

Wśród rycerzy zebranych na górskim zboczu krążyły myśli.

„Złe moce grasują dzisiejszej nocy”.

„Naszym obowiązkiem jest czuwać nad samotnym”.

„Tak, słyszałem, jak się zbliżają. Na razie są jeszcze daleko, ale ich złe oczy i przebiegły węch nie przestają poszukiwać”.

„Blżej też kryją się niebezpieczeństwa”.

„To prawda. Ci potworni kaci umieją dobierać sobie najgorszych!”

„Ale dopóki on śpi, jest bezpieczny. Pozostaje pod naszą ochroną. Widzę, że nie mają śmiałości przystąpić do ataku. Wiedzą, że tu jesteśmy”.

„On chroni również innych”.

„Tak, ale o tym nie wie”.

„Może tak jest najlepiej, przynajmniej na razie”.

„No, a pomoc?”

„Pomoc nadciągnie, gdy nadejdzie na to czas”.

Don Garcia westchnął boleśnie:

„Przyjaciele, czy zyskamy wreszcie upragniony spokój?”

Don Federico pokręcił głową.

„Przed naszymi młodymi przyjaciółmi jeszcze długa droga. Znajdują się daleko od miejsca, gdzie skrywa się zagadka. I długo muszą walczyć, nim tam dotrą. Ale zbliżają się. Krok za krokiem. Patrzcie tylko, jak starają się unieszkodliwić tę paskudną truciznę ukrytą w srebrnym pudełku mnichów. Już samo to jest kolejnym krokiem na drodze, wiodącej do spokoju naszego i naszych nieszczęsnych potomków”.

„I niebýwałym ciosem dla naszych katów” - uśmiechnął się don Ramiro.

Nastrój wyraźnie się poprawił, roześmiali się milczącym śmiechem ponad pustkowiem płaskowyżu.

Kiedy mroczno - szary cień nocy ustąpił miejsca brudnoszaremu świtowi, Antonio się obudził.

Zdrtwiała i żałośnie przemarznięty usiadł. W kolanie niepokojąco pulsowało. Całe ciało miał obolałe, w głowie dudniło, rzadko kiedy wcześniej czuł się tak zniechęcony i wycieńczony.

Gdzieś na Hundsemvatnet krzykiem zaniósł się nur czarnoszyi. Antonia przenikał chłód, nie tylko z zimna, lecz również z samotności.

W snach znów pojawiły się owe poszeptujące głosy, które nakazywały mu zdjęcie pokrywy pudełka. Na szczęście umieścił plecak pod kamieniami w taki sposób, że dostanie się do niego wymagałoby naprawdę dość długiego czasu. Gdyby nawet podjął taką próbę, to i tak wcześniej musiałby się obudzić.

Spojrzenie rzucone na plecak powiedziało mu, że jest nietknięty.

Rozejrzał się dokoła. Zaskoczył go widok nowego budynku w dole nad Hundsemvatnet, prawdopodobnie był to domek letniskowy. Uśmiechnął się odruchowo. Wprawdzie miał świadomość, że domek jest pusty, to jednak mimo wszystko samotność przestała już być taka dojmująca.

Uśmierzający ból zastrzyk naturalnie już nie działał. Lekarz zaopatrzył go jednak w kilka mocnych tabletek przeciwbólowych, zażyje je, gdy tylko znajdzie jakiś strumień. Wiele musiał zdziałać tego poranka. Nie mógł dopuścić do tego, by jego ruchy ograniczało bolące kolano.

Na nogę trudno było jednak stanąć. Gdy kilka minut później opuścił Kvannegrøstolen, mocno utykał. Daleko w ten sposób nie zdoła dotrzeć.

Antonio zamierzał zejść w dół do pasa brzoź, gdzie zwykle nie pojawiali się ludzie. Nie wiedział, co się stanie, kiedy zniszczy pojemnik z trucizną. Tak naprawdę nie wiedział nic i nie chciał tego robić w żadnym uczęszczanym miejscu i być może zbrukać jego czystość, chociaż przypuszczał, że rytuał, który będzie musiał odprawić, nie pozostawi żadnego widocznego śladu.

O, jest źródelko. Zażył czym prędzej dwie tabletki przeciwbólne i rozejrzał się wkoło po wielkich, rozmokłych terenach. Jezioro Hundsemvatnet uchodziło do bystro płynącej rzeki nazywanej Trolla. Na skraju płaskowyżu rzeka rzucała się w przepaść jako dziki wodospad bogaty w pstrągi. Nim jednak tam docierała, tworzyła kilka małych jeziorek.

Najbliższe z nich, górne, Øvre Trolletjedn, było stosunkowo duże i położone na dość otwartym terenie. Dolne natomiast otaczał tajemniczy, stary, powykrzywiany brzozowy las, pochylający się nad płycznami, na których, jak pamiętał, w krystalicznie czystej wodzie dało się dostrzec błyszczące pstragi, płynące w górę albo w dół rzeki.

Naprawdę fantastyczne miejsce, które bardzo chciał jeszcze kiedyś zobaczyć, ale nie teraz, dopóki miał przy sobie ten przeklęty pojemnik z trucizną i gromadę duchów deptającą mu po piętach.

Antonio bowiem znów je usłyszał. Znów doszły go kroki. Odruchowo sięgnął po nóż, który, prawdę mówiąc, z trudem wyciągnął z drewnianego bala po tym, jak z całej siły wbił go w drewno poprzedniego wieczoru.

Utykał mocno, lecz nie zamierzał się poddawać i uparcie posuwał się naprzód. Odległość, jaka pozostała mu do pokonania, była o wiele większa, niż się wydawało. Takie złudzenie wywoływało powietrze, które tutaj, na dachu Norwegii, było przejrzyste jak szkło. Wstające słońce barwiło szczyty gór złocisto i czerwono, lecz w dole, wciąż panowały zimne niebieskie cienie. Zapowiadał się przepiękny dzień. To wielki plus. Antoniowi przydałoby się teraz trochę ciepła.

Przed nim rozpościerały się szeroko rozciągnięte zarośla wierzby. O, znał je dostatecznie dobrze, tak łatwo się zaplątać w gałązki, pragnące jakby uwięzić człowieka. Nie widać, którędy się idzie ani też co znajduje się pod nimi. Stopa mogła utknąć pomiędzy kamieniami, a niekiedy pod zieloną płataniną gałęzi kryło się niebezpieczne bagno.

Kolano bolało wprost nieznośnie. Antonio miał też wrażenie, jakby bandaż się poluzował. Musiał się zatrzymać, przysiadł na kamieniu, odsłonił nogę.

No tak, rzeczywiście, wszystko się zsunęło. To taśma przytrzymująca bandaż się odkleiła. Na szczęście miał w plecaku środki opatrunkowe i zdołał lepiej umocować opatrunek.

Te zabiegi jednak trwały. Słońce wzeszło, a Antonio nie miał czasu nawet się nad tym zastanowić, tak bardzo był zajęty swoim spuchniętym kolaniem.

W końcu uporał się ze wszystkim i mógł się podnieść. Na wszelki wypadek połknął jeszcze jedną tabletkę przeciwbólową, bo pierwsze, które zażył, zdawały się jeszcze nie działać.

Skręcił tak, żeby oddalić się od zarośli, długo wędrował przez podmokły teren, aż w końcu znalazł się znów na suchej ziemi.

A oto i Trolla. Zamierzał przejść na drugą stronę rzeki, zagłębić się w brzozowy las na przeciwnym brzegu. Po dość długich poszukiwaniach znalazł wreszcie miejsce, w którym

mógł przekroczyć wodę. Wybranie odpowiednio grubego brzozonego pnia kosztowało go znów wiele niepotrzebnych kroków, ale dzięki niemu przeprowił się na drugą stronę. Ponownie trafił na moczary i nogi naprawdę bardzo mu już przemokły, nim wreszcie znów poczuł pod stopami twardą ziemię.

Kiedy dotarł do brzozonego lasu, pełnego powykrzywianych drzew, ból w kolanie zaczął wreszcie trochę ustępować. Miał świadomość, że należy do tych mężczyzn o mocnej budowie, którzy muszą czekać naprawdę długo, nim środki przeciwbólowe zaczną działać. Ludzie pod tym względem bardzo się od siebie różnią. Jako lekarz oczywiście zdawał sobie sprawę z tego, że bardzo nierozsądnie postępuje, tak mocno obciążając chorą nogę, ale nie słuchał ostrzegawczego głosu medyka rozlegającego się w jego głowie.

Nagle się zatrzymał. Przecież całkiem zapomniał o karłowatej brzozie! I znów musiał się cofać na otwarty teren, który właśnie minął. Tam wreszcie znalazł śliczny nieduży krzaczek i obciął z niego gałązkę. Prawie prosił przy tym o wybaczenie, Antonio bowiem zawsze uważał, że góry mają w sobie pewną świętość, odnosił wrażenie, że porusza się po ogromnej świątyni, której dachem jest niebo.

Może dlatego właśnie postanowił wykonać ów oczyszczający rytuał tutaj, wysoko w górach? A może robi coś złego? Może przez to zbruka ów czysty, dziewiczy teren?

Karłowata brzoza nie wypuściła oczywiście jeszcze swoich ślicznych, okrągłych, karbowanych listków, ale na gałązce widać było dużo pączków i je właśnie mógł wykorzystać. Przecież pączek zawiera w sobie jeszcze więcej mocy niż rozwinięty liść!

Krążąc po lesie w poszukiwaniu jak najdogodniejszego miejsca, odległego od wszelkich ścieżek, nie przestawał się zastanawiać nad czarno ubranym chłopakiem. Ów młodzieniaszek najpierw usiłował doprowadzić do tego, żeby Antonio spadł z hałdy odpadów przy tartaku, potem zaś, wiele kilometrów stamtąd, nagle zagroził mu drogę w najgorszym z możliwych miejsc w okolicy Bagnskleivane.

To była zupełnie chora myśl, lecz Antoniowi przyszło do głowy, że to właśnie ten łotr tak ukradkiem skrada się za nim tu, na pustkowiu.

Obrócił się gwałtownie, lecz oczywiście był sam, tak opuszczony przez świat, jak się czuł.

Daleko w oddali, w górze, na tle najwyższego szczytu, przez moment dostrzegł drugą z letnich zagród, Laegret, skrytą między drzewami. Również tam pojawiły się nowe domy. Jeden po drugiej stronie „śnieżnej rzeki”, wijącej się ze szczytu.

Miło zobaczyć, że wciąż tutaj toczy się życie, pomyślał. Kiedy był tu jako dziecko, obie letnie zagrody stały puste. Laegret wykorzystywano jako schronisko, w którym mogli się

w niepogodę schować koniarze i pasterze reniferów.

Z przyjemnością patrzył na domy. Odnosił niemal wrażenie, jakby miał towarzystwo. Roześmiał się nawet.

Ale w następnej chwili uśmiech zamarł mu na twarzy. Dostrzegł, że wśród brzoź przed nim porusza się prędko coś czarnego.

Czyżby niedźwiedź? Nie, czarne niedźwiedzie spotyka się raczej na Alasce. Może to łoś? Nie, łoś to też nie jest.

To musi być człowiek.

Przyszło mu do głowy, że może powinien zacząć krzyczeć, nim jednak zdążył się zdecydować, znieruchomiał, starając się nie wydawać z siebie żadnego odgłosu. Teraz bowiem również coś usłyszał.

Owe skradające się kroki, które zawsze dochodziły go zza pleców, teraz zbliżały się z obu stron i nagle się zatrzymały. W tej samej chwili ciszę rozdarł przenikliwy ptasi krzyk, jak gdyby lecącego nad górami stada myszołowów.

Antoniowi ciarki przeszły po plecach. Zatrząśł się cały. On sam nigdy wcześniej nie słyszał tego krzyku, lecz inni mu o nim opowiadali.

Żaden ptak tak nie krzyczy. Nie ma takiego przeraźliwego głosu, rodem z piekielnej otchłani.

- A więc stało się - szepnął do siebie. - A więc mnie znaleźli. Doskonale znają moje zamiary. Duchy piekła Inkwizycji postanowiły zaatakować!

- Wiesz co, Jordi? - zawołała Vesla, kiedy wszyscy wrócili już do domu po krótkim przymusowym wypadzie, podczas którego Morten oszukał Emmę i jej kompanów i namówił ich na powrót do Hiszpanii.

Jordi zatrzymał się przy schodach. - Tak?

- Pytałeś mnie rano, czy Antonio nie wspominał, dokąd się wybiera.

- Owszem, a coś ci się przypomniało?

- Tak, prawdę mówiąc, tak. Tylko że wczoraj rano mieliśmy sobie tyle do powiedzenia, że całkiem o tym zapomniałam, ale wpadłam na to, jak teraz wracaliśmy samochodem do domu. On rzeczywiście wspominał o jakimś miejscu... A ja dosłownie wyjęłam mózg, żeby przypomnieć sobie tę nazwę. To brzmiało jak Gwarne Groty czy coś podobnego.

Jordi zamyślił się. Wszyscy stali teraz w korytarzu, czekając w napięciu.

- Gwarne Groty? - Twarz mu się rozjaśniła. - Czy to mogło być Kvannegrø? A może Kvannegrønosi?

- To było Kvannegrø, na pewno.

- Wspaniale, Veslo!

- Co to takiego Kvannegrø? - zainteresował się Pedro. - Gdzie to jest?

- Wysoko w górach. To bardzo podobne do Antonia wybrać się właśnie tam. To stara letnia zagroda nazywana niekiedy Imrestolen. Położona niewiarygodnie na uboczu. Poza nią jest tam jeszcze tylko jedna letnia zagroda, Jolems - albo Jordheimslasgret. Z obu nikt już nie korzysta. I naprawdę strasznie tam pusto, a Antonio zapewne szukał takiego właśnie odosobnionego miejsca. Jadę tam natychmiast, przecież wszyscy tak się o niego niepokoiimy!

- Jadę z tobą! - spontanicznie podchwyciła Unni.

- Ja też! - zawołali Vesla i Morten jedno przez drugie.

- O, nie, Veslo! - zdecydowanie sprzeciwiła się Gudrun. - Ty z nimi nie pojedziesz. Nie możemy podejmować żadnego ryzyka, jeśli chodzi o ciebie. A ty, Unni, powiedz mi, na jak długo rozdzieliliście się z Jordim, odkąd spotkaliście się w Stryn całe wieki temu?

Unni zastanowiła się.

- Rzeczywiście, nie rozdzielaliśmy się wcale, nawet na jeden dzień.

- Uważam więc, że powinnaś dać mu dzisiaj wolne. W dodatku nie możecie przecież jechać tym samym samochodem, bo znów przemarzniesz na kość.

- Mogę udawać jej wysokość i siedzieć na tylnym siedzeniu - odparła Unni natychmiast. - A Jordi może otwierać przede mną drzwiczki. Bardzo mi się podoba taki pomysł.

Jordi uśmiechnął się.

- Gudrun ma rację, jeśli chodzi o Veslę. Tam trzeba daleko iść, w dodatku po stromym zboczu. To, niestety, wyklucza również ciebie, Mortenie. Ale nie mam ochoty na żadne wolne od Unni. Dla nas cenna jest każda minuta.

O tym wiedzieli wszyscy, wszak termin wyznaczony Jordiemu wkrótce mijał.

- Mogę się ubrać w tę wilczurę, której nie mamy - stwierdziła Unni. - Ale co tam, przecież już tyle razy wcześniej podróżowałam tym samym samochodem co Jordi. Przejechaliśmy przez całą Europę i jakoś to przeżyłam. Chyba że już znajduję się w tym samym mglistym świecie co Jordi i rycerze.

- I mnisi - uzupełnił Morten z goryczą, a Unni w jednej chwili świat ten przestał się już wydawać taki kuszący.

Jordi jechał bardzo szybko, a Unni siedziała obok niego, ubrana w zimową kurtkę, rękawiczki i grubą, robioną na drutach czapkę, którą naciągnęła na uszy. Z zimna poczerwieniał jej koniuszek nosa, lecz w opinii Jordiego było jej z tym do twarzy.

Podróż do Lykkja zajęła im trzy i pół godziny, kiedy tam dojechali, był jeszcze środek dnia.

Jordi skręcił na nierówną drogę, prowadzącą na Kjølen.

- Tam stoi samochód Pedra! - zawołała Unni. - To znaczy, że dobrze trafiliśmy.

- Ale co go tak długo tu zatrzymuje? - mruczał Jordi, parkując samochód Antonia przy limuzynie Pedra. - Przecież odkąd wyruszył z domu, upłynęły już dwie i pół doby. Bardzo mi się to nie podoba.

Unni zajrzała do tego drugiego samochodu.

- W środku leży jego telefon komórkowy - stwierdziła. - Nic dziwnego, że nie odbierał.

- Ale plecak zniknął - zauważył Jordi. - To znaczy, że poszedł w góry.

- To daleko?

Jordi uśmiechnął się szeroko.

- Owszem, to daleka i ciężka droga, zwłaszcza na pierwszym odcinku. Będziemy szli tak szybko, jak tylko dasz radę.

- Nie będziesz musiał na mnie czekać - obiecała Unni z determinacją.

Ale Jordi miał rację. Pod górę podchodziło się ciężko. Unni zaczęła się rozbierać już

po pierwszym kilometrze. W końcu większość swoich ubrań niosła przewiazaną w pasie, została w samej tylko koszulce i nawet spodnie podwinęła do kolan.

A na dodatek jeszcze milczała, bo wiedziała, że nic nie męczy tak, jak prędkie marsz i jednoczesna próba rozmowy. Jeśli miała dotrzymać kroku Jordiemu, to musiała skoncentrować całą swą energię wyłącznie na tym. Nie chciała zostawać w tyle.

Nie mogła mu więc powiedzieć, jak piękne wydaje jej się wszystko dookoła, jak wspaniały i majestatyczny, jej zdaniem, jest ten pejzaż pod wysokim niebem.

Ale było też chłodno. Gdy dotarli do Kvannegrøstølen, Unni musiała z powrotem się ubrać. Od mas śniegu, widniejących na zacienionych zboczach, ciągnęło chłodem. Kilkakrotnie natknęli się na ślady Antonia. Raz w zaspie śnieżnej, przez którą musieli się przedzierać, a poza tym w nasiąkniętej wodą ziemi.

Zatrzymali się przy budynkach i zapatrzili na olbrzymi płaskowyż, rozdzielający dwa okręgi, Oppland od Buskerud.

- On tu był - stwierdził Jordi. - Ale gdzie może być teraz?

Unni starała się ukryć, jak bardzo jest zdyszana, ale od prędkiego marszu kolana się pod nią uginały.

- Może uda nam się odnaleźć jego ślady? - podsunęła.

- Tak - odparł Jordi zamyślony. - Wiem, że Antoniowi nigdy nie wpadłoby do głowy odprawienie tego rytuału w pobliżu jakiegokolwiek domu. I nie mógł też iść w górę, bo tutaj jest zbyt stromo. Musi znajdować się w jakimś miejscu na...

Zobaczyli to równocześnie. Daleko na płaskowyżu, ponad brzozowym lasem, pełnym nagich białych powykręcanych pni, żeglowało w powietrzu kilka olbrzymich czarnych ptaków. W podnieceniu krążyły wokół jednego określonego miejsca.

- Takie wielkie ptaki nie istnieją - zauważyła Unni przytomnie.

- Masz rację, a więc ty również je widzisz. No tak, przecież oboje jesteśmy skazani na śmierć.

- Zastanawiam się, co nasi ukochani mnisi sądzą o lodowatym wichrze ciągnącym od wysokich gór w Norwegii. Chodź, Jordi, wiemy już teraz, gdzie jest Antonio! I chyba raczej powinniśmy się spieszyć.

Jordi ujął ją za rękę i pobiegli przez niską zeszłoroczną trawę pod sinoczną skałą.

Antonio nie widział mnichów, bo był przecież tylko „zwykłym śmiertelnikiem”. Ale słyszał ich, słyszał ich od dawna. Najpierw w „oddali, ponad górskim masywem, a potem jak zbliżali się coraz bardziej, wydając z siebie coraz przenikliwsze krzyki.

Wokół niego panował istny chaos, chociaż on niczego nie widział. Nie pojmował, co się dzieje, ale coś bez ustanku szeleściło w suchych liściach, a w głowie rozlegał się szum głosów. „Zdejmij wieczko, teraz, już!”

„Spiesz się, spiesz, czas płynie! Nadchodzą, nadchodzą!”

„Wyrzuć pokrywkę! Daleko, bo inaczej nie będą mogli przyjść!”

Głosy wydawały się różnorodne, pobrzmiwała w nich coraz większa histeria, a Antonio nie był w stanie zrozumieć, co mówią. Kto taki nadchodził? I ile to grup?

Rozgorączkowany rozejrzał się dokoła. Gdzie jest jakieś miejsce odpowiednie do odprawienia rytuału? Najwyraźniej powinien się spieszyć, tyle i on rozumiał. Te głosy wcale nie musiały go poganiać.

Tam! Nieco dalej zauważył jakiś prześwit w lesie, ponad karłowatą roślinnością wystawała naga skała.

Antonio czym prędzej pospieszył w tym kierunku. Znalazł się teraz tak blisko krawędzi płaskowyżu, że mógł daleko w dole zobaczyć dolinę.

Skała zakończona była zupełnie płaską półką, ostro ściętą z jednej strony. Gdyby ustawił się przy niej, półka mogłaby mu posłużyć za coś w rodzaju ołtarza. Idealnie, akurat to, czego potrzebował.

Ogarnięty gorączką, trzęsącymi się rękami ściągnął plecak z ramion i rozsznurował go. Najpierw powymował swoje pudełeczka, pojemnik z trucizną na razie zostawił. Lepiej za bardzo nie drażnić prześladowców.

Ale dookoła niego już i tak zrobiło się tłoczno. Uderzył go nagły powiew wiatru, który o mały włos nie cisnął go ku krawędzi płaskowyżu, a pojemniczki się wywróciły. Jeden z nich pochwycił nawet w powietrzu, nim poszybował uniesiony wiatrem.

Rzeczywiście, buntowano się przeciwko temu, co próbował zrobić.

Ale mnichów tu nie było, przynajmniej na razie. Od czasu do czasu ich przenikliwie krzyki rozlegały się pod ' niebem, lecz wciąż jeszcze znajdowali się w pewnej odległości od niego, chociaż wyraźnie dawało się odczuć, że się zbliżają.

To znaczy, że... Kim byli ci znajdujący się tutaj? Skupił się na swojej pracy.

Mały moździerz. Ostrożnie wypakował go z serwetki, i w którą owinęła go Gudrun. Ustawił naczynie na „ołtarzu”, a potem otworzył plastikowe pudełko z ziołami.

Delikatne, szare, pokryte jakby puchem listki lawendy znalazły się w moździerzu. Potem szałwia, również to zioło szarozielone. Żadne z nich jeszcze nie kwitło, za to na gałązce tymianku widniały drobniutkie różowe kwiatki. Szkoda je miazdżyć, ale przecież musiał.

Odnalazł korzeń imbiru. Nożem posiekał go na maleńkie kawałeczki i dopiero potem wrzucił do moździerza. Czuł się trochę jak kat.

Od tej chwili wszystko zaczęło toczyć się źle.

Ktoś szarpnął za plecak, w którym wciąż znajdowała się trucizna.

To nie mogą być mnisi, stwierdził Antonio, błyskawicznie wyciągając ręce przed siebie, by ratować plecak.

Ktoś wyrwał mu go z rąk.

Teraz są już naprawdę zdesperowani, pomyślał Antonio, rzucając się w bok skokiem godnym bramkarza i, zdoławszy pochwycić plecak, padł plackiem na kamienne podłoże, prosto na swoje obolałe kolano. Tym razem kompletnie już je chyba zgruchotał. Przeszył go szalony ból i na chwilę zupełnie pociemniało mu w oczach, wreszcie jednak zdołał się jakoś podnieść. Upewnił się, czy nic się nie stało jego pudełeczkom, i wrócił do pracy, nie przestając mamrotać pod nosem.

- Niech wam się nie wydaje, że tak łatwo mnie dopadniecie, bando czarowników!

Pudełeczko z oliwkami całe było zabrudzone od środka, ale udało mu się wyjąć owocki i podzielić je nożem. Cząsteczki również trafiły do moździerza.

Z mirtu wziął tylko kwiaty, bo listki sprawiały wrażenie lekko zdrewniałych. Potem ostrożnie zerwał pączki listków z gałązki brzozy karłowatej i je również wsypał do moździerza.

Na koniec piołun...

Teraz usłyszał jęk tuż obok i mocno przyciągnął do siebie piołun i moździerz, a jednocześnie ciałem przycisnął plecak do skały. Pudełeczka były już teraz nieistotne, bo odpowiednia zawartość znajdowała się przecież w moździerzu.

Brakowało jedynie piołunu.

- Ufam, że małe gile wskazały mi właściwą roślinkę - szepnął.

Odniósł wrażenie, jakby jego ręki, trzymającej piołun, dotknęła czyjaś lekka dłoń, a kiedy dodał do moździerza ostatnie z ziół, jęk dobiegający z pewnej oddali przemienił się teraz w ryk bezsilnej wściekłości.

- Jest więc was tu więcej! - mruknął z ponurą miną. - Ale kto jest kim albo czym, aż boję się zgadywać.

Rycerze?

Nie, oni przecież nie mogli się zbliżyć do pudełeczka z trucizną. Mnisi również trzymali się z daleka.

Jakież to strachy właściwie zesłali na niego? Ten chłopak w czarnym ubraniu i tamten metaliczny głos w telefonie, który twierdził, że Vesla leży w szpitalu. I te skradające się kroki. Wszystko to, co znajdowało się tutaj. Prawdziwy natłok tajemniczych dźwięków i ruchów.

Ale tu było jeszcze więcej stron.

Miał przecież otrzymać pomoc, czyżby się teraz pojawiła?

Nie wiedział.

Złapał tłuczek mózdzierza i zaczął miażdżyć zioła. Otworzył plastikową butelkę, zawierającą drogi koniak. To oczywiście świętokradztwo wlewać Hennesy Privilege V. S. O. P. do plastikowej butelki, ale bał się nieść w plecaku szklany pojemnik. A dwa kieliszki, które ustawił na kamiennym ołtarzu, były z nietłukącego się szkła. Na widok pięknych kielichów Vesli uśmiechnął się z czułością.

Antonio wlał kilka szlachetnych kropli do mieszanki ziół, żeby łatwiej ją było jak najdokładniej rozdrobnić. W powietrzu wyczuwalna już była wściekłość, Antonia dekoncentrowały porywy wiatru i szarpanie za plecak. Dostało się również mózdzierzowi, mało brakowało, a wylałaby się z niego cała zawartość.

- Trzymajcie się z daleka od moich rzeczy, wy nieludzie! - syknął, natychmiast żałując swojego wybuchu. Nie mógł sobie teraz pozwolić na stracenie opanowania, zadanie wymagało od niego pełnej koncentracji.

W odpowiedzi przewróciły się oba kieliszki. Antonio cierpliwie, przynajmniej na pozór, ustawił je na powrót na wybranych przez siebie miejscach.

Nikt nie opisał mu dokładnie, w jaki sposób należy odprawić ceremonię, musiał robić wszystko według własnego wyczucia.

Palce mu drżały. I co teraz, w jakiej kolejności?

Z wielkim wahaniem wyjął z plecaka starannie opakowane srebrne pudełko.

Jakiś krzyk z nieba powiedział mu, że mnisi są teraz tuż ponad nim.

Antonio wyciągnął nóż, żeby przeciąć taśmę oblepiającą dookoła zewnętrzny pojemnik.

Ale znów poczuł ów leciutki dotyk na palcach, jak gdyby ktoś ostrzegawczo położył

rękę na jego dłoni.

- Ach, tak, więc jeszcze nie - odpowiedział Antonio w powietrze. - Wobec tego przygotuję teraz kieliszki.

Z największą starannością napełnił mózdzierz koniakiem, wymieszał wszystko tłuczkiem i rozlał w równych częściach zieloną mieszaninę do dwóch kielichów. Wciąż nie mógł pojąć, do czego potrzebne mu są dwa naczynia, lecz rycerze wcześniej dali mu do zrozumienia, że napój należy rozdzielić. Wprawdzie nie powiedzieli tego bezpośrednio słowami, lecz tak czy owak dało się to zrozumieć.

Słońce dawno już otoczyło chłodny pejzaż ciepłymi promieniami, a Antonio nie miał czasu nawet na to, żeby to zauważyć. Teraz, poczuwszy na plecach słoneczne ciepło, nabral jakby od tego otuchy.

Zadawał sobie pytanie, jak długo właściwie już trwa przygotowywanie tej mikstury, od jak dawna słońce jest na niebie i która może być godzina. Nie miał czasu, żeby to sprawdzać.

„Pij, pij” - rozległ się szept w jego głowie.

„Wyrzuć pokrywkę!” - syczały inne głosy.

Antonio nie słuchał, usiłował skupić się na obliczaniu czasu.

Wędrowka przez moczary i przez wodę, przerwa na poprawienie bandaża, szukanie odpowiedniego pnia brzozy... I wszystkie opóźnienia spowodowane przez niewidzialne stwory. Musiały minąć całe godziny, pomyślał z przerażeniem. No tak, teraz sobie przypominał, że od dawna już przecież otaczało go mocne światło, jak gdyby kamienna półka leżała skapana w blasku słońca. Od dość dawna też nie było mu już zimno.

Zdażył się akurat przygotować do wypicia napoju, kiedy otaczająca go w powietrzu wściekłość osiągnęła punkt kulminacyjny. Porywy wiatru zmieniły się w istną wichurę, która nabrała siły orkanu.

W niego również uderzyła nawałnica, aż w oczach mu pociemniało. W ostatnim momencie przytomności, kiedy osuwał się na kolana, bo nogi nie chciały go już dłużej nosić, przeszła go świadomość, że ważne są trzy rzeczy: srebrne pudełeczko i dwa kieliszki. Ostatkiem woli chwycił je, rzucił się na zapakowane pudełko, a dwa naczynia zdołał ustawić przy skale i zakryć je ręką. Potem stracił przytomność.

W ciemności, w którą się osunął, towarzyszył mu pewien obraz.

Kiedy padał na kolana, jakby uderzony trzonkiem miotły czarownicy, tak, to dobre określenie, po drugiej stronie skalnej półki zobaczył czyjąś twarz. Spojrzał w parę ciemnych oczu, w których błyszczał diabelski triumf. I drwina. Znać było inteligencję w służbie zła. To

młody chłopak w czarnej jedwabnej koszuli.

Wiedziałem, pomyślał Antonio. Wiedziałem, że to ty! Ale nie jesteś sam.

Wokół niego i nad nim panował wrzask i ryk. To krzyczeli mnisi, lecz upust wściekłości dawała również ta istota, która sprowadziła na niego wicher.

Ból kolana, w które znów się uderzył podczas upadku, ustąpił. Antonio zapadł się w ciemność.

Jednocześnie

Pięciu czarnych rycerzy przypatrywało się wydarzeniom z daleka. Pięć czarnych koni, utrudzonych niemalże do ostateczności nie kończąca się gonitwą przez epoki, niecierpliwie rzucało łbami.

Don Federico de Galicia westchnął ciężko i przeciągle.

„Ach, gdybyśmy tylko mogli się włączyć!”

„To prawda - przytaknął mu don Galindo de Asturias. - Ale te łotry, nasi kaci, użyli przeciwko niemu potwornych mocy”.

„Nie dają mu czasu na wypicie mikstury i odcinają go od wszelkiej pomocy - podsumował don Ramiro de Navarra. - Serce mi krwawi na widok tego, co dzieje się z moim młodym potomkiem!”

Don Garcia de Cantabria spytał:

„Widzicie chyba pomoc, która już nadciąga?”

„Tak, moja mała potomkini i jej ukochany, nasz wybrany. To prawda - przyznał z uśmiechem don Sebastian de Vasconia. - Lecz oni nie zdążą. Obawiam się, że nasz młody medyk skazany jest na zagładę”.

„Spójrzcie tylko na te czarne sępy, które krążą nad ofiarą!” - powiedział z goryczą don Federico.

„Czekają tylko na zdjęcie wieczka z pudełka, bo wtedy znów będą mogły posługiwać się swoją trucizną”.

Don Ramiro wyraźnie cierpiał.

„To takie straszne, takie przykre, nie móc nic zrobić”.

Konie bezdźwięcznie parskały. Nikt właściwie się nie zastanawiał, jaki tragiczny los przypadł im w udziale.

Jordi zatrzymał się. Przeprawili się już przez rzekę Trola i znaleźli wzgórze, z którego roztaczał się niezły widok.

- Rycerze są tutaj!

- Wiem o tym - odparła Unni, przemoczona, bo przechodząc przez rzekę musiała zanurzyć się w zimną wodę powyżej kolan. - Czego chcą?

- Popędzają nas naprzód. Musimy się spieszyć.

- Dużo szybciej nie możemy iść. Dotarli do szczytu wzgórza.

- Widzę Antonia! - zawołała Unni. - Ale, co na miłość boską... ?

Mnichów fruujących pod postacią ptaków wysoko w górze widzieli już wcześniej, teraz zobaczyli coś więcej.

- Dobry Boże - szepnął Jordi. - Chodź, Unni, najszybciej jak tylko możesz! Ja pobiegnę przodem.

- Będę ci deptać po piętach - zapewniła. - Jak cień.

Antonio rozpoznał ów delikatny jak piórko dotyk. Teraz poczuł go na ramieniu i na karku.

Głosy w głowie, przelęknione, dziecinne głosy.

Despiertese, Salvador! Salvador despiertese! Por favor!

Antonio usiłował się poruszyć. Nie posiadał się ze zdumienia. Nazwali go „Wybawicielem” i tak gorąco prosili, żeby się zbudził!

Głosy nie cichły.

„Pomóż nam, ratuj! Oni nadchodzą! Tak bardzo prosimy, zbudź się, nasz wybawicielu! Wypij to, wypij!”

Antonio cały czas nakrywał kielichy ręką, mało ich przy tym nie wywrócił. Nie, do tego nie wolno dopuścić. A srebrne pudełko? Całe szczęście, nakrył je ciałem, jednym rogiem wbiło mu się w żebro.

Nie mógł pozostawać nieprzytomny zbyt długo. Hałas ponad jego głową i dookoła nie tracił nic z mocy. Wiatry wokół szalały z niezminiejszą siłą.

Nie mając śmiałości całkowicie się podnieść w obawie, że srebrne pudełko zostanie mu odebrane, drżącymi dłońmi Antonio zdołał unieść jeden z kielichów.

Wypił łyk.

- Uf! - Pełen goryczy, trudny do opisania smak nie pozwolił mu wypić więcej, lecz w końcu jakoś się przemógł. Szarozielona zawiesina nie miała w sobie żadnej delikatności, a koniak, który do niej dolał, był piekielnie mocny. Jak on to wytrzyma? Przecież spije się na umór!

Podniósł się na niepewnych nogach, pudełko wsunął pod pachę. Drugi kielich postawił teraz na „ołtarzu”.

Zaskoczony wpatrywał się w postacie, które wyłoniły się z nicości.

W jego stronę szła piękna, dostojna kobieta o błyszczących czarnych oczach, ubrana w czerń i złoto. Na twarzy malowała jej się powaga. Wyciągnęła rękę po kieliszek, a Antonio z uniżonym pozdrowieniem podał jej naczynie.

- Piję za twoje zdrowie, piękna Urraco - powiedział po hiszpańsku, a ponieważ zostało mu jeszcze trochę niezwyklej mikstury, wypili razem.

Nie byli jednak sami. Po drugiej stronie skały stał ów czarno ubrany młody chłopak, który tyle razy sabotował podróż Antonia. Twarz wykrzywiała mu wściekłość, widać było, że jest gotów w każdej chwili rzucić się na paczuszkę, którą Antonio trzymał pod pachą.

W dodatku łotr miał jeszcze jednego sprzymierzeńca, była nim jakaś starsza kobieta, ohydna w swej złości i w zadziwiających próbach, by wyglądać młodo. Podobnie jak u wielu kobiet z południowych krajów, które rozjaśniają sobie włosy, również jej włosy przybrały ową typową marchewkową barwę, a twarz pokryta była jakby kitem, białym i różowym, który miał ukryć zmarszczki. Powieki wprost jaśniały niebieskozielonym cieniem. Ubrana była w jakąś różową kreację, która prezentowała się na niej nader dziwnie.

Ale ta kobieta była niebezpieczna, to właśnie ona sterowała wiatrami, które smagały Antonia niczym miotła czarownicy. To ona potrafiła być wszędzie, to przed nią musiał się osłaniać. Ona bowiem nie trzymała się wyłącznie ziemi, potrafiła oderwać się od niej i nieoczekiwanie znaleźć się na skale i uderzyć Antonia.

Ale i czarownica Urraca nie przybyła sama. Teraz, kiedy Antonio napił się już tajemniczego napoju, mógł zobaczyć jej towarzyszy. Ujrzał parę bardzo młodych ludzi, nastolatków, chłopca i dziewczynę, o niespotykane szlachetnych twarzach, ubranych bardzo wytwornie. Lecz jakże byli wystraszeni, przerażeni niemal do szaleństwa!

Nie miał jednak czasu, żeby zbyt długo się im przyglądać, bo wysztafirowana kobieta znów zaatakowała go niczym furia. Młody łotr zaś wskoczył na skałę i rzucił się na niego, mnisi natomiast nie przestawali wrzeszczeć jak stado podnieconych kawek.

Antonio kątem oka dostrzegł swego brata i Unni, nadbiegających przez brzozowy las i kierujących się w stronę skały. Ach, dziękuję wam, pomyślał, lecz zaraz tego pożałował.

Przecież również ich wciągnął teraz w tę śmiertelnie niebezpieczną grę. Jak się to wszystko skończy?

Antonia nie dziwiło wcale, że Jordi i Unni widzą, co się dzieje, żadne z nich nie potrzebowało czarodziejskiego napoju, żeby zobaczyć to, co niewidzialne.

Zdażył jeszcze dostrzec, że Unni pochyła się i zbiera kilka białych brzozowych gałązek, i zaraz potem trafił go cios, od którego zatoczył się na ziemię.

Urraca wołała do niego coś w swojej staroświeckiej hiszpańszczyźnie. Przetłumaczył to sobie jako: „Skrzynka, podaj mi srebrną skrzynkę, prędko!”

Antonio był mocno zamroczony trzema silnie działającymi tabletkami przeciwbólowymi, potężną dawką koniaku wymieszanego z piołunem i wieloma innymi dziwnymi składnikami, a także wszystkimi ciosami, jakie zadała mu ta straszna kobieta. Uważał jednak, że nie może pozwolić, aby duch sam rozrywał taśmę klejącą i papier, po prostu nie mieściło mu się to w głowie. Trzęsąc się na całym ciele, z kolanem, które bolało jak oszalałe, zgrabiałymi palcami próbował zedrzeć oporną taśmę.

Jordi dotarł już do niego. Mnisi wrzeszczeli histerycznie, ich niewolnicy, młody chłopak i różowa kobieta, parskali jak dzikie koty, próbując wydrzeć mu paczkę. Jordi jednak zdołał wyciągnąć nóż, który Antonio nosił przytroczony do paska, i szybko rozprawił się z zewnętrznym pojemnikiem.

Nikt nie miał czasu patrzeć na to, co wyprawia Unni. A ona z białych gałązek układała na kamiennej płycie jakiś wzór. Gdy wreszcie odsunęła się na bok, na kamieniu jaśniał białą znak rycerzy. Widniał bezpośrednio pod gromadą mnichów, kierujących się w dół.

Niestety, nie znaleźli się jeszcze dostatecznie blisko, lecz i tak ich krzyk przerażenia poderwałby umarłego. Natychmiast podnieśli się w górę, zatoczyli krąg nad płaskowyżem i zniknęli za masywem górskim.

Gdy odlecieli, ubrana jaskrawo, bez smaku, kobieta i młody chłopak stracili swą moc. Wyczarowali ich mnisi, a teraz, gdy mnichów zabrakło, ich wytwory stały zdeorientowane, nie wiedząc, co robić.

Urraca machnęła ręką w ich stronę, mrucząc coś w jakimś prastarym, zapewne wymarłym już dawno języku i prześladowcy natychmiast zniknęli.

Na górskiej równinie nareszcie zapanował spokój.

Jedno tylko dziwiło Unni i Antonia. Przez cały czas królewskie dzieci stały w oddaleniu od siebie, po obu stronach Urraki, trzymały się jednak z dala również od niej i nigdy nawet na siebie nie spojrzały.

Wyglądało to na niepojętą wprost samotność.

- Dziękuję ci - powiedziała Urraca do Unni. Pytająco patrzyła na dziewczynę ze współczesności. - Czy myśmy się już kiedyś nie spotkały?

Unni ku swej radości odkryła, ile pożytku przyniosły jej próby przetłumaczenia dziennika Estelli. Całkiem nieźle rozumiała już teraz dawny język hiszpański.

- Owszem, dono Urraco. Ale to było w wizji sennej. Czarownica z piętnastego wieku przyglądała jej się w zamyśleniu.

- Tak, w wizji, to prawda - stwierdziła po namyśle.

- Widziałam wówczas również parę pani młodych przyjaciół - powiedziała Unni. - I wiele łez wypłakałam nad ich losem.

Urraca spuściła głowę.

- Dziękuję. Ale pozwólcie, że zajmę się teraz tym paskudnym srebrnym pudełkiem, a dopiero później przedstawię was młodemu.

„Przedstawię was młodemu”! Nie odwrotnie? Tutaj wyraźne było, kogo uważano za szlachetniej urodzonego.

Jordi usunął ze srebrnego pudełka wszystkie warstwy, w jakie było zapakowane, starając się przy tym nie dotykać pojemnika z trucizną.

- Nie, nie ty! Twój brat.

- Ale... Oczywiście, tylko dlaczego?

- Ponieważ on wypił antidotum, to chyba jasne.

- A więc to było antidotum? - zdumiał się Antonio.

- Nie tylko. Napój obdarzył cię również zdolnością widzenia.

- No tak, oczywiście - przyznał słabym głosem.

Jordi z lękiem patrzył, jak młodszy brat gołymi rękami podnosi srebrne pudełko i podaje je Urrace. Będzie musiał starannie się później umyć, pomyślał Jordi z braterską troską. Urraca również, chociaż być może duchy nie muszą się myć. Zresztą oboje wypili to antidotum...

Nic jednak nie mógł poradzić na swoje zdenerwowanie.

Chyba Urraca nie ma zamiaru zakopać tego tutaj, myślała Unni zaniepokojona.

A czarownica jakby w odpowiedzi zaraz skierowała na nią swe niezwykle oczy.

- Nie, dziwna dziewczyno. Zabiorę to paskudztwo z powrotem w moje własne czasy. To czas miniony, który już nie istnieje, i dzięki temu ten ohydny jad zniknie na zawsze.

Zaczekajcie tu na mnie, niedługo wrócę. Moi przyjaciele, szlachetni rycerze, nie mogą się już doczekać spotkania ze mną.

Unni popatrzyła w stronę brzozowego lasu. Dostrzegła tam czarnych rycerzy, siedzących na swych koniach. Czekali.

Kiedy znów popatrzyła na przyjaciół, okazało się, że czarownica zniknęła.

Dwoje dzieci, bo właściwie byli jeszcze tylko dziećmi, stało w niepewności. Tak samo zresztą jak Unni i Antonio. Za to Jordi postanowił działać. Zabrał się do sprzątnięcia, zmiotł pudełka i porwany papier do plecaka. Spostrzegli, że Urraca wychyliła swój kielich do dna. Nikt jej tego nie żałował, byle tylko odnalazła teraz drogę do swego stulecia i zdołała wrócić do nich, nie błądząc na przykład w baroku. Ale może duchy nie mogą się upić. Martwili się niepotrzebnie, Jordi bowiem nie zdradził, że wylał niemal całą zawartość kielicha czarownicy. Urraca wypła z pewnością nie więcej niż mały łyk mikstury. Antonio w każdym razie czuł się na rauszu, choć z całych sił starał się tego po sobie nie pokazać.

W butelce została resztką koniaku. Jordi uśmiechnął się do Unni i powiedział:

- My też wypijemy po łyku, zasłużyliśmy na to.

Unni nie chciała wydać się zbyt cnotliwa, ale nie lubiła mocnego alkoholu. Zamiast tego więc wypła łyk z kieliszka Antonia. Rozkaszła się przy tym, krzywiąc się okropnie, kiedy poczuła, jak alkohol pali ją w przełyku. Jordi wypła resztkę koniaku pozostałą w butelce.

Teraz nareszcie Unni miała nieco czasu na to, żeby przyjrzeć się niezwykle spokojowi, jaki ich otaczał. Okolica była wprost nieznośnie piękna, a pora roku na tyle jeszcze wczesna, że wszystko miało barwę szaro - fioletową, nigdzie nie było widać zieleni. Widok jednak tak zachwycał, że aż w piersi jej się ścisnęło. Ciszę przerywał jedynie pełen skargi pisk siewki, poza tym dochodził do nich tylko przytłumiony szum odległych strumieni i wodospadów.

To wieczność, pomyślała z uśmiechem.

Zrobiła gest wskazujący na to, że chce usunąć ze skalnej półki białe brzozowe gałązki.

- Nie, niech leżą - powiedział Jordi z uśmiechem. - Zbieracze moroszek będą się mieli nad czym zastanawiać.

- Tu chyba nikt nie przychodzi? - spytał przerażony Antonio. - Starałem się wybrać najbardziej odludne miejsce z możliwych. Takie, gdzie nie ma żadnych ścieżek, otoczone dość trudnymi do przebycia zaroślami...

- Możesz być spokojny - powiedział Jordi. - Tu nikt nie przyjdzie.

Urraca znów była z nimi, a oni w ogóle nie zwrócili uwagi na jej przybycie. Dotknęła

dłonią skały.

- Od teraz to miejsce będzie święte - oznajmiła. - Nie ma tu już żadnego zła. Każdy, kto tu przyjdzie, znajdzie wytchnienie od męczących myśli i zaczerpnie sił dla udęconego ciała.

Wreszcie przybyli też rycerze. Zsiedli ze swych koni i serdecznie powitali Urracę. Potem padli na kolana, zsunęli kaptury z głów i pochylili się w pokłonie przed szlachetnie urodzonymi młodymi ludźmi.

- *Principe heredero* don Federico de Galicia - poprosiła Urraca. - Przedstaw wybranym swoich przyjaciół z późniejszych czasów.

Principe heredero? A więc pochodził z książęcego rodu, tak jak przypuszczali. Był następcą tronu w kraju, który już za jego czasów został włączony do większego królestwa, przez co don Federico utracił swe królewskie prawa.

Rycerz przedstawił najpierw Unni, która, jak wyjaśnił, posiada wyjątkowe zdolności, umożliwiające jej zagłębienie w przeszłość, w to, co wydarzyło się ponad pięćset lat temu.

Potem don Federico opowiedział o Jordim, również bardzo niezwyklej osobie. Został wybrany przez rycerzy i służył im wielką pomocą.

Urraca łaskawie skinęła wtedy głową.

Na koniec don Federico przedstawił Antonia, człowieka znajdującego się na leczeniu i właśnie dlatego wybranego do tego szczególnego zadania.

- Które z całą pewnością by mi się nie powiodło, gdyby Jordi i Unni nie przybyli na czas - stwierdził Antonio szczerze.

- Na pewno by ci się udało, już ja bym się o to zatroszczyła - odparła Urraca. - Ale prawdopodobnie byłbyś jeszcze bardziej poturbowany.

Rzeczywiście, Antonio wyglądał okropnie. Miał spuchniętą górną wargę, podbite oko, przemoczone, podarte ubranie, a na jednej nodze nie mógł teraz nawet stanąć.

Don Federico uzupełnił jeszcze, że wszyscy troje są potomkami rycerzy. Unni - don Sebastiana de Vasconia, a Jordi i Antonio - don Ramira de Navarro.

- Wszyscy więc są szlachetnego rodu - oświadczyła Urraca.

Nikt z tej trójki nie próbował zaprzeczać. Zbyt kłopotliwe byłoby wyjaśnianie smutnych losów szlachetnych rodów.

I wreszcie przedstawiono im parę nastolatków.

Dziewczyna, która miała perełki we włosach i haftowaną nimi suknię, okazała się „infanta dona Elvira de Asturias”, chłopiec zaś „infante don Rodriguez de Cantabria”.

Infanci, dzieci królewskiego rodu, a innymi słowy, księżę i księżniczka bardzo

wysokiego urodzenia. Najprawdopodobniej dzieci zdetronizowanych władców Asturii i Kantabrii, a więc z wymarłych rodów dwóch rycerzy.

Trójka współczesnych pozdrowiła królewskie dzieci z należną im cziłą. Za ich czasów bowiem przyjście na świat w rodzie króla miało doprawdy wielkie znaczenie.

Kiedy już dopełniono wszystkich uprzejmości, Unni spytała:

- Ale co właściwie wydarzyło się owego czasu? Wiem, że rycerzom nie wolno o tym mówić, ale chyba my możemy zgadywać?

Urraca i rycerze popatrzyli na siebie, a w końcu czarownica odparła:

- Owszem, zgadywać możecie, lecz nie jest wcale pewne, że odpowiemy.

- Dobrze - powiedział Jordi. - Nie będziemy się więc w to mieszać, bo jeszcze coś zepsujemy.

„Zgadujcie!” - krzyknął w myślach don Galindo. Czyżby więc byli ciekawi, ile wiedzą współcześni? Unni popatrzyła na przyjaciół.

- Kto zaczyna?

- Ty zacznij - zachęcił ją Antonio. Jordi sprawiał wrażenie, jakby czuł się nieswojo.

- Tak więc doszliśmy do wniosku, że coś się stało w roku tysiąc czterysta osiemdziesiątym pierwszym...

Rycerze pokiwali głowami.

- Wówczas to Izabela i Ferdynand, jak ich tutaj nazywamy, połączyli swoje królestwa w jedno. Tomas de Torquemada jako przyszły wielki inkwizytor rozpoczął polowanie na heretyków. To zresztą Izabela rozpoczęła hiszpańską inkwizycję, była fanatyczna w swej wierze, a Torquemada okazał się doskonałym narzędziem - mówiła Unni dość niepewnie.

„Ach, tak? A więc słyszeliście o nim” - powiedział don Federico.

Antonio odparł cierpko:

- O jego nazwisku historia najchętniej by zapomniała. A historia Kościoła najchętniej zapomniałaby o całej inkwizycji.

- Ale on chyba nie miał żadnego związku z waszą sprawą? - spytała Unni. - Przynajmniej bezpośredniego. On po prostu wysłał swoich katów, tych trzynastu mnichów.

„Mów dalej” - pospieszył ją don Ramiro bez wyrazu. Antonio drgnął nagle.

- Chwileczkę, przecież ja was słyszę. Słyszę was w swojej głowie i Jordi nie musi mi niczego tłumaczyć.

- Ja także! - wykrzyknęła Unni zaskoczona. Urraca uśmiechnęła się lekko.

- Czy to takie dziwne? Przecież Antonio po wypiciu tej nalewki zyskał zdolność widzenia i słyszenia.

- A ty, Unni, też posmakowałaś szarozielonej zawiesiny - przypomniał dziewczynie Jordi.

- No tak, rzeczywiście - odparła zaskoczona rezultatem.

Nastąpiła chwila przerwy. Rycerze się uśmiechali. Nawet na twarzach milczących infantów odmalował się lekki uśmiech.

Słońce zaczynało zbliżać się do szczytów gór na zachodzie. Długi, bardzo długi dzień powoli się kończył. Jordi powiedział niepewnie:

- Wyszuta przez nas teoria mówi, że wy w pięciu północnych prowincjach potajemnie sprzysięgliście się przeciwko władzy Ferdynanda i Izabeli. Oboje oni byli ludźmi żądnymi władzy i by ją zyskać, nie wzdragali się przed niczym. Choć nie wolno nam zapominać, że uczynili również dla Hiszpanii wiele dobrego. Ale wam nie podobało się zjednoczenie, wszyscy pochodziliście ze starych, dumnych królestw. Pragnęliście zjednoczyć tych pięć krain i doprowadzić do ich odrodzenia pod jednym tronem. Czy tak właśnie było?

„Na to nie odpowiemy - stwierdził don Garcfa. - Ale mów dalej”.

- Dobrze - powiedział Jordi, który wreszcie jakoś się rozpędził. - Wybraliście więc tę parę królewskich dzieci, z dwóch środkowych prowincji, Asturii i Kantabrii. Asturia była kiedyś przecież olbrzymim królestwem, które starto z mapy, nadając jej nazwę Leon. Kastylia i Leon. Ale zakładam, że nie myśleliście wówczas o wielkiej starej Asturii, lecz o tym, co obecnie jest prowincją Asturia. Plany zapewne polegały na tym, że infanci mieli zostać sobie poślubieni jako król i królowa nowych - dawnych królestw, które miały uzyskać w dużym stopniu samodzielność, prawda?

Dofta Elvira i don Rodriguez pochylili głowy. Nie protestowali. W ten sposób potwierdzili, że Jordi i jego przyjaciele odgadli prawdę, chociaż rycerze nie wypowiedzieli ani słowa.

- Ale coś musiało się nie powieść - stwierdziła Unni. Teraz włączył się Antonio.

- No tak, wszystko przecież odbywało się w tajemnicy, ale ktoś musiał się dowiedzieć o waszych planach i donieść o nich królewskiej parze, usiłującej zjednoczyć całą Hiszpanię. A wówczas na scenę wkroczył będący pod , ręką wielki inkwizytor i jego wierni kaci, którzy mogli oczyścić scenę, a królewskie ręce nie musiały przy tym zostać zbrukane krwią.

Don Federico uniósł rękę w górę.

„Wystarczy już. Nic nie powiemy o waszych domysłach. Nie potwierdzimy, czy są słuszne czy nie, lecz dalej nie powinniście się teraz posuwać”.

- Rozumiem, bo teraz zbliżylibyśmy się do zagadki - odparł Jordi. - A mamy ją odkryć sami, bez prób podstępnego wykradania informacji.

„Owszem, musicie iść tą trudną drogą - potwierdził don Federico. - Inaczej nic z tego nie przyjdzie, a my będziemy musieli przemierzać konno ziemię przez całą wieczność”.

- Rozumiemy - powiedział Jordi. - Ale możemy chyba spytać o to, czy podążamy we właściwym kierunku? Nie chodzi mi teraz o nasze domysły, lecz o to, co zdołaliśmy do tej pory.

„Doskonale się spisaliście” - odparł krótko don Federico.

Unni wysunęła się w przód na krok.

- Skoro mówimy już o konnej jeździe... Bardzo mnie martwi los waszych koni. Czy nic nie mogłabym dla nich zrobić?

Rycerze zaskoczeni przenosili wzrok to na nią, to na towarzyszy.

- One cierpią - ciągnęła Unni. - Również one są zmuszone do biegu dniem i nocą przez wszystkie stulecia. Widzę, że są zmęczone i niechętne, tak stają dęba i rzucają łbami. Czy nie ma dla nich żadnej pomocy?

„Nie więcej niż dla nas” - odparł don Sebastian.

- Ale to przecież niewinne zwierzęta! Dono Urraco! - zaapelowała Unni.

Ale czarownica ze smutkiem wzruszyła tylko ramionami.

- O czym ty myślisz, Unni? - spytał Antonio. - O tym, żeby dać im trochę siana?

- Albo żeby je pogłaskać? - dodał Jordi. - Dlaczego podejmujesz teraz ten temat?

- Och, myślałam już o tym wiele razy, ale przyszło mi to do głowy akurat teraz, bo właśnie się zastanawiałam, w jaki sposób przetransportujemy Antonia do samochodu, i wpadłam na supergenialny pomysł, że może mógłby wsiąść na jednego z koni.

Słowa dziewczyny wywołały krótki śmiech, lecz w końcu don Garcia rzekł z powagą:

„Bardzo sobie cenimy twoją troskę o nasze wierzchowce, dziewczyno, ale nic nie możesz dla nich zrobić, bo twój świat nie może dotknąć naszego bez poważnych konsekwencji dla ciebie. Może to zrobić jedynie Jordi, a ty chyba nie chcesz żyć w jego świecie?”

- Jeśli to moja jedyna możliwość, żeby być z nim, to chcę tego.

Rycerze wymienili trudne do odczytania spojrzenia.

W czasie gdy rozmawiali, dona Elvira poruszyła się. Była to rzecz niespodziewana i wszyscy powiedli za nią wzrokiem zaskoczeni, wszyscy z wyjątkiem młodego dona Rodrigueza, który patrzył wprost przed siebie.

A drobna, krucha dziewczyna, poruszając się tak lekko, jakby unosiła się w powietrzu, podeszła do koni. Rycerze z wyraźnym lękiem wstrzymali oddech. Ich wierzchowce nie miały zbyt pokojowego usposobienia.

Ale doña Elvira przechodziła od jednego zwierzęcia do drugiego z uśmiechem na ustach, gładziła je po łbach i szyjach, szepcząc coś do nich łagodnie. Z rozbawieniem wskazywała na Unni, mówiąc, że ta miłość pochodzi właśnie od niej.

A konie jej słuchały! W pierwszej chwili cofnęły się nieco, teraz jednak stały spokojnie. Jeden z nich przytulił nawet łeb do głowy dziewczyny, inny pochylił się jakby w pokłonie. Był to wzruszający i bardzo dziwny widok.

Unni usiłowała zachęcająco kiwnąć ręką do koni, nie była jednak pewna, czy zwierzęta zrozumiały jej gest ani czy go doceniły.

- Już niedługo odzyskacie spokój i wolność - obiecała szczerze.

Na twarzach rycerzy pojawiły się surowe miny. Spotkanie dobiegło końca. Troje współczesnych otrzymało od Urraki ostrzeżenie:

- Nie znam tych dwóch istot, które wywołali mnisi, ale nie można im ufać. Byłam w stanie sprawić, że zniknęły akurat w tej chwili, lecz nie na zawsze. Oni mogą wrócić, jeśli taka będzie wola mnichów. I nie zapominajcie, teraz zapragną zemsty. Strzeżcie się więc!

- Będziemy uważać - obiecał Jordi. - I pamiętaj, że teraz wszyscy troje już widzimy. Łatwiej nam przyjdzie odparcie ataków złej strony.

Wymieniono jeszcze wiele uprzejmości i obie grupy rozstały się nie bez żalu. Rycerze, Urraca i infanci powrócili do swego wymiaru, a wraz z nimi konie. Trójka współczesnych została sama na płaskowyżu, nad którym niewidoczne już słońce barwiło niebo na czerwono.

CZEŚĆ DRUGA
ZEMSTA

Ogarnął ich nastrój niemocy i pustki. Bezgranicznej pustki.

- Wróćcie! - poprosiła Unni cicho. - Wróćcie, przyjaciele!

Nie ruszali się z miejsc, chociaż Antonio chwiał się na nogach. W końcu Jordi wziął się w garść.

- Za górami na zachodzie gromadzą się chmury, to oznacza, że jutro pogorszy się pogoda.

- Skąd wiesz? - zaciekała się Unni.

- Jeśli chodzi o pogodę, to wszystko, co nieprzyjemne, nadciąga z zachodu - uśmiechnął się Jordi. - A te góry tworzą granicę zachodniej części kraju.

- To ten tak zwany „dział wodny”?

- Mniej więcej. No i ściemnia się. Musimy się pospieszyć i odejść stąd.

- No dobrze, ale jak? W jaki sposób zdołamy stąd zabrać tego pijaka? Mam na myśli Antonia.

- Tylko bez obraźliwych epitetów! Poświęciłem się i upiłem dla dobra sprawy, zapamiętajcie to sobie!

- Dobra, dobra. Jordi zamyślił się.

- No tak, rzeczywiście, on nie może iść na tej nodze.

- W ogóle na tych nogach - mruknęła Unni pod nosem. Głośno natomiast powiedziała: - Powinniśmy byli poprosić rycerzy, żeby nam pożyczili na przykład karego z Navarry. Może jako zaliczkę na spadek?

- O, nie, dziękuję bardzo! - wzdrygnął się Antonio.

- Nie można dosiąść wierzchowca - zjawy, bo szybko spadnie się na ziemię. Ale moglibyśmy zrobić tobogan - zaproponował Jordi.

- Miałbym leżeć i pozwalać się obijać o każdy kamień, wystający korzeń i wszystkie inne nierówności?

- Może więc nosze? Z dwóch kijów i pasków - podsunęła Unni.

- Dziękuję wam bardzo, macie doprawdy doskonałe pomysły. Ale wolałbym zatrzymać spodnie. Czy nie mogę po prostu opierać się na was i skakać na jednej nodze? Tak jak przy grze w klasy?

- Przed nami daleka droga - przypomniał mu Jordi. - Unni padnie za pół kilometra.

Dziewczyna niezbyt uważnie go słuchała.

- Głupio się zachowaliśmy. Mogliśmy poprosić rycerzy, żeby naprawili Antoniowi kolano. Nie możemy na nich zagwizdać?

- To bym odradzał - stwierdził Jordi. - Zapamiętaj, w Hiszpanii na nikogo się nie gwizdże. Kelnerzy bardzo źle przyjmują takie zachowanie, a nie przypuszczam, żeby rycerze podeszli do tego z większą przychylnością.

- Tylko nie wzywajcie teraz śmigłowca, bo umrę ze wstydu - westchnął Antonio.

- Nie bój się, nie możemy sobie na to pozwolić. Mam na myśli helikopter, a nie ciebie - uśmiechnął się Jordi z czułością. - Ale dobrze, oprzyj się teraz na mnie, w brzozowym lesie spróbujemy znaleźć jakąś gałąź, która będzie mogła posłużyć ci jako kula. Zgadzasz się na to?

- Owszem, to mogę zaakceptować... Dopóki nie zrobią mi się odciski pod pachą.

Upewnili się jeszcze, czy zostawiają to miejsce w należyтым porządku, i wreszcie bardzo powoli zaczęli się stamtąd oddalać.

- Na Boga, jak ty cuchniesz koniakiem! - skrzywił się w pewnym momencie Jordi.

- Bardzo mi przykro - odparł Antonio. - Niestety, zaczynam już trzeźwieć.

- Naprawdę? - spytał z niedowierzaniem Jordi. Unni, idąca za nimi, bo zarosła były tu zbyt gęste na to, żeby we troje zmieścili się obok siebie, zastanawiała się nad czymś innym.

- Te dwie przerażające postaci, które Urraca odprawiła machnięciem ręki... Kto to właściwie był?

Bracia zatrzymali się wśród brzoź.

- Muszę zadzwonić do Elia i spytać - powiedział Jordi.

- Do Elia? - zdumiała się Unni.

Antonio natomiast usiłował odebrać bratu telefon.

- Masz komórkę przy sobie i nic mi nie mówisz? Muszę porozmawiać z Veslą!

- O, tak, na wielkie nieba! - westchnęła Unni. - Powinniśmy przecież ich powiadomić, że odnaleźliśmy naszą zgubę.

- Martwili się o mnie? - cicho spytał Antonio.

- Nie, po prostu chcieli odzyskać samochód - zażartował Jordi. Zaraz potem jednak zapewnił: - Ogromnie się o ciebie niepokoiłiśmy. Wszyscy, a najbardziej Vesla. Przecież inaczej nie przyjechalibyśmy tu za tobą.

- Wiem, wiem - roześmiał się Antonio. Pozwolono mu porozmawiać z Veslą. Jordi i Unni w tym czasie z cienkiego pnia przewróconej brzozy wystrugali odpowiednią kulę. Pień wydawał się dostatecznie mało spróchniały, żeby przez jakiś czas wytrzymać ciężar Antonia.

Przysłuchiwali się tonowi długiej rozmowy. Wychwytywali w niej czułość, miłość i

intymność, chociaż słów nie słyszeli.

Jordi popatrzył na Unni z żalem w oczach.

- Przyjdzie taki dzień, zobaczysz.

Dziewczyna kiwnęła głową. Przyjdzie taki dzień, kiedy i oni będą mogli być ze sobą blisko, połączeni miłością równie wielką jak ta, którą okazywali sobie i obdarzali się Antonio i Vesla.

Przyjdzie taki dzień...

Kiedy przekleństwo nie będzie już dłużej ciążyło nad ich głowami. Kiedy zdołają je zniszczyć, uporają się z nim już na zawsze.

Kiedy... I czy w ogóle... ?

Antonio zakończył rozmowę, twarz promieniała mu szczęściem. W czasie gdy wypróbował swoją nową kulę, Jordi zadzwonił do Włoch, do Elia. Tu, ponad wrzawą świata, połączenie było doskonałe.

Stary przyjaciel, słysząc ich głosy, wzruszył się niemal do łez. Wprost tryskał entuzjazmem, gadał jak nakrecony, tak że Jordi nie mógł wtrącić ani słowa.

Tak, tak, Elio i jego rodzina miewają się doskonale, Elio grywa w szachy z bratem Flavii i któregoś dnia dał mu prawie mata. Flavia jest teraz u siostry, ich matka bardzo źle się czuje. A teraz brat też wyjechał i pewnie na razie koniec z szachami. Oby Najświętsza Panienska zlitowała się nad chorą! Ale on, Elio, tak czy owak się nie nudzi, bo Flavia ma przepiękny ogród, mógł więc teraz być ogrodnikiem, dostał nawet kilka szczepek, które zabierze ze sobą do Hiszpanii... Co takiego? Jak wyglądał Emile? Nie, tego Elio nie wiedział, nigdy go nie spotkał. A poza tym zasadził...

Jordi w końcu go przekrzyczał.

- Wiesz, ile lat miał Emile?

- Nie, tego też nie wiem - odparł Elio, który w końcu zdał sobie sprawę z tego, że i jego rozmówca pragnie dojść do głosu. - Nikt go nie widział od tamtego czasu, kiedy zabił Santiago w piwnicy w Granadzie.

Jordi zaczął coś liczyć. Santiago zmarł w wieku dwudziestu pięciu lat, a Emile był od niego młodszy.

- Tak, tak, młodszy, o ładnych kilka lat. Wtedy widziano go po raz ostatni. Prawdziwy był z niego sprytny i przebiegły mały diabeł.

- Mały i zwinny?

- Jak łasica.

- Rozumiem. Mam jeszcze jedno pytanie, Elio. Wspominałeś, że spotkałeś kiedyś

Emilię. Mówiłeś, że to zła, chociaż piękna kobieta.

- No cóż, była piękna, kiedy ją spotkałem, ale jej uroda prędko przeminęła, tak przynajmniej mówili ci, którzy lepiej ją znali. Zdaje się, bardzo się starała za wszelką cenę zatrzymać urodę i młodość. Ale pamiętam, że ktoś kiedyś powiedział, że 'właśnie przez te próby odmładzania się wyglądała na co najmniej dwadzieścia lat starszą, niż była w rzeczywistości.

- Pamiętasz, jak była wtedy ubrana?

- Nie, ja na takie rzeczy nie zwracam uwagi. Ale ludzie mówili, że ani trochę nie miała gustu.

- Potrafisz ją sobie wyobrazić na przykład w obcisłej różowej sukience? W takiej, w której przypominałaby baleron?

- To rzeczywiście bardzo do niej podobne. Chyba naprawdę miała źle w głowie.

- Dziękuję, te informacje bardzo nam się przydadzą. Nie tęsknicie za domem?

- No, tak, oczywiście, zwłaszcza panie, ale jest nam tu naprawdę dobrze.

- Cieszę się, że tak jest. Elio, przypuszczamy, że Leon został już wyeliminowany z gry, już cię nie ściga. Nie wiem jednak, jak się sprawy mają z Alonzem i innymi. Jeśli więc zdołacie wytrzymać jeszcze trochę...

- Ależ tak, ależ tak! - zapewnił Elio.

Jordi obiecał, że zadzwoni, gdy tylko będą mieli jakieś nowe wiadomości.

Rozłączył się i popatrzył na towarzyszy.

- Chyba rzeczywiście jest tak, jak podejrzewaliśmy. Te dwie istoty, przywołane przez mnichów, to musieli być Emile i Emilia.

- Ojej - zdziwiła się Unni. - Ja niczego nie podejrzewałam.

- A ja miałem swoje przypuszczenia co do Emile - powiedział Antonio z namysłem. - Z początku nie, lecz kiedy pojawiła się także ta kobieta, zacząłem się czegoś domyślać. Ale on przecież był dziadkiem Emilii ze strony ojca. Mógł mieć dzieci w tak młodym wieku?

- A dlaczego nie? - spytał Jordi cierpko. - Na ile oceniałbyś wiek tego chłopaka?

- To trudno powiedzieć. Był taki drobny, niewysoki. Ale te oczy... Tyle z nich było przebiegłości, ich wyraz wskazywał też na bogactwo doświadczeń. Oceniałbym jego wiek na pomiędzy osiemnaście a dwadzieścia trzy lata.

- No, to zdołałby powołać do życia bardzo wiele dzieci.

- Wystarczy jedno. Ojciec Emilii. Dziwnie widzieć ich razem, kiedy się wie o łączącym ich pokrewieństwie. Wnuczka Emilia wyglądała na o wiele starszą od swego dziadka. Oczywiście wynika to z ich wieku w chwili śmierci i oznacza także, że zły Emile nie

dożył sędziwej starości.

- Ale dlaczego cię nie zaatakował, skoro przez cały czas szedł za tobą? - dziwiła się Unni.

Antonio zatrzymał się i poprawił kulę. Dotarli już do rzeki Trola i teraz z pewnym powątpiewaniem oceniali możliwości przedostania się na drugi brzeg.

- Wydaje mi się, że to wcale nie Emile się za mną skradał - wyjaśnił Antonio po namyśle. - Bo przecież później, w brzozowym lesie, widziałem jego czarną postać, a wtedy kroki tych, co za mną szli, pojawiły się po obu moich bokach. Przypuszczam, że to były królewskie dzieci.

- Dlaczego tak sądzisz? - zainteresował się Jordi, przerzucając jeszcze jeden pień przez rzekę.

- Nie wiem. Oni mnie chronili i wiele razy mi pomogli, lecz również szukali u mnie ochrony. Nie wiem, co było dla nich ważniejsze.

- Prawdopodobnie i to, i to było ważne. Oni się śmiertelnie boją mnichów, o tym wiemy, bo te łotry ich ścigają. Ty miałeś przy sobie srebrne pudełeczko, na którego wieczku wyryty był znak rycerzy, a to chroniło ich przed mnichami. Lecz dzieci bały się również o twoje życie. Byłeś przecież *el Salvador*, ich wybawcą.

- Ojej! - westchnął Antonio. - Czuję się bardzo zaszczycony.

- Doskonale się spisałeś! - zapewnił go brat.

W tym momencie Antonio stracił równowagę i wpadł do wody.

Wyciągnęli go, pomogli mu wydostać się na brzeg, ale teraz wszyscy troje byli już mniej lub bardziej przemoczeni.

Unni zafascynowana przyglądała się zgrabnej sylwetce Jordiego. Spodnie lepiły mu się do skóry, podkreślając linie ciała. Zrobiło jej się gorąco.

Ja go pragnę! Nawet gdybym miała zamarznąć na bryłę lodu, muszę go mieć!

Jordi obrócił się i patrzenie na niego w tej chwili stało się niemalże ponad siły Unni. Jego myśli natomiast krążyły wokół zupełnie innego tematu.

- Bardzo sprytnie postąpiłaś, układając znak rycerzy na kamiennej półce - powiedział, wylewając wodę z butów.

- Ja też tak uważam - przyznała dziewczyna ze śmiechem, lecz ten śmiech wypadł bardzo drżąco, bo woda w rzece była lodowata. - Ale nad jedną rzeczą zastanawiam się już od dawna.

Bracia popatrzyli na nią. Antonio siedział na brzegu rzeki, na szczęście tym właściwym, bo zdołali się przedostać na drugą stronę, i usiłował wyjąć swój sweter. On także

doskonale się prezentował w lepiącej się do ciała koszuli, lecz przecież nie był Jordim. Sama Unni ucierpiała najmniej. Zawisała przewieszona przez pnie, mniej więcej jak uśpiony lampart, z rękami i nogami w wodzie. Resztę ciała miała stosunkowo suchą, lecz i ona musiała wylać z butów wodę.

- Myślałam o tych znakach wrytych nad drzwiami zmarłych, na przykład nad drzwiami męża Gudrun, nad drzwiami Signe i Jordiego.

- Co cię w tym dziwi? - spytał Antonio. Miał sine wargi i szczekał zębami.

- Znaków nie mogli wryć mnisi, te gady śmiertelnie boją się przecież znaku.

- Masz co do tego rację - przyznał Jordi. - Musiał to robić ktoś inny.

Nagle odkrył żarliwe, nieskrywane zainteresowanie Unni dla jego ciała. Dziewczyna drgnęła gwałtownie i odwróciła się. Jordi przez moment stał niezdecydowany, a w końcu podszedł do niej, objął mokrymi ramionami, pocałował w czoło i szepnął:

- Dziękuję. I nawzajem.

Unni uśmiechnęła się, smutna i zmrożona.

Jednocześnie

„Co się stało? Co się wydarzyło?”

„Znów nas powstrzymała ta bezbożna heretyczka! Nie pozwoliła nam zlecieć w dół i przeżyć triumfu! Zrobiła to w taki nikczemny sposób!”

„Zemsta! Zemsta!”

„Na zawsze odebrali nam naszą śmiercionośną maść!”

„Strzeżmy się, strzeżmy!”

„Zemsta na nich wszystkich!”

„Kłujmy, dręczmy, palmy, bijmy!”

„Nie możemy się rozprawić z tą przebiegłą Urracą. Jest teraz poza naszym zasięgiem”.

„A ta dziewczyna tak chytrze posługuje się tym wstrętnym znakiem”.

„Ruszajmy, bracia w duchu, przygotujmy plan naszej zemsty!”

Ośmiu mnichów, którzy jeszcze pozostali, zbliżyło się do siebie. W czarnych opończach i z łysymi czaszkami przypominali stado sępów, skupionych nad ofiarą.

Wszyscy troje byli tak mokrzy i wychłodzeni, że nie mieli odwagi nocować wśród gór. Zimne powiewy wiatru ciągnącego od lodowców przenikały przez mokre ubrania, wprost mroząc skórę. Musieli dotrzeć do samochodu bez względu na porę nocy i bez względu na to, jak trudno było iść Antoniowi.

Pojawił się natomiast kolejny problem: dwa samochody.

Kto może poprowadzić ten drugi?

Nie Unni, ona stanowiłaby zagrożenie dla użytkowników dróg, nawet gdyby w ogóle umiała uruchomić samochód.

- Phi, z pedałami sobie poradzę! - zapewnił Antonio. Na twarzy rysowały mu się bruzdy ze zmęczenia, bólu i zimna. - Będę używał dużego palca u lewej stopy.

- O, nie, za to dziękujemy! - powiedział Jordi cierpko. - Unni, wymyśl coś! Nie możemy zostawić tu jednego samochodu, a holowanie go przez całą drogę też nie wchodzi w grę, bo osoba, która prowadziłaby ten jadący na holu, i tak musiałaby posługiwać się pedałami. Zwłaszcza podczas jazdy w dół.

- No tak, bo nie mam szczególnej ochoty na pięćdziesiąt urazów kręgosłupa podczas całej wycieczki.

Zastanowiła się.

- Mam pewien pomysł, ale nie wiem, czy go zaakceptujecie.

- Mów!

- Pamiętacie Jørna? Tego zwariowanego na punkcie komputerów, który pomógł nam załatwić bilety do Hiszpanii?

- Oczywiście - odparł Antonio. - To ten, który nie mógł pojąć, dlaczego nie chcemy go dopuścić do takiej świetnej zabawy.

- Właśnie, ten sam. Moglibyśmy go teraz wezwać, ale kierowców musi przyjechać dwóch, prawda?

- Tak, bo inaczej znów będzie o jeden samochód za dużo.

- No właśnie. A Vesla dowiedziała się od Hege, że ta nasza grupa przyjaciół się rozpadła. Nie możemy poprosić o pomoc Mariusa, tego od piłki nożnej, bo on i Jørn nie odzywają się do siebie, odkąd Emma zadawała się z obydwojema.

- Ach, ta Emma! - westchnął Jordi. - A może Vesla mogłaby przyjechać?

- O, wykluczone! - zdecydowanie zaprotestował Antonio. - Już i tak okropnie się o nią

lękam, a tu w dodatku jest niebezpiecznie.

Jordi posłał Unni wieloznaczne spojrzenie. Antonio uśmiechnął się z pewnym zawstyżeniem.

- Przepraszam, ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że Unni bez względu na to, co się stanie, zawsze wylądaje na cztery łapy.

- Nie wiem, czy mam to potraktować jako komplement, Antonio. Moja kobiecość protestuje. No to może Pedro... ?

- Jest bardzo późno, ale... próbujemy!

Vesla i Gudrun jeszcze nie spały. Nie pozwalały im na to zszargane nerwy. Wciąż nie mogły odzyskać spokoju. Obie siedziały w salonie, przy filiżance kawy z domowym ciastem. Unni zaliczała się do dziewcząt tego rodzaju, które zawsze zapraszały na „gwarantowane najprawdziwsze ciasto z cukierni”, one obie jednak nie wiedziały już, co robić, żeby czas szybciej płynął. Zresztą tak naprawdę lubiły piec.

- Całe szczęście, że zadzwonili - westchnęła Vesla. - To były okropnie nerwowe dni.

- O, tak, rzeczywiście, inaczej nie można tego nazwać. Odczułam taką ulgę, kiedy powiedzieli, że znaleźli Antonia, że mało się nie rozplakałam.

Morten i Pedro już się położyli, wycieńczeni niepokojem.

Vesla badawczo popatrzyła na starszą przyjaciółkę.

- Co zamierzasz robić później? Kiedy... Zwróc uwagę, że mówię „kiedy”, a nie „jeśli”, kiedy wszystkie te straszne rzeczy się skończą? Wrócisz do Selje? A może... pojedziesz do Hiszpanii?

W oczach Gudrun pojawiło się rozmarzenie. Zatonęła w myślach.

- Nie wiem, Veslo. Pedro chce, żebyśmy zamieszkali razem. Tyle lat już straciliśmy. Ale tak naprawdę nie wiem, co będzie. Nie jestem przyzwyczajona do mieszkania z kimś. Tyle lat już upłynęło, człowiek się zestarzał...

Vesla czekała w milczeniu.

- A każdy ma swoje nawyki, dobre i złe. Znów trzeba by się nauczyć brać pod uwagę kogoś innego. Widzisz, życie w pojedynkę jest całkiem przyjemne, samotność bywa wygodna. Oczywiście, od czasu do czasu odczuwa się pustkę. Najgorsze były pierwsze lata po śmierci Jonasa, i później, kiedy umarła Sigrid.

Gudrun na chwilę zatonęła w tragicznych wspomnieniach, ale wreszcie odetchnęła głęboko.

- W końcu jednak człowiek bierze się w garść i przyzwyczajają się do samotności.

Miałam od tamtej pory kilku przyjaciół, ale za każdym razem oddychałam z ulgą, gdy się wyprowadzali. To trochę tak jak Martin Ljung w tym pociągowym skeczu mówił o panu Larssonie: „Cudownie mieć przedział tylko dla siebie”.

Vesla kiwnęła głową na znak, że rozumie.

- Kiedy się z kimś mieszka, z tyłu rzeczy trzeba rezygnować. Tyle rzeczy trzeba brać pod uwagę. I jak już mówiłam, człowiek się starzeje, robi słabszy.

- Nie ty - uśmiechnęła się Vesla.

- Może jeszcze nie, ale moje starsze przyjaciółki i sąsiadki narzekają. Trzeba powiedzieć mężczyźnie o swoich drobnych wadach czy też o brzydkich przyzwyczajeniach. Na przykład o tym, że ślinisz palce, nim przewrócisz stronę w książce, albo że lubisz położyć się w środku dnia z krzyżówką i jakimś smakołykiem. Takie drobne przyjemności niekiedy trzeba zarzucić. Nie masz też ochoty pokazywać swoich odcisków ani przyznawać się, że masz protezę w dolnej szczęce czy że musisz wyrwać włosy z brody. Albo że nie trzymasz moczu, albo dostajesz gazów od mięsa. Tak, tak, bo to od mięsa się tego dostaje, nie tylko od grochu i innych warzyw.

- Ale przecież wiele z tych rzeczy dotyczy chyba również młodszych ludzi?

- Owszem, lecz w miarę upływu lat one się potęgują. A jak wyjaśnić, że z wiekiem człowiek wydziela więcej śluzu i musi się rano wykaszleć? Przecież nie można wychodzić z domu za każdym razem, kiedy chce się to zrobić. Mało kto ma też ochotę oznajmić drugiej osobie, że włosy zaczynają się katastrofalnie przerzedzać, a ciało nabiera kształtów ciała starej kobiety.

- Ależ, Gudrun! To, co mówisz, sprawia, że zaczynam się strasznie bać starości.

- Nie, nie, nie jest aż tak źle. Ale to nadciąga ukradkiem. Na razie znam te objawy tylko z opowiadań przyjaciółek, ale powoli i mnie zaczynają one doskwierać. Dostrzegam u siebie ten sam wzór.

- Malujesz diabła, gdzie go nie ma.

- Ach, gdyby tak naprawdę było! Nie mam nic przeciwko wspólnemu starzeniu się razem z mężczyzną. Przeciwnie. Ale trzeba starzeć się razem. Nie można skakać od razu na głęboką wodę, i to w połowie drogi do domu starców. Ojej, telefon znów dzwoni! Tak późno! Boję się, co to może znaczyć.

- Ja też - powiedziała Vesla, która nie była wcale taka pewna, czy Gudrun mówi o przyjaciółkach. Czy można aż tak głęboko przeniknąć w te sprawy, jeśli tylko się o nich słyszało?

Cóż, to jej rzecz. Vesla postanowiła nie drażnić tematu.

Gudrun odebrała telefon. Rozległ się w nim ów osobliwy głos Jordiego, który zawsze brzmiał tak, jakby pochodził z innego świata, był taki piękny, melodyjny, ale tajemniczy.

Jordi wyjaśnił sytuację z samochodami, powiedział też, że z pewnością uda im się namówić do przyjazdu Jørna, lecz tak czy owak przybyć musi również Pedro, żeby przyprowadzić do domu swoją limuzynę. Nie, Antoniowi absolutnie nie wolno prowadzić, jego kolano musi pozostawać unieruchomione, jeśli to w ogóle będzie możliwe tu, na tym pustkowiu. Ale przynajmniej przedzierają się jakoś naprzód, podpierając go jak tylko mogą.

Gudrun odpowiedziała, że Pedro śpi i nie bardzo chciałyby go budzić, bo z lęku o Antonia (i samochód) nie zasnął przez całą ubiegłą noc, ale ona, Gudrun, chętnie przyjedzie, jeśli tylko Jørn ją zabierze.

Gwałtowne wymachiwanie rękami Vesli Gudrun zbyła machnięciem ręki. „Antonio ci tego zakazuje” - powiedziała teatralnym szeptem.

Umówili jeszcze miejsce spotkania i pozostałe szczegóły. Gudrun w oczekiwaniu na Jørna zaczęła przygotowywać się do wyjazdu.

- A poza tym on jest ode mnie o sześć lat młodszy. Upłynęła dobra chwila, nim Vesla zdała sobie sprawę, że Gudrun miała na myśli Pedra.

Antonio zadzwonił do Jørna i wyjaśnił, o co chodzi.

- Wiem, że godzina jest już bardzo późna...

- Jeszcze nie spałem - skłamał Jørn.

- To świetnie. Utknęliśmy - powiedział Antonio i wyjaśnił mu, gdzie są.

Jørn był inteligentnym młodym człowiekiem, obiecał natychmiast wyruszyć, a po drodze zabrać jeszcze Gudrun. Liczyli, że jego samochód dotrze do Lykkja mniej więcej w tym samym czasie, kiedy oni zdołają zejść z płaskowyżu. Jasne bowiem było, że wędrowka z Antoniem to nie żarty.

Nocna jazda! Wspaniale! Jørn od razu się do tego zapalił. Nareszcie będzie mógł uczestniczyć w tym, czym przyjaciele od dawna się zajmują!

Antonio odbył jeszcze jedną rozmowę. Znowu zadzwonił do Vesli, tym razem jednak rozmawiał krótko.

- Wiesz, jak wygląda znak rycerzy, ta jego uproszczona wersja? Przygotuj kilka takich, wszystko jedno z czego. Z tektury, materiału, z czegokolwiek. Sama to wymyśl, nie bardzo umiem ci w tej chwili doradzić, bo myślę raczej kolanem, nie głową. Okropnie mnie boli.

- Tak bym chciała być teraz przy tobie!

- Wiem o tym. Ale już niedługo wrócę do domu. Umieścisz te znaki w bardzo

widocznych, strategicznych miejscach, nad drzwiami wejściowymi, nad oknami, od zewnątrz, oczywiście, i wszędzie tam, gdzie uznasz to za konieczne. Urraca bowiem ostrzegła nas, że mnisi wstąpili na wojenną ścieżkę, planują zemstę. Nie możemy dopuścić do tego, żeby zło spadło na was.

- Rozumiem. Na kominie także?

- Dobrze by było, ale wystarczy umieścić znak w kominku. Obejdzie się bez akrobatycznych ćwiczeń na dachu.

- Możesz mi zaufać, zajmę się wszystkim. Kocham cię.

- A ja ciebie. Jesteś kimś najważniejszym w moim życiu.

- Uważaj na siebie.

- Ty także. Mnichom nie wolno mścić się na tobie, nigdy bym sobie tego nie wybaczył.

Ale zemsta mnichów dopadła ich z zupełnie innej strony.

Jednocześnie

„Strata czasu - powiedział don Garcia. - Nic im z tego nie przyjdzie”.

Don Galindo zapatrzył się na płaskowyż.

„Zdecydowanie nie, ale trzeba to zrobić”.

„Don Antonio de Navarra jest poważnie ranny. Nie będzie mógł im towarzyszyć dalej w podróży ku ostatecznemu celowi” - powiedział don Sebastian zatroskany.

„Chyba że postanowią na niego poczekać” - wtrącił don Ramiro.

„Nie mają na to czasu, dni płyną jak wartkie rzeki. Nie mogą czekać na kogoś, kto nie może chodzić ani nie ma konia”.

„W tych czasach trudno o konia - przypomniał don Galindo. - Ludzie wolą te swoje magiczne powozy, które poruszają się bez koni. Don Antonio może właśnie takim pojechać do Hiszpanii”.

„Niewielką okaże się dla nich pomocą, jeśli będzie tylko w nim siedział”.

„Dość już o tym! - przerwał mu don Federico de Galicia. - Większe zagrożenie stanowią śludzy zła, mnisi. Gotują się już do walki!”

„Z myślenia o zemście nigdy nie wynika nic dobrego. Z samej zemsty również. Te łotry jeszcze bardziej opóźnią działania naszych przyjaciół”.

Don Federico zmrużonymi oczami obserwował płaskowyż.

„Wyczuwam zagrażające z ich strony niebezpieczeństwo, ale nie wiem, z której strony uderzy”.

- „Jeśli się nie mylę, to zemsta uderzy z różnych stron - powiedział don Ramiro zamyślony. - Miejmy nadzieję, że nasi wierni młodzi przyjaciele będą się ich wystrzegać”.

„Nie możemy spuszczać z nich oka!”

Nie wyczuli zemsty. Nadciągnęła ukradkiem.

Młody Jørn w drodze do Valdres miał mnóstwo pytań. Gudrun otrzymała od braci Vargas pozwolenie na przedstawienie mu w ogólnych zarysach ich przygody z czarnymi rycerzami.

Ale Jørna wcale to nie zadowoliło. Chciał dowiedzieć się o wszystkim, o każdym najdrobniejszym szczególe.

- Przynajmniej nie pozwalasz mi zasnąć - mruknęła Gudrun nie bez złośliwości, kiedy jechali wzdłuż lśniącego w nocy jeziora Sperillen.

Jørn, który z początku uznał, że Gudrun żartuje, coraz bardziej angażował się w przebieg wydarzeń i bez końca wykrzykiwał tylko: „Ojej!”, „O rany!”, „Co? Mówisz poważnie?”

- Dlaczego nie zwróciliście się do mnie? - poskarżył się w pewnej chwili urażony. - Znalazłbym wszystkie odpowiedzi w sieci. W Internecie naprawdę można dotrzeć do absolutnie wszystkiego.

- Wątpię. Tajemnica rycerzy jest raczej nieznana, to było jednorazowe wydarzenie i prawdopodobnie zostało zatuszowane. Jeśli w ogóle ktoś o nich słyszał. Ale gdyby udało ci się zdobyć jakieś informacje o Emmie, Leonie i ich kompanach, zwłaszcza o Leonie, to byłyby one rzeczywiście na wagę złota.

- To bagatelka! A te trzy orły, które wskazują drogę, z całą pewnością uda mi się wywęszyć.

- Tak sądzisz? - spytała Gudrun z niedowierzaniem. Sama również miała komputer, ale nigdy nie podłączała się do Internetu. Uważała, że on zalicza się do zbyt zaawansowanej techniki.

Znaleźli z Jørnem wspólny język, ale też i Gudrun potrafiła porozumieć się z większością ludzi.

- Spiszcie wszystko, czego chcecie się dowiedzieć, a ja to ściągnę na mój pecet - powiedział Jørn, elegancko biorąc kolejny zakręt krętej drogi. - To jest naprawdę super komputer. Ale ciekawe, gdzie oni teraz są?

Gudrun znów zadzwoniła do Jordiego. Tak, zaczęli już schodzić w dół z Kjølen, musieli jednak często robić przerwy. Prowizoryczna kula podziękowała już za współpracę, a tu nie rosły drzewa, z których dałoby się zrobić nową. Ale na zmianę podpierali Antonia.

Ścieżka była tu tak wąska, że poruszanie się nią trzech osób jedna obok drugiej w ogóle nie wchodziło w grę. I tak osoba, która pomagała mu iść, musiała przedzierać się przez jałowce i krzaczki wierzby. Rana Antonia wyglądała naprawdę nieprzyjemnie, musieli nawet rozciąć nogawkę spodni, bo kolano tak bardzo spuchło.

- Schodźcie spokojnie! - powiedziała Gudrun. - Mijamy właśnie Nes w Adal, macie więc dużo czasu.

Jordi poprosił ich jeszcze o kupienie czegoś do jedzenia, Antonio nie przypuszczał bowiem, że jego wyprawa w góry zajmie aż tyle czasu, i od dawna już nie miał nic w ustach. A Jordi i Unni również zjedli już swój prowiant.

- Nie ma z tym żadnego problemu - powiedziała Gudrun spokojnie. - Wzięłam jedzenie z domu.

W dalszej drodze znów gawędzili z Jørnem. Gudrun przyznała, że bardzo nie podoba jej się brak pewności siebie Unni. Ta niemożność znalezienia pracy naprawdę ją dobiła.

- Nic dziwnego, że nigdzie nie chcą jej przyjąć - stwierdził Jørn. - Kiedy ma się taką opinię...

- Jaką opinię?

- Nie słyszałaś o tym? Ona podobno kradnie w sklepach!

- Unni? - wykrzyknęła Gudrun. - Ani trochę w to nie wierzę!

- Ja też nie, ale tak się o niej mówi. Gudrun przez chwilę siedziała w milczeniu.

- Od jak dawna krążą te plotki? - spytała w końcu. Jørn wzruszył ramionami.

- Od kilku miesięcy.

- Aha - powiedziała Gudrun znaczącym tonem. - Tylko pamiętaj, nie wspominaj o tym Unni. To by ją kompletnie załamało.

Jørn obiecał, że zachowa milczenie. Nigdy nie wierzył w tę plotkę.

Vesla położyła się do łóżka. Oddychała głęboko i spokojnie.

On jest ocalony, pomyślała. Ale również dzisiejszej nocy nie wróci do domu. To już trzecia noc, jak go nie ma.

Znaki rycerzy były na swoich miejscach.

Pomyślała o pierwszej nocy, kiedy to udzielił jej instrukcji przez telefon, a ona ich usłuchała. Czy powinna teraz odważyć się zrobić to ponownie?

W ciemności uśmiechnęła się do siebie. Jej myśli krążyły gdzieś daleko.

Antonio to naprawdę dobry kochanek. Czuły, troskliwy i namiętny. Twarz Vesli spoważniała. To ja nie dotrzymuję miary.

Nic nie wiedziała o całym cieple i oddaniu, jakim go obdarza. Antoniowi wydawało się, iż zanurzył się w czymś tak cudownym, że nie potrafił tego opisać słowami. Vesłę przepełniało tylko poczucie winy, ponieważ nie mogła spełnić jego marzenia o tym, żeby i jej dać jak największą rozkosz.

Nie do końca świadoma tego, co robi, otworzyła pojemniczek ze swoim drogim kremem do twarzy i użyła go w miejscu, które przeraziłoby eleganckie damy w perfumerii. A może jednak nie? Może Vesla nie była jedyną osobą, która bezczęściła ów krem w taki sposób?

Wciąż czuła się trochę obolała po dość brutalnym zabiegu sprzed dwóch dni. Nie na tyle jednak, by nie spróbować jeszcze raz. Chciała być bardziej przygotowana na przyjazd Antonia, jakby bardziej zaawansowana w tych próbach.

Zaśmiała się cicho. Biedny Antonio, na pewno przez to kolano nie będzie w stanie się z nią teraz kochać. Cóż, zaczekają Zdaży jeszcze trochę poćwiczyć, może do czegoś dojdzie? Poprzednim razem nie poczuła nic znaczącego, jedynie jakby tępy ból, doprawdy, nie ma się czym chwalić!

Zauważyła, że teraz szybciej osiągnęła podobny stan. Ale czy to można nazwać szybko? Poddawała się brutalnemu traktowaniu przez naprawdę dość długą chwilę, lecz rzeczywiście nie dało się to porównać z tym, co odczuwała poprzednio. Za każdym razem, gdy przestawała, czekała na to zniecierpliwione mrowienie: „nie przestawaj, rób tak dalej”.

A potem... długo to trwało, lecz w końcu poczuła coś innego. Pośród bólu pojawiło się nowe doznanie.

Dawało nadzieję, że po dłuższych zabiegach nastąpi coś więcej.

Vesla wzięła głęboki oddech. Może, może... ?

Ale teraz zabrakło jej odwagi. Postanowiła poczekać na Antonia.

Długo leżała, czując, jak ciało oczekuje na dalszy ciąg. W mniej więcej minutowych odstępach pojawiały się przypomnienia.

W końcu Vesla wstała i poszła pod prysznic, w środku nocy. Niech sobie Morten i Pedro myślą, co chcą, zresztą na pewno i tak spali. Kładła się z powrotem do łóżka w nastroju uroczystego uniesienia. Dłonie wciąż jeszcze jej drżały na wspomnienie tego nowego, co jakby zostało jej obiecane.

Kiedy tylko wróci Antonio... W pełni mu ufała.

Oby tylko kolano szybko mu się wygoiło!

A potem... potem być może uraduje i jego, i siebie. Miała na to szczerą nadzieję.

Wcześniej tego samego wieczoru

Na razie Emma, Alonzo i ich pomagierzy nie musieli jeszcze wyjeżdżać do Hiszpanii.

Emma miała z mnichami lepszy kontakt niż Leon. Może dlatego, że była atrakcyjną kobietą?

Mnisi zwrócili się do niej przed kilkoma dniami i ujawnili oszustwo przeciwników. Ciężko sapiąc ze złości, zapewnili, że bracia Vargasowie, podobnie jak wszyscy inni, wciąż znajdowali się w Norwegii.

A teraz mnisi znów się pojawili. Przybyli do sypialni Emmy, zresztą chętnie ją tu odwiedzali. Na ogół wówczas, kiedy akurat miała kłaść się spać.

Alonzo wyskoczył po papierosy, zaś Kenny, Tommy i Roger mieszkali gdzie indziej. Wszystkich trzech wypuszczono już z aresztu.

Ach, gdyby ci mnisi byli choć trochę mniej nieapetyczni, pomyślała Emma, kryjąc grymas. To mogłoby być cholernie zabawnie, uwieść ośmiu mnichów jednocześnie, w dodatku mnichów reprezentujących ascetyczną inkwizycję!

Ascetyczna? Przecież oni są seksualnie niedożywieni i sfrustrowani, i aż radość sprawia patrzeć, jak wiją się w podnieceniu!

- Nasi wrogowie się rozproszyli! - syknął jeden z nich, a Emma aż się cofnęła, bo jego oddech cuchnął ziemią i zgnilizną.

- Nie mów tylko, że mamy się włączyć po całej Norwegii!

Wyraz złości pojawił się na odpychającej twarzy, tak kościstej i fanatycznej, z zapadniętymi, a mimo to jarzącymi się oczami.

- Zrobicie to, co wam nakażemy!

- A co to ma niby być?

- Te łotry nas upokorzyły. Nas! Żądamy zemsty! Ty, niewierna dziewczyno bez znaczenia, będziesz kontynuowała to, co już zaczęłaś, potajemnie, ukradkiem. Wiesz, jak to zrobić.

Na usta Emmy wypłynął pełen zadowolenia uśmiešek.

- To moja specjalność. Powolna zemsta, która sprawi więcej bólu niż co innego. Coś, przed czym nie można się obronić.

- Wiemy, wiemy. Jesteś rzeczywiście specjalistką w tej dziedzinie. A początek był zaledwie przygrywką, ot, tyle, żebyś mogła się wprawić. Teraz trzeba się do rzeczy zabrać poważnie.

- Już się cieszę - powiedziała Emma. Mówiła przy tym prawdę. - Kim mam się zająć? Kto to będzie?

- Poinformujemy cię. Twój przyjaciele otrzymają inne zadanie, my zaś zajmiemy się

tymi, których nienawidzimy najbardziej.

To znaczy braćmi Vargasami? Jeśli o mnie chodzi, to dobrze, pomyślała Emma. Zniszczcie Unni i Vesłę, odbierzcie im tych adoratorów, dobrze im tak!

A ja i tak zrobię swoje!

Mnisi przysunęli się bliżej. Emmie nie spodobały się ich spojrzenia, wprost oblizujące jej osłonięte lekką bielizną ciało.

Jeden z nich powiedział:

- Straciliśmy Wambę, naszego wspaniałego sługę, ale sami również znamy sporo sztuczek. Wykorzystujemy je z Bożą pomocą.

Wamba nigdy nie był waszym sługą, pomyślała Emma z pogardą. Uważam też, że nie powinniście mówić o Bogu, nadużyliście jego imienia już zbyt wiele razy, i w życiu, i w tym waszym nędznym istnieniu pod postacią duchów.

- Róbcie sobie, co chcecie - oświadczyła zimno. - Macie moje błogosławieństwo. A teraz idę się położyć, dobranoc.

W głębi serca nie była wcale tak odważna, jak to udawała. Bo jeśli oni nie odejdą, jeśli...?

Ale nie, zniknęli w jednej chwili. Emma odetchnęła z ulgą.

Antoniowi wirowało przed oczami, kiedy z ogromnym trudem pokonywał ostatni odcinek ścieżki. Momentami całkiem otaczała go czern i zwisał bezwładnie pomiędzy Jordim a Unni, tu bowiem ścieżka była dostatecznie szeroka dla wszystkich trojga. Teraz widział już nawet samochody. W górę ścieżki podążało w ich stronę dwoje ludzi. Ach, nie, nie chciał, żeby ktokolwiek oglądał go w takim stanie!

To przecież Gudrun! I Jørn! Antonio poczuł, że teraz oni zastąpili Jordiego i Unni, całkiem już wycieńczonych.

- Doprawdy, strasznie nam się dostaje w czasie tej długiej walki - westchnęła Gudrun.

Tak, z tym rzeczywiście Antonio mógł się zgodzić. Wszyscy mieli okazję posmakować gniewu mnichów. Na szczęście Morten, który omal nie zginął, zdołał jakoś stanąć na nogi. O Jordim w ogóle trudno było coś powiedzieć, nikt z nich nie został potraktowany brutalniej niż właśnie on, lecz on zawsze potrafił się z tego podnieść. Vesla była najbardziej postronną osobą, ale i ona swoje oberwała. Gudrun i Unni o mały włos się nie potopiły, Unni została prawie rozjechana przez samochód, a teraz przyszła kolej na niego, na Antonia.

I w taki koszmar próbują wciągnąć jeszcze Jørna?

Wyglądało jednak na to, że wysoki, szczupły chłopak, o włosach ostrzyżonych na jeża i w okularach przeciwsłonecznych na nosie, nie ma nic przeciwko temu.

- Teraz możecie trochę odsapnąć. Ja jestem wypoczęty, spragniony przygód, dowiedziałem się już o wszystkim od Gudrun. Nie będziecie żałować, że mnie w to włączyliście. Trzeba mnie było poprosić od samego początku!

- Nie mogliśmy - niemal jęknęła śmiertelnie zmęczona Unni. - Przecież ty się po uszy kochałeś w Emmie!

- Phi, Emma! - prychnął Jørn, ale teraz już milczał. Rzeczywiście ubóstwiał tę dziewczynę, wciąż jeszcze wieczorami śnił o niej na jawie. Ale od tej chwili zdecydowanie już z tym koniec!

- Ona cię po prostu wykorzystywała - ciągnęła Unni bez litości. - Po prostu chciała się wkręcić do kręgu wokół Mortena i mnie. Była specjalnym narzędziem Leona i rzeczywiście doskonale sobie z tym poradziła.

Nie dość, że wbiłaś nóż, to musisz nim jeszcze obracać, jęknął Jørn w duchu.

- Lecz od dziś się do was przyłączam! - odparł z przesadną swadą. - Na dobre i na złe.

Teraz, gdy do dyspozycji były nowe, wypoczęte i silne ramiona, schodzenie w dół odbywało się nieco szybciej. Antonio miał jakieś niejasne wspomnienie o tym, że został posadzony na siedzeniu samochodu z nogami wystającymi na zewnątrz przy otwartych drzwiczkach, a Jordi ściągnął z niego przemoczone ubranie. Antoniowi wydawało się też, iż mówi, że ma zastrzyk przeciwbólowy i antybiotyk gdzieś w samochodzie, skarżył się chyba też, że nie ma Vesli, bo ona przecież umie robić zastrzyki, lecz tak naprawdę chyba nic nie powiedział. Pił gorącą kawę z termosu, na moment przed oczami mignęła mu Unni w samych majtkach, sina na twarzy. Gudrun wciągała na nią bluzkę i ciepły sweter. A potem nic już nie widział, bo Jordi narzucił mu coś na głowę. Dostał do ręki kanapkę, która smakowała iście niebiańsko. Mamrotał też coś o tym, że Jordi sam musi się przebrać. Potem Antonia ułożono na tylnym siedzeniu jego samochodu i wtedy kompletnie już zgasł. Jordi delikatnie wyjął mi z ręki resztki kanapki.

Unni została umieszczona w wielkim samochodzie Pedra, owinięta w wełniane koce, w suchym, ciepłym ubraniu. Z odrobiną jedzenia w żołądku też ułożyła się do snu za plecami Jørna, który miał ogromną ochotę na rozmowę, a nie mógł liczyć na żadną odpowiedź. Jego samochód natomiast prowadziła Gudrun, ku wielkiej radości Jerna nie śmiała bowiem sięgać za kierownicą dyplomatycznej limuzyny Pedra.

Kilkakrotnie nacisnąwszy niewłaściwe guziki, między innymi ten uruchamiający jakąś rozwrzeszczaną hardrockową muzykę, Gudrun w końcu uznała, że jest już w stanie zapanować nad dość szczególnie wyposażonym samochodem Jørna, typowym egzemplarzem stanowiącym spełnienie chłopięcych marzeń.

Jordi prowadził auto Antonia, z uśpionym na tylnym siedzeniu młodszym bratem, którego nic, nawet heavy metal, nie zdołałby teraz obudzić.

Sam Jordi był nieprawdopodobnie wprost zmęczony, ale przytomny. Zdenerwowanie i tak nie pozwoliłoby mu zasnąć. Unni, rzecz jasna, chciała jechać w tym samym samochodzie co on, lecz tym razem sprzeciwiła się temu nie tylko Gudrun, lecz również on sam. Unni potrzebowała teraz ciepła, a nie jego śmiertelnego chłodu. W dodatku Jordi chciał mieć przez cały czas baczenie na Antonia. Jordi nigdy nie zapomniał o odpowiedzialności za młodszego brata. Podjął się jej w dniu śmierci ich ojca, którego miejsce zajął ojczym, Leon. Od tamtej pory, kiedy to Jordi miał pięć lat, Antonio zaś trzy, troska o młodszego brata stała się głównym elementem życia Jordiego.

W powrotnej drodze do domu postanowili jechać przez Hallingdal. Uznali, że tak będzie szybciej. Jørn jechał jako pierwszy, on bowiem najlepiej znał drogę z niezliczonych wypadów w te okolice podczas ferii zimowych jako nastolatek. Za nim podążał Jordi, a na

końcu Gudrun.

Wspaniale tak jechać w konwoju, pomyślał Jordi.

A może to się nazywa kondukt? Wspaniale czuć dopływ nowych świeżych sił!

Był teraz niesprawiedliwy. Przecież Gudrun i Jørn przejechali już wiele kilometrów i musieli teraz jeszcze wrócić. No tak, lecz oni nie przeżyli wstrząsu na górskim płaskowyżu, a chyba te wydarzenia były główną przyczyną zmęczenia.

Gdy dojechali do Hallingdal, otoczyła ich szarość świtu. Mijali senne ogrody willowe w małych osadach, poza terenami zabudowanymi na zmianę widać było świeżo zaorane pola i te pokryte zielenią, obsiane wczesną wiosną. Nad rzeką unosiła się mgła, wzgórza kryły się w chmurach. Zrozumieli, że dzień zapowiada się pochmurny.

Jordi, Gudrun i Jørn, żeby nie zasnąć, od czasu do czasu rozmawiali ze sobą przez telefony komórkowe. Jørn utrzymywał dość wysoką prędkość jazdy, z czego pozostali się cieszyli, bo wlokąc się w ślimaczym tempie, łatwiej zasnąć za kierownicą. Lecz i tak na drodze było dość zakrętów, żeby zachować skupioną uwagę. Największe niebezpieczeństwo stanowiły długie, proste, usypiające odcinki, na których nie pojawiał się żaden inny samochód, lecz tych na szczęście było tu niewiele. Wyjątkowo cieszyli się, że mają przed sobą krętą drogę.

- Musimy zabrać Antonia do szpitala - oświadczył Jordi przez telefon. - Nikt nie powinien zadawać zbyt drażliwych pytań, przecież w kolano można się zranić podczas wielu niebezpiecznych wypadków.

- Rana rzeczywiście nie wygląda najlepiej - odparła Gudrun, która też obejrzała nogę Antonia, nim wyruszyli w powrotną podróż do domu.

- On się uderzył w to zranione kolano co najmniej dwa albo trzy razy. Cieszę się, że jest już bezpieczny. Dziękujemy, że przyjechaliście.

Jørn zawołał:

- Nie pojedziemy przez Hønefoss, to nakładanie drogi! Wybierzemy pewien skrót, niedługo już będziemy w miejscu, gdzie trzeba skrócić.

- W porządku - zgodził się Jordi.

Już od dobrej chwili jechali mniej uczęszczaną drogą. Pogoda wolno zmieniała się w „zachmurzenie duże, z możliwością wystąpienia mgieł w okolicach rzek i jezior na wyżej położonych terenach”, jak powiedziano by w prognozie pogody.

I właśnie w takiej okolicy się teraz znajdowali. Droga była tu dobrej jakości, przynajmniej na początku, lecz mgła prędko gęstniała. Samochody jechały coraz wolniej, aż

w końcu zaczęły wręcz pełznąć. Poruszały się powoli, bardzo powoli, kilometr za kilometrem. Na przedniej szybie kładła się leciuteńka rosa, wycieraczki wyśpiewywały monotonną melodię.

Unni obudziła się i usiadła.

- Gdzie się podziała piękna pogoda?

- No, właśnie - mruknął Jørn.

Obudził się również Antonio. Na jego pytanie, gdzie się znajdują, Jordi nie miał odpowiedzi.

Głos Jørna rozległ się w głośniku, podłączonym w taki sposób, żeby wszystkie trzy samochody mogły się ze sobą komunikować.

- Nie poznaję tych okolic.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że zabłądziliśmy?

- Nie, to się nie mogło stać. Widzieliście przecież znak, kiedy skręcaliśmy z głównej szosy. Ale według wszelkich obliczeń, od jakiegoś czasu powinniśmy już być w dole, wśród zabudowań, a nie jesteśmy.

Momentami wśród gęstej mgły ukazywały się pnie samotnych sosen, jakaś wystająca skała. Nie było jednak widać żadnych słupów telefonicznych. Nic.

- Ale przecież już od dawna zjeżdżamy w dół - stwierdził Jordi.

- Wiem o tym - odparł Jørn. - Nie jesteśmy już na wyżynie, a mimo to mgła wcale się nie rozrzedza. Nie widziałem też ani jednego domu.

- Może się kryją wśród mgły?

- A gdzie wszystkie rozstaje?

- Minęliśmy boczną drogę jakieś pół godziny temu.

- No tak, i wtedy wciąż byliśmy na właściwej drodze, ale teraz już nie jesteśmy, mogę to zagwarantować - stwierdził Jørn. - Nie pojmuję, gdzieśmy trafili.

Zadzwoił telefon Gudrun. Nie była to akurat najbardziej odpowiednia chwila na rozmowę, lecz gdy usłyszała, kto dzwoni, postanowiła nie przerywać połączenia. To zalekniona Vesla pytała, co się dzieje z Antoniem.

- Siedzi bezpieczny i spokojny w samochodzie Jordiego. Przez jakiś czas spał, ale widzę, że teraz już się obudził.

- To świetnie. Gdzie jesteście? Czy już niedługo będziecie w domu?

Upłynęła chwila, nim Gudrun w końcu powiedziała jakby z namysłem:

- Wkrótce przyjedziemy, trochę tylko zabłądziliśmy. Nie, nie, nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

Uf, Gudrun samą słyszała fałszywą wesołość brzmiącą w jej głosie. Czym prędzej zapytała:

- Jest tam gdzieś Pedro?

- Jeszcze nie wyszedł z łazienki. Mam poprosić, żeby do ciebie zadzwonił?

- Nie, sama zatelefonuję później. Wiesz... Cofam wszystko to, co powiedziałam wczoraj. O osobnym przedziale. Bardzo za nim tęsknię, ach, Boże, tęsknię za nim tak strasznie! Pomyśleć tylko, że to musiało się stać, zanim wszystko zrozumiałam.

- Co za „to”? - spytała Vesla podejrzliwie. Gudrun nie chciała straszyc dziewczyny.

- Mam na myśli wyprawę do Valdres.

- Nie, Gudrun, słyszę, że jesteś zdenerwowana, a właściwie śmiertelnie przerażona.

- Nie, z pewnością jestem niemądra, ale... ale...

- Tak?

- Wszystko jest w porządku. Na razie. Ale wydaje mi się, że... Sądzę, że ta przerażająca wyprawa jeszcze się nie skończyła.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Gdzie wy jesteście?

- Szczerze mówiąc, Veslo, nie wiem. Nie wie tego nikt z nas.

- Ależ... ogromnie się wystraszyłam. Gdzie jesteście tak mniej więcej?

- Gdzieś na południe od Hallingdal - powiedziała Gudrun niepewnie. - Skręciliśmy z głównej szosy w Nesbyen, jak sądzę. A może to było Noresund? Nie znam Hallingdal. Mieliśmy wyjechać w okolicy Modum. Zawsze chciałam zobaczyć tamtejszą kopalnię kobaltu, ale teraz chyba nic z tego. Zabłądziliśmy. Okropna tu mgła.

Nieśmiały śmiech Vesli zabrzmiał bardzo drżąco.

- Gdzieś chyba dojedziecie?

- Oczywiście. Pozdrów chłopaków, zadzwonię, jak tylko się zorientujemy.

Znów przełączyła się na głośnik. Usłyszała głos Jordiego - Zaczyna robić się paskudnie, ani trochę mi się to nie podoba.

- Mnie też nie podoba się ta droga - zawołała głośno Unni, ona bowiem siedziała na tylnym siedzeniu w samochodzie Jørna daleko od mikrofonu. - Wygląda na zbyt mało używaną. Żwirowa? Taka miała być, Jørn?

- Z trawą pomiędzy śladami kół? Ależ skąd!

- Jesteś pewien, że to ślady kół? - spytał Antonio ponurym, grobowym głosem.

- Nie - odparł Jørn. W jego głosie wciąż dźwięczała raczej żądza przygody niż lęk. - Zawracamy?

Milczenie. Samochody w ślimaczym tempie posuwały się naprzód.

Nagle w głośniku rozległ się głos Gudrun. Drżał w nim tłumiony strach.

- Nie możemy zawrócić.

- Ale tu jest chyba dostatecznie dużo miejsca - stwierdził Jørn.

- Nie.

- Nie? Przecież nie ma żadnych rowów, teren po obu stronach jest otwarty i płaski.

Ale to Gudrun jechała jako ostania.

- Nie możemy zawrócić - powtórzyła. - Za nami nie ma żadnej drogi.

- Co? Co chcesz przez to powiedzieć?

Gudrun nie zdążyła odpowiedzieć. Jørn pokonał jeszcze kilka metrów i zahamował tak gwałtownie, że Jordi mało nie wjechał w tył wspaniałej dyplomatycznej limuzyny Pedra.

Jørn wpatrywał się w coś przed sobą.

- Co to znów ma znaczyć?

- Co, na miłość boską? - szepnęła Unni.

Jednocześnie

Rycerze byli wstrząśnięci i nic nie mogli z tego pojąć.

„Oni uderzają na wszystkich frontach. Strzeżmy się i nasi przyjaciele też niech się strzegą!”

„Ale gdzie są ci młodzi?”

„Nie możemy ich odnaleźć. Diabły inkwizycji oplotły ich siecią, przez którą nie możemy przeniknąć”.

„No, a tamci, którzy zostali w domu?”

„Oni również są w niebezpieczeństwie. Wszyscy są zagrożeni. Żądza zemsty tych łajdaków jest doprawdy straszna”.

„Cóż, nie można im bezkarnie odebrać ulubionej zabawki” - uśmiechnął się don Galindo z goryczą.

„Owszem, utrata zakłętego pudełeczka była dla nich gorzką pigułką do przełknięcia, lecz co my teraz pocniemy, don Federico?”

„Musimy się rozdzielić. Ich sprzymierzeńcy też się rozdzielili. Ruszymy za nimi i zobaczymy, co da się zrobić, żeby zapobiec ich planom, albo przynajmniej złagodzić skutki. Don Ramiro, ty, którego dwaj potomkowie znajdują się wśród zaginionych, postarasz się odnaleźć ich wszystkich. Don Sebastian będzie chronił interesy swojej podopiecznej gdzie indziej. Don Garcia otrzyma specjalne zadanie, wyruszy daleko. Don Galindo, tobie będzie najtrudniej. Ja sam wyruszam do Hiszpanii, bo oni uderzają również tam”.

Czarni rycerze nieczęsto się rozdzielali, tym razem jednak było to konieczne. Don Federico, stary rycerz, posiadający zdolność widzenia przynajmniej części tego, co działo się w ukryciu, poznał sporą część złych planów. Nawet on jednak nie potrafił dokładnie przewidzieć, gdzie mogą znajdować się Jordi i jego przyjaciele, ani też co ich czeka.

Rycerze drżeli. Byli już tak blisko rozwiązania zagadki, a tymczasem pojawiają się kolejne przeszkody.

Jakaż strata czasu! Demony inkwizycji rzucają im kłody pod nogi, robią wszystko, byle tylko powstrzymać wybranych.

Czas. Czas płynął szybko jak ulotne dni lata.

Było wczesne sobotnie popołudnie i rodzice Unni przygotowywali się do wyjścia po zakupy.

Kiedy rozległ się dzwonek do drzwi, popatrzyli na siebie. Kto to mógł przyjść o tej porze? Mieli nadzieję, że nie zapowiada się długa wizyta.

Na zewnątrz stała niezwykle piękna młoda dama. Uśmiechała się czarująco.

- Dzień dobry. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam? Jestem Emma, jedna z koleżanek Unni. Czy zastałam ją w domu?

Zaprosili dziewczynę do środka. Nie, Unni już tu nie mieszka, wyprowadziła się i zamieszkała z kilkorgiem przyjaciół.

Jakby Emma o tym nie wiedziała!

- Naprawdę? Nie miałam o tym pojęcia, wyjechałam na dość długi czas.

Rodzice Unni byli kulturalnymi ludźmi i poprosili, żeby usiadła. Spytali, czy nie miałyby ochoty na filiżankę kawy.

Owszem, Emma nie odmówiła. Rodzice Unni westchnęli w duchu.

Emma usiadła na kanapie, a długie, szczupłe nogi z gracją ustawiła lekkim ukosem, jedną przy drugiej. Wysokie obcasy pięknie podkreślały szczupłe kostki. Matka Unni z pewnymi oporami wyszła do kuchni przygotować tacę z kawą.

Gość z proszącym wyrazem czarujących oczu zwrócił się do pana domu:

- Tak dziś gorąco, czy mogłabym dostać szklanek wody?

Odwieczny chwyt oszustów i włóczęgów okradających starych, samotnych ludzi. Ojciec Unni nie miał jednak żadnego powodu, żeby podejrzewać jedną z bliskich koleżanek córki, która w dodatku sprawiała wrażenie inteligentnej, kulturalnej i dobrze wychowanej. Zaraz wyszedł po wodę.

- Słyszałaś o niej wcześniej? - spytał żonę.

- Zetknęłam się kiedyś z jej imieniem, ale w jakich okolicznościach... ?

Matka Unni postanowiła nie wspominać, że gdy tylko próbowała przypomnieć sobie coś na temat dziewczyny, ogarniało ją jakieś nieprzyjemne uczucie.

Emma podziękowała za wodę. Zaraz też wróciła matka Unni z kawą.

- Wpadłam właściwie po to, żeby się dowiedzieć, czy Unni nie miałyby ochoty przyjść na małe przyjęcie, które wydaję za tydzień - oznajmiła Emma, starannie modulując głos. - Gdzie ona teraz mieszka?

Unni zakazała rodzicom zdradzać komukolwiek jej adres. Tyle było tajemnic wokół córki w ostatnim czasie, tłumaczyła im tylko, że właśnie rozwiązują niezwykle zajmującą zagadkę i że już wkrótce opowie im wszystko. Rodzice orientowali się mniej więcej, o co chodzi, podobno o jakieś rodowe przekleństwo, które angażowało wszystkich jej przyjaciół, wiedzieli też, że młodzi wiele muszą podróżować, lecz, jak twierdzą, nad wszystkim mają kontrolę.

To akurat było okropne kłamstwo, lecz o tym państwo Karlsrudowie nie wiedzieli. W ogóle uważali, że sprawa rodowego przekleństwa wygląda dość nierealnie, lecz kiedy Unni wyjaśniła, że chodzi o spadek, o pieniądze, jakoś to przełknęli.

Musieli to zaakceptować, nawet jeśli Unni trochę mijają się z prawdą. No, ale ta Emma? Jaki ona ma z tym związek? Słyszeli już wcześniej jej imię, lecz nie wiązali go z grupą, z którą ostatnio trzymała się Unni i z którą podróżowała.

- Wydaje mi się, że akurat w tej chwili jest w Hiszpanii - odparł ojciec Unni wymijająco. - Muszę przyznać, że niestety nie wiemy, czy ma jakiś stały adres. Ale często do nas dzwoni, możemy więc jej powiedzieć o twoim miłym zaproszeniu. Kiedy i gdzie odbędzie się to przyjęcie?

- Jeszcze nic nie ustaliłam - odparła Emma swobodnie. - Czy mogliby państwo po prostu poprosić ją, żeby do mnie zatelefonowała?

- Oczywiście.

Po tych słowach Emma zaczęła sprawiać wrażenie, jakby nagle musiała się spieszyć. Podziękowała za bułeczkę i szybko wypila kawę.

- Proszę serdecznie pozdrowić ode mnie Unni. Ogromnie się za nią stęskniłam.

Kiedy wyszła, rodzice Unni kontynuowali swoje przygotowania do wyjścia. W milczeniu. Emma? Unni mówiła kiedyś o tej dziewczynie, nie okazując przy tym przesadnie wielkiej radości.

- Już wiem! - westchnęła w końcu matka. - To ona dostała tę pracę w stacji radiowo - telewizyjnej, którą Unni właściwie już obiecano.

- Nic więc dziwnego, że Unni jej nie kocha - stwierdził ojciec.

- Dobrze, że nic jej nie powiedzieliśmy.

Bo przecież oni znali nowy adres Unni, wiedzieli, że mieszka w willi położonej całkiem niedaleko od nich.

- Szkoda, że Unni jest taka tajemnicza - westchnął ojciec.

- Owszem, ale wydaje się teraz naprawdę szczęśliwa. Ma też chyba jakiegoś chłopaka, to bardzo dobrze.

- Tak, tego sympatycznego medyka.

- Nie, twierdzi, że to jego brat. Jeszcze nie mieliśmy okazji go poznać.

- Jeśli jest taki jak ten student medycyny, to znaczy, że jest w porządku. Ty zamkniesz drzwi na klucz?

Wyszli z domu wciąż trochę zaniepokojeni o Unni pomimo jej zapewnień, że wszystko układa się jak najlepiej.

W willi panowała niepewność. Lęk o tych, którzy znaleźli się nie wiadomo gdzie. Tak bardzo pragnęli móc coś dla nich zrobić, zamiast tego jednak musieli tkwić w bezruchu.

- Gudrun źle zrobiła, nie zabierając mnie ze sobą - złościł się Morten.

- Myślisz, że Pedro i ja uważamy inaczej? My też chcielibyśmy być przy nich. Nie pojmuję, dlaczego pojechała tylko Gudrun i w dodatku zabrała ze sobą Jørna, kogoś, kto tak naprawdę stoi całkiem z boku.

Pedro pokiwał głową. Również on oburzał się, że został pominięty. Gudrun zostawiła mu na stoliku liścik, że nie chce ich budzić, bo potrzebują snu. Antonio zaś nie zgodził się na ciągnięcie Vesli w niebezpieczne góry.

- Wiem, że nie jestem dobrym kierowcą - narzekał Morten. - Ale mogłem chociaż z nimi pojechać. To paskudne z ich strony!

Pedro utrzymywał stały kontakt ze swymi kolegami z pracy w Hiszpanii. Właściwie był już na rencie z powodu swojej choroby, z której co prawda ozdrowiał, ale oni o tym nie wiedzieli. Często jednak korzystano z jego pomocy, głównie przez telefon i podczas rozmów, które odbywały się przy wystawnych obiadach w Madrycie, był bowiem bardzo szanowanym człowiekiem, mającym duże doświadczenie. Ostatnio zaczęli się ostrożnie dopytywać, czy przypadkiem wkrótce nie wybiera się już do kraju, bo praca się gromadzi, a oni potrzebują jego rady i umiejętności.

Tego dnia siedzieli akurat przy stole, wszyscy troje, Vesla, Morten i Pedro, kiedy znów zatelefonowano z Hiszpanii.

Tym razem ton rozmowy był inny, bardzo suchy, właściwie niezrozumiały. Uprzejmy, lecz z dystansem.

Pedro został wezwany do kraju. Otrzymano bowiem dziś rano list i telefon. Został w nich oskarżony o korupcję.

- O korupcję? Ja? - jęknął Pedro do słuchawki. - Ależ to niemożliwe!

- Podobno przedstawiono dowody - odpowiedział mu kolega. - Najlepiej będzie, jeśli jak najszybciej wrócisz do domu.

W tym samym momencie usłyszeli jakieś stuknięcie skrzynki pocztowej. Morten wyszedł sprawdzić, co przyszło.

- To do ciebie, Veslo.

- Do mnie? Kto wie, że tu mieszkam? - zdziwiła się dziewczyna.

Otworzyła kopertę, na której widniał znaczek, lecz bez stempla pocztowego. Najwyraźniej wrzucono ją po prostu bezpośrednio do skrzynki.

W liście było tylko jedno słowo:

„Morderczyni!”

Ani Morten, ani Pedro nie zrozumieli reakcji Vesli.

- Ach, nie, nie! - rozszlochała się dziewczyna. - Oni nie mogą o tym wiedzieć, tego nie wie nikt! To przecież nieprawda! Nikogo nie zabiłam!

Vesla najpierw wpatrywała się w obu mężczyzn wzrokiem szaleńca, a potem zaczęła krążyć po pokoju jak lew po klatce.

- Antonio! Antonio musi wrócić do domu! On wie, jak to wszystko się ze sobą łączy. Ja tego wcale nie zrobiłam celowo, on musi wrócić do domu! Nie mam już na to siły! Kto może być taki podły, żeby...

Pedro chwycił ją za ramiona i próbował przemówić jej do rozsądku, ale Vesla nie dawała się pocieszyć.

Ta mgła wygląda, jakby żyła, pomyślał Antonio.

Pótleżał na siedzeniu drugiego samochodu i nie bardzo mógł patrzeć w przód, dlatego też widział szarobiałą mgłę i nic więcej. Jordi wysiadł i przeszedł do pierwszego samochodu.

To wygląda tak, jakby ta mgła oddychała. Jakby pulsowała przeciągłymi, obrzydliwymi ruchami.

To chore, naprawdę chore! A ja w dodatku nie mogę wysiąść!

- Gudrun? - spytał przez telefon. - Jesteś tam?

- Tak - odparła ściszym głosem. - Siedzę w samochodzie i boję się wyjść.

- Co ty powiedziałaś o tym, że za nami nie ma żadnej drogi?

- Bo to prawda! Jest tylko nierówne leśne poszycie, nie widać na nim nawet śladów kół naszych samochodów.

- No tak, ta droga naprawdę wydawała mi się okropnie wyboista, ale... Gudrun, ja się boję!

- Ja także i wcale się tego nie wstydzę. Co oni tam robią z przodu?

- Nie wiem, nie widzę ich. Jordi? Jordi, słyszysz mnie? W słuchawce rozległ się trzask, jak gdyby z telefonem stało się coś złego, a potem zapadła cisza.

Jordi stał razem z Jørnem i Unni przy ich samochodzie, czy też raczej przy samochodzie Pedra.

- Wydawało mi się, że dostrzegłem z przodu jakiś cień - mówił zdenerwowany Jørn. - Tuż przed szybą, jakiś wielki czarny cień.

- To było coś więcej niż tylko cień - powiedziała Unni cicho. - To był don Ramiro.

- Co takiego? Jeden z rycerzy? Żartujesz sobie ze mnie - uznał Jørn.

- Unni potrafi zobaczyć o wiele więcej niż ty - tłumaczył mu spokojnie Jordi. - Ale co tu robi mój przodek? W środku lasu?

- Ochronia nas - natychmiast odparła Unni.

- Ale przed czym? - spytał Jørn wesoło. - Przecież droga tu dobra. Zresztą pójde sprawdzic.

- Nie, zatrzymaj się, nie idź dalej! - zawołał Jordi ostrzegawczo, lecz Jørn już szedł szybkim krokiem.

- On tego nie traktuje poważnie - mruknął Jordi, biegiem puszczając się za Jørnem, którego już pochłonięła mgła.

Gudrun usłyszała krzyk Jordiego i czym prędzej wysiadła z samochodu, Antonio także usiłował wyjść.

Unni pospieszyła za Jordim. Usłyszeli wrzask i coś jakby świst, a potem rozległ się plusk, lecz nie taki, jaki wydaje z siebie czysta woda, tylko gęsty, paskudny, ciągliwy chlupot. Jordi i Unni zatrzymali się jak wryci na krawędzi śliskiego zbocza. Daleko w dole spostrzegli Jørna pod postacią nieco ciemniejszego, szarego cienia wśród całej tej mlecznej bieli. Chłopak usiłował się czegoś złapać, ale dookoła niego podłoże było miękkie, gliniaste. Więcej niż połowa jego ciała zanurzyła się w błotnistej zupie, którą doprawdy z trudem dałoby się nazwać wodą. Krzyczał ze strachu.

- Tam mieliśmy się wszyscy znaleźć, razem z samochodami - szepnęła wyraźnie pobladła Unni.

- To wielka bagienna kałuża i ona jest z pewnością rzeczywista. Unni, przynieś linę holowniczą. Prędko!

Gudrun pomogła jej ją odnaleźć. Obydwu ręce trzęsły się ze zdenerwowania. Jordi usiłował spuścić się w dół do Jørna, ale to się okazało niemożliwe, pozbawione było zresztą sensu. Po cóż mieli obaj beładnie walczyć z bagnem, nie mogąc sobie nawzajem pomóc?

Wyraźnie było widać, że Jørn zapada się coraz głębiej, należało się więc spieszyć.

- Przywiąż linę do zderzaka! - zawołał Jordi do Unni, jednocześnie rzucając drugi koniec sznura Jørnowi.

- Łap! Trzymaj! Och, nie! Dlaczego ta mgła jest taka gęsta?

Pierwsza próba złapania liny się nie powiodła i młody chłopak zapadał się jeszcze głębiej w bagno, zwłaszcza że mógł się teraz przed nim bronić tylko jedną ręką. Jordi spróbował ponownie. I na szczęście tym razem poczuł szarpnięcie liny, kiedy Jørnowi udało się pochwycić drugi koniec.

Jordi, leżąc płasko na ziemi, starał się utrzymać chłopaka ponad powierzchnią, dopóki przyjaciółom nie uda się przywiązać liny. Wiele z tym było płątań, wreszcie Antonio przeczołgał się wzdłuż samochodów i umocował linę kilkoma solidnymi węzłami.

- Trzymaj się mocno, Jørn! - zawołał Jordi. - To trochę potrwa, bo musimy wycofać wszystkie trzy samochody.

Jørn był bliski płaczu.

- Coś mnie ciągnie w dół, nie dam rady!

Mgła zgęstniała tak, że utworzyła szczelną ścianę, i teraz nie mogli już zobaczyć, co się dzieje z Jørnem. Jordi czuł jedynie, że chłopak trzyma za drugi koniec liny.

Nikt więc niczego nie wyczuł, kiedy rozpoczął się najstraszniejszy koszmar w życiu

Jørna.

Lina rozciągnęła się w absolutnie nienormalny sposób. Jakaś siła wessała go pod powierzchnię. Otoczył go zapach kloaki. Jørn wstrzymał oddech, rozpaczliwie usiłując podciągnąć się w górę, choć lina coraz bardziej się wydłużała i jego wysiłki spełzły na niczym. Próbował odbić się też od czegoś stopami, przez co zapadał się jeszcze bardziej.

W głowie zaczęło mu szumieć, wszystko w niej wirowało. I nagle wśród błota i bagna otworzyła się przed nim jakaś sala. Nie, to nie była sala, tylko wysoko sklepiony loch. Z niewidocznego źródła ognia bił żar, a w czerwonym mroku poruszały się jakieś bezwłose istoty.

Jørn został zaciągnięty na lawę, położono go na niej i poczuł wtedy, że z desek, na których leżał, wystają tu i ówdzie ostre gwoździe. To, co robią fakirzy, to fraszka, pomyślał. Ich deski są nabite gwoździami tak gęsto, że tworzą materac, ta jest o wiele gorsza.

Przykuto go do tego leża kajdanami, założonymi na nogi i na ręce. Jeden z tych strasznych ludzi zaczął obracać wielkim zębatym kołem, a wtedy nogi i ręce Jørna powoli rozciągały się w cztery strony. Jakiś inny oprawca nachylał się nad nim, uśmiechając się diabolicznie, i skierował ku jego oczom dwa żelazne ciernie.

Jørn zaniósł się krzykiem. Słyszał też jęki innych ludzi dochodzące gdzieś z pobliza, na ścianie dostrzegł rozpięte zakrwawione ludzkie ciało. Zaraz jednak zamknął oczy, bo potworne kolce już się zbliżały.

I równie nagle jak ta niepojęta realistyczna scena się pojawiła, tak samo nagle zniknęła. Jørn wynurzył się ponad powierzchnię bagna i mógł nabrać tchu.

W tej samej chwili powietrze aż zadrżało od ostrego przenikliwego krzyku wściekłości.

- Do stu piorunów! - zaklęła Unni. - O ile dobrze pamiętam, to...

Skoczyła na tylne siedzenie samochodu Pedra. Gudrun w tym czasie pospieszyła do swojego wozu, żeby go wycofać, lecz do niego nie dotarła. Niewidzialna siła powaliła ją na ziemię, Gudrun uderzyła przy tym o środkowy samochód.

Unni nie widziała tej sceny.

- Jestem tego prawie pewna - mruzczała do siebie. - Chyba że jakiś nadgorliwiec porządnie posprzątał w samochodzie. Nie, na szczęście jest!

Antonio zdołał odczołgać się do samochodów, ale czuł, że coś wciska go w ziemię. Otoczył go ohydny grobowy zapach, który odebrał mu oddech, tak że chłopak nie był w stanie nawet wezwać pomocy.

Jordi w tym czasie usiłował otworzyć drzwiczki stojącego pośrodku samochodu, żeby

nim odjechać, lecz one nie dały się otworzyć.

- Gudrun, co to ma znaczyć? - spytał zamroczoną przyjaciółkę, opierającą się o auto.

Nic więcej zrobić nie zdążyli, bo Unni wyciągnęła nieduży plakat, który narysowała kiedyś w Hiszpanii.

- Otwórzcie oczy szeroko i patrzcie! Nie, do diabła, to z „Kuriera carskiego”, przepraszam! AMOR ILIMITADO SOLAMENTE!

We mgle obracała znak na wszystkie strony. Nagle znów rozległ się krzyk drapieżnych ptaków, lecz teraz nie słychać w nim było triumfu, jedynie przerażenie i wściekłość. Mgła zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, odsłaniając ośmiu mnichów, opanowanych śmiertelnym strachem.

Niestety, nie stali skupieni w jednym miejscu, Unni zdążyła „trafić” zaledwie jednego z nich, pozostałych siedmiu jakby rozplynęło się w powietrzu, uciekło przed niebezpieczeństwem.

Ale ósmy był nieodwołalnie unicestwiony.

Duszący uścisk w gardle Antonia ustąpił. Jordi otworzył drzwiczki samochodu.

- Niszczycielka mnichów - powiedział Antonio do Unni, miał to być komplement.

Na nowo wstąpiło w nich życie.

- Zobacz co z Jørnem, Unni - nakazał Jordi. - Gudrun, jak się czujesz?

Kobieta odetchnęła głęboko.

- Czy mogę wsiąść do środkowego samochodu, a ty zajmij się tym z tyłu?

- Oczywiście.

Unni ułożyła się na samej krawędzi śliskiego zbocza i próbowała dodać Jørnowi otuchy.

- Już nic mnie nie ściąga w dół - oznajmił jej chłopak z ulgą. - I mgła zniknęła!

- To jedna z moich skromnych sztuczek - powiedziała Unni lekko, przyglądając się swoim paznokciom. - Jak tylko cię wyciągniemy z tego błota, to już na pewno bezpiecznie wrócimy do domu.

Jørn dla wszelkiej pewności oplatał liną nadgarstek.

- Już niedługo będziesz się ślizgał na brzuchu w najbardziej upokarzający sposób - rozweselała go Unni.

- Jakoś to wytrzymam. Myślałem, że będę już musiał *go to hell*.

- Mnisi z pewnością mieli wobec ciebie taki zamiar.

- Wiem o tym - wyjąkał Jørn, szczękając zębami. - A w każdym razie chcieli mnie zaciągnąć do komory tortur.

- To ich specjalność. Korzystają z niej, kiedy tylko mogą. Jam trząśł się tak, że Unni wyczuwała to poprzez linę.

- To cud, że się nie utopiłem. Przecież byłem pod wodą przez całą wieczność!

- O, nie, mój chłopcze. Nie minęła nawet sekunda od chwili, gdy zawołałeś: „Nie mogę się utrzymać”, do krzyku mnichów.

- Naprawdę? - spytał Jørn z niedowierzaniem. Unni postanowiła zabawiać go w okresie oczekiwania.

Słyszała za plecami warkot silników, kiedy przyjaciele wycofywali dwa tylne samochody.

- *À propos go to hell*. Widziałeś najfajniejszą pocztówkę z Norwegii? Ze stacji Heli w Trondelag. Amerykanie ją ubóstwiają. Jest na niej czarna lokomotywa na tle ponurego, dramatycznie czerwonego nieba o zachodzie, i tabliczka „Heli” na budynku stacji. A jakby tego jeszcze nie wystarczyło, to na budynku magazynowym obok widać napis: „Godsekspedisjon”^{*}.

Jørn zaśmiał się nerwowo.

- Nic dziwnego, że Anglosasom się to podoba. Kiedy oni wreszcie będą gotowi?

- Jordi już wsiada do pierwszego samochodu, trzymaj się teraz mocno!

Jordi zaczął się cofać. Unni trochę się odsunęła na wypadek, gdyby lina pękła.

Tak się jednak nie stało. Zielonobrunatny, pokryty cuchnącym szlamem Jørn został podciągnięty w górę zbocza i mógł wreszcie puścić linę. Przyjaciele serdecznie go powitali.

- Wierzysz nam już teraz? - spytała Gudrun. Chłopak trząśł się na całym ciele.

- O, tak, na pewno. Ale nie pojmuję, dlaczego te demony tak nagle mnie puściły. Coś do siebie wołali.

- A co?

- Niewiele, w jakimś obcym języku. Wychwyciłem tylko pojedyncze słowa. Coś jak *error* i *desconido*.

- *Desconocido* - poprawił Jordi.

- Ach, tak. *I sin valor*, więcej nie pamiętam. Bracia Vargasowie wymienili uśmiechy.

- No i jak? Co to znaczy? - spytał Jørn, nie przestając się trząść.

Antonio przetłumaczył:

- Pomyłka. Nieznany. Bezwartościowy. Jørn uśmiechnął się zażenowany.

- A więc to dlatego tak prędko mnie wypluli? Przypuszczam, że powinienem być im

^{*} Gra słów: *heli* (ang.) - piekło, *god* (ang.) - bóg, *godsekspedisjon* (norw.) - nadawanie bagażu (przyp. tłum.)

wdzięczny, bez wątpienia. Ale nigdy więcej już nie sprowadzę was na manowce, obiecuję.

- To nie była twoja wina - pocieszył go Jordi. - Nikt z nas nie mógł temu zapobiec. A teraz do domu, wracamy tą samą drogą! Masz siły prowadzić, Jørn? Potrzebujemy cię.

- Jasne, że tak. Wydaje mi się teraz, że nie istnieje bezpieczniejsze miejsce niż za kierownicą. Pozamykam zresztą wszystkie drzwi i okna. Wytrzymasz z takim śmierdzeniem, Unni?

Dziewczyna wprawdzie wolałaby siedzieć w samochodzie Jordiego, lecz nie chciała urazić Jørna. Potrzebował kogoś, z kim mógłby porozmawiać.

- Jasne, że tak - odpowiedziała jego słowami.

- Ale zatrzymamy się na pierwszym parkingu, dobrze? - postanowił Jørn. - Nie chcę wystraszyć innych kierowców. Pewnie wyglądam jak jakiś błotny upiór.

Unni przekrzywiła głowę i przyznała:

- Rzeczywiście, widzę pewne podobieństwo.

O tym, że nerwy Jørna ledwie wytrzymują, Unni przekonała się, gdy powoli, z wielkim trudem, jechali z powrotem przez pustkowia. Tym razem Jørnowi nie pozwolono jechać na początku, samochodom przewodził Jordi. Jørn nie zgodził się też być ostatni, nie chciał, żeby ta piekielna banda, jak to określił, deptała mu po piętach.

W jaki sposób zdołali przejechać przez ten teren, nikt teraz nie mógł pojąć. Domyślali się jednak, że to mnisi stworzyli dla nich nie istniejącą drogę, kończącą się grzańskim bagnem, które na zawsze skryłoby w swoim wnętrzu „poruszające się bez koni powozy”, oczywiście wraz z nimi.

Mnichów udało się przechytryć. Nie pozyskali żadnej zdobyczy, przeciwnie, stracili jednego ze swoich. Musieli odczuwać rozgoryczenie, a ich nienawiść z całą pewnością jeszcze się wzmogła.

Dlatego właśnie przyjaciele bardzo spieszyli się do domu. W obawie, że teraz mnisi mogą się mścić tam.

Częściowo po to, by naprowadzić Jørna na inne myśli, częściowo zaś dlatego, że ją samą to interesowało, Unni spytała:

- Jørn, od dawna nie widziałam Hege. Co się z nią dzieje?

Chłopak drgnął, jak gdyby wyrwała go z przerażających wspomnień.

- Hege? - powtórzył oszołomiony. - Miewa się doskonale. Zamieszkała z jakimś facetem, zakochana po uszy tak, że aż bije od niej jasność.

- To świetnie. Czy on jest dla niej dobry?

- Aż za dobry! Dosłownie nosi ją na rękach i daje jej wszystko, co tylko ona wskaże. Bogaty, prawdziwy krezus.

- Powinno zapowiadać się nieźle, ale czy naprawdę wszystko ułoży się dobrze? Hege przecież nie zalicza się do najbardziej stałych w uczuciach osób, jakie znamy. Co będzie, jeśli go urazi?

Ostrożnie precyzyjnie się między pniami dwóch sosen, mało brakowało, a by ugrzęźli, boczne lusterka się wygięły. Jordi nie bardzo widać potrafił odnaleźć dokładnie tę samą drogę, którą tu przyjechali.

- Na razie trwa prawdziwa sielanka - odparł Jørn na pytanie Unni. - Nie potrafię nic wywróżyć i pozostaje tylko mieć nadzieję, że to się nie zmieni.

- Życzę tego Hege z całego serca. Dość już się z niej nawyśmiewano. Mówisz, że on

jest bogaty? Ale może stary? I jeszcze na dodatek brzydki?

- Nie, bardzo zwyczajny. Ma około trzydziestki, to chyba nie najgorzej.

Unni pomyślała o tym, że Jordi ma dwadzieścia dziewięć lat, a Hege jest od niej trochę starsza.

- Nie, to w porządku - odparła krótko. Jørn westchnął z głębi serca.

- Ubranie mam sztywne od zaschniętego błota, boję się myśleć o tym, co powie Pedro na widok siedzenia w samochodzie. Twarz też mam jak zdrętwiałą. Wiesz, Unni, ogromnie wam zazdroszczę wszystkich tych emocjonujących przeżyć i w przyszłości bardzo chciałbym wam pomagać. Ale... tylko siedząc przed monitorem komputera, dobrze?

- To przeżycie było dla ciebie za mocne? Rzeczywiście, trzeba przyznać, że przeszedłeś prawdziwie ogniowy chrzest. A może raczej błotny? Ale tak, bardzo się będziemy cieszyć, gdybyś zajął się stroną techniczną. Wiesz chyba tylko, że nie wolno ci puścić pary z ust na temat tego, co robimy, zwłaszcza o rycerzach. Nikomu!

- Tak, milczenie to podstawowy warunek. Możecie mi zaufać - zapewnił. - A co znów teraz? Mają jakieś kłopoty z przodu?

- Och, nie, dość już kłopotów! - syknęła Unni przez zęby. - Chcę w końcu wrócić do domu!

Jordi wiedział, że zszedł z tamtej drogi, dostatecznie dobrze jednak znał przyrodę i rozumiał jej znaki, nauczył się tego podczas wypraw z dziadkiem. Jordi potrafił odczytywać wskazówki co do kierunku nieba, z drzew, krzewów i mrowisk i wiedział, że nie mogą jechać w zupełnie złą stronę. Gdy jednak przejeżdżali tędy poprzednio, wszystko spowijała mgła, trudno więc było teraz rozpoznać jakiegokolwiek szczegóły.

Z ostatniego samochodu wysiadła Gudrun.

- Trzymasz dobry kurs, Jordi! - zawołała.

- Tak, mnie też się tak wydaje, ale musimy okrążyć te I bagna. A po jednej stronie są same tylko skały.

- Spróbujmy pojechać w drugą. Widziałam różne krzyżujące się ścieżki, nie możemy więc być zbyt daleko od cywilizacji.

Z powrotem wsiedli do samochodów.

Antonio zatelefonował do Vesli. Teraz, gdy znaleźli się już poza światem uludy, połączenie było możliwe.

Dziewczyna zachowywała się histerycznie. Opowiedziała mu, co się stało, bezustannie powtarzając pytanie, kto mógł wysłać taki list. Antonio również był wstrząśnięty tym, co

usłyszał, musiał kilkakrotnie głęboko odetchnąć.

- Veslo, wiesz przecież, że to nieprawda, nie jesteś J morderczynią - usiłował przemówić jej do rozsądku. - Ktoś po prostu chce cię wystraszyć. Postaraj się zapomnieć o tej całej sprawie!

Ale z tym nie było tak łatwo. Antonio próbował pocieszać ją jak umiał, obiecał też, że wszyscy wrócą do domu przed wieczorem.

- Co się stało? - spytał Jordi, gdy rozmowa brata z ukochaną dobiegła końca.

Antonio westchnął wzburzony.

- Ktoś jej przysłał makabryczny list.

- W którym nazwał ją morderczynią?

- Tak. Tyle w tym zła, tyle podłości!

Jordi nieco się wahał przed zadaniem następnego pytania.

- A są do tego jakiegokolwiek podstawy?

- Oczywiście, że nie. Ale w jej najwcześniejszej młodości miało miejsce pewne nieszczęsne wydarzenie i od tego czasu nie dają jej spokoju wyrzuty sumienia. Jestem jedyną osobą, której się do tego przyznała.

- Rozumiem, i o nic więcej nie będę pytać. Ale musimy pomóc Vesli się z tego wydobyć. No, nareszcie dojeżdżamy do drogi. To w tym miejscu omamili nam wzrok. Teraz możemy jechać swobodnie.

Minęli Modum i Gudrun miała możliwość przynajmniej z daleka przyjrzeć się Blaafarveverket, czyli kopalni kobaltu. Natomiast wszystkie piękne przedmioty użytkowe i ozdobne, wykonane z niebieskiego szkła, mogła sobie jedynie wyobrazić.

Cóż, może innym razem...

Zadzwonił do niej Pedro.

- Słyszałem, że za mną tęsknisz - powiedział z radością, a Gudrun, szczerze mówiąc, aż się zarumieniła. - Ja też tęsknię za tobą, moja kochana, i chyba nie odzyskam spokoju, dopóki was tutaj nie zobaczę. Naprawdę bardzo się martwiliśmy. Muszę jednak wracać do domu, do Madrytu, i to jak najszybciej. Wzywają mnie, w dodatku z powodu, którego zupełnie nie mogę pojąć.

- Wyjeżdżasz? - powiedziała rozczarowana Gudrun.

- Tak. Chciałbym, żebyś mogła wybrać się razem ze mną, ale to nie będzie nic przyjemnego. A bardzo bym chciał, żebyś była wesoła i szczęśliwa w mojej Hiszpanii.

- Ale nie wyjeżdżaj, dopóki nie wrócę. Muszę się z tobą pożegnać!

Wyczuła, że Pedro uśmiecha się ze smutkiem.

- Będę czekał. I przecież wrócę, gdy tylko uporam się z tym bałaganem. Chciałbym, żebyśmy wtedy... Nie, nie, porozmawiamy o tym później. Na razie jest za dużo stresu.

Gudrun w zamyśleniu pokręciła głową. Czy ich problemy nigdy nie będą miały końca?

Nie, problemy najwyraźniej chyba nigdy się nie skończą.

Kiedy wreszcie wjechali na podwórze przed willą, zobaczyli, że zapanował tu niemal totalny chaos. Znak rycerzy widać było już z daleka, Vesia bowiem bardzo starannie umieściła go we wszystkich wyobraźalnych i niewyobraźalnych miejscach.

A to i tak na nic się nie zda, pomyślał Jordi. Mnisi nie potrzebują drzwi ani kominów, żeby przedostać się do środka, im wystarczy siła myśli.

Chociaż właściwie będą się wystrzegać wtargnięcia do tak oznakowanego domu. Antonio i Vesla mimo wszystko postąpili słusznie.

Zło jednak przeniknęło do wnętrza willi, choć nie przybrało fizycznej, konkretnej formy.

Powoli zaczęli sobie uświadamiać, w jaki sposób mnisi się na nich zemścili.

Wycieńczeni przekraczali próg, jedno po drugim. Czekają już na nich gotowe danie, najpierw jednak musiały nastąpić ucałowania i uściski. Jørna natychmiast odesłano do łazienki, zajęto się też Antoniem.

Pedro, zazwyczaj bardzo wstrzemięźliwy w okazywaniu uczuć, przeszedł samego siebie i tulił Gudrun co najmniej przez pół minuty, nie przejmując się w ogóle stanem jej ubrania, które zabrudziło się podczas podróży, a zawsze przecież był pod tym względem taki wymagający.

- Co ci się przytrafiło? - dopytywała się Gudrun. - Dlaczego musisz tak nagle wracać do Hiszpanii?

- Oskarżono mnie o coś, czego nie zrobiłem, lecz muszę przyznać, ogromnie mnie to uraziło. Ale o tym porozmawiamy później.

Jordi zadzwonił do jednego z kolegów Antonia, prosząc, by zajrzał do nich i wypowiedział się na temat poranionego kolana brata. Lekarz obiecał przybyć po pracy.

Oczywiście przez telefony komórkowe zdążyli już opowiedzieć sobie prawie o wszystkim, co wydarzyło się podczas niebezpiecznej wyprawy w góry i jakże trudnego powrotu do domu, więc ci, którzy pozostali na miejscu, wiedzieli już o tych przeżyciach i nie trzeba było opowiadać całej historii ponownie. Teraz chodziło o to, żeby wszyscy zdołali się jakoś uspokoić.

To jednak nie wydawało się takie proste.

Wszyscy widzieli, że Vesla płakała. Unni w głębi ducha zadawała sobie pytanie, czy

powodem łez może być matka dziewczyny. Wiadomo było, że trudno o drugą taką osobę. Przez wszystkie lata bardzo zaniedbywała Vesłę i stale tylko stawiała przed nią wymagania.

Pedro był blady i niespokojny, sprawiał też wrażenie, jakby usiłował stłumić w sobie gwałtowny gniew. Również Morten wyglądał na kompletnie wyprowadzonego z równowagi, a co jemu mogło dolegać, tego już Unni nie potrafiła wymyślić. Chłopak siedział na krześle, ogryzając paznokcie, i ledwie odpowiadał, gdy ktoś się do niego odezwał. Powracający do domu, którym wydawało się, że tylko oni będą opowiadać, musieli teraz zrewidować swoje nastawienie.

W czasie kiedy Jordi i Vesla zajmowali się Antoniem, ubranym w same tylko bokserki, Pedro zaczął mówić:

- Zdarzyło się tu u nas wiele nieprzyjemnych rzeczy i sądzę, że postąpimy najmądrzej, mówiąc o wszystkim otwarcie. Vesla otrzymała list, w którym nazywa się ją morderczynią. Mnie wezwano do Madrytu, ponieważ zostałem oskarżony o korupcję, a nowa przyjaciółka Mortena, Monika, zwierzyła się Vesli, że jakaś nieznajoma osoba przysiadła się do jej stolika w cukierni i zaczęła jej opowiadać o Mortenie. I to, co mówiła, nie było ani trochę przyjemne.

- Nie ma w tym ani słowa prawdy! - wykrzyknął Morten grubym głosem. - Nigdy nie próbowałem nikogo zgwałcić i nie jestem też impotentem! A teraz jeszcze straciłem Monikę!

- To się jakoś da załatwić - oświadczyła spokojnie Gudrun. - Bo dostrzegamy w tym pewien wzór, nieprawdaż?

- Ataki poniżej pasa, i to najohydniejszego rodzaju - uzupełnił Jordi.

- Tak, niedawno bowiem dowiedziałam się od Jørna, że to dotknęło również Unni.

- Mnie?

- Tak. Chodzą plotki, że kradniesz po sklepach.

- Co takiego? - wybuchnęła Unni. - Ależ to... !

- Nikt z nas w to nie wierzy - czym prędzej zapewnił Jørn.

- Och, nie, wy może nie, ale... Ach, mam tylko nadzieję, że mama i ojciec nic takiego nie słyszeli!

- Z całą pewnością oni również w to nie wierzą - uspokoiła ją Gudrun.

- Człowiek stara się postępować tak uczciwie, jak to tylko możliwe, bo tak mnie wychowano, a mimo wszystko taka opinia! Co powinnam zrobić?

Odezwał się Jørn.

- Plotki o tobie, Unni, krążą już od pewnego czasu. To dlatego nie mogłaś znaleźć żadnej pracy. Wydaje mi się, że pojawiły się mniej więcej w tym samym okresie, kiedy starałaś się o tę pracę w telewizji, którą zamiast ciebie dostała Emma.

- Boże, od tak dawna? - jęknęła Unni. - I wszyscy o tym wiedzieli! Wszyscy z wyjątkiem mnie!

- Ale te pozostałe plotki są świeże, prawda? - spytał Jørn.

- Najzupełniej - przyznał Pedro. - Proponuję, żebyśmy uważnie je przeanalizowali. Osobiście absolutnie nie rozumiem, dlaczego zostałem oskarżony o korupcję, to pomówienia wysane z palca. Ale Vesla kompletnie się załamała, kiedy jakaś podła osoba nazwała ją morderczynią. Dlaczego, Veslo? Sądzę, że najlepiej będzie, jak nam wszystko opowiesz. Jesteśmy twoimi przyjaciółmi, przecież wiesz.

Dziewczyna znów zaczęła płakać.

Antonio położył jej rękę na ramieniu i powiedział:

- Ponieważ jestem jedyną osobą, której Vesla się zwierzyła, będę mówił zamiast niej. Vesla była zmuszana przez swoją matkę - egoistkę do opieki nad chorym ojcem i dziadkami, odkąd była małą dziewczynką. Z ojcem i babcią nie było przy tym trudności, bo Vesla lubi pomagać ludziom.

- O tym wiemy wszyscy - zapewnił Jordi.

- No właśnie, gorzej było z dziadkiem. Miał sklerozę i próbował się do niej dobierać. Musiała bronić się laską, kiedy się do niego zbliżała na przykład po to, żeby pomóc mu zmienić ubranie.

- Uf! - jęknęła Gudrun.

Antonio kiwnął głową. Sama Vesla nie patrzyła na nich. Klęczała, bandażując jego zranioną nogę, ocierała przy tym łzy i nie przestawała pociągać nosem.

Antonio podjął:

- Po miesiącach i latach dosłownie katorzniczej pracy Vesla zobaczyła, że jej dziadek umiera. Miał straszną, przerażającą i bolesną śmierć, a ona nie mogła tego znieść. Ogarnął ją strach i uciekła, zostawiła go samego. Właśnie dlatego wbiła sobie do głowy, że jego śmierć obciąża jej sumienie, choć oczywiście tak przecież nie jest. Była wówczas jedynie dzieckiem, na którego barkach spoczywał zbyt wielki ciężar.

Wszyscy potwierdzili, że Antonio ma rację, i powiedzieli Vesli wiele pocieszających słów. Dziewczyna z wdzięcznością pokiwała głową.

Jordi w zamyśleniu popatrzył na brata.

- Czy ktoś mógł słyszeć, jak Vesla opowiadała ci swoją historię?

- Nie, byliśmy... chwileczkę - Antonio musiał się przez moment zastanowić. - Nie, nic, pomyślałem tylko, że... To było wtedy, gdy jechaliśmy do Stryn. Unni i Morten spali na tylnym siedzeniu.

- A jeśli jedno z nich nie spało? - spytał Jordi. - I nie mówię teraz o Unni.

- Morten? - powtórzył Antonio zamyślony. Spojrzenia wszystkich skierowały się na chłopaka, na którego twarzy odmalowało się teraz przerażenie. - Mortenie, przecież ty się ze wszystkiego zwierzałeś Emmie. Wiem, że tak było wcześniej, bo teraz już tego nie robisz.

Morten w milczeniu pokręcił głową. Siedział jak sparaliżowany.

- Pytam cię teraz, Mortenie, i proszę cię o szczerą. Czy wtedy, w samochodzie, był taki moment, że nie spałeś i słyszałeś, co mówi Vesla?

Morten jakby zmienił się w słup soli. Nie mógł oderwać wzroku od Antonia. W końcu jednak otworzył usta i, kilkakrotnie się zająknąwszy, zdecydował się wreszcie:

- Możliwe, że nie spałem, bo słyszałem już wcześniej tę historię. To rzeczywiście było w samochodzie.

- I... ? - W głosie Antonia pojawiła się jakby groźba. - Przekazałeś ją dalej Emmie?

- Tak, ale to było dawno temu. Teraz już tego nie robię.

- O tym wiemy. Czy możemy przypuszczać, że kobietą w cukierni, która nagadała o tobie Monice, również była Emma?

- Tego nie wiem - czym prędzej odpowiedział Morten.

- To podobno była bardzo piękna dziewczyna - pociągnęła nosem Vesla.

- Ach, tak? - skomentowała cierpko Gudrun. - Czy możemy również założyć, że ta sama osoba rozpuściła plotki o Unni jako sklepowej złodziejce, żeby w ten sposób samej dostać pracę w telewizji, a przy okazji oczywiście uniemożliwić Unni znalezienie jakiegokolwiek zajęcia?

- Jakie to podłe z jej strony - poskarżyła się Unni. - Gotowa jestem ją udusić!

- Tego nie zrobimy - spokojnie oznajmił Antonio. - Ale zemścimy się w jakiś straszny sposób.

- À propos zemsty - powiedziała Gudrun. - To chyba robota mnichów. Mszczą się za zniszczenie tego ich pudełeczka z trucizną.

- Z całą pewnością. Przypuszczam, że dzisiaj zrobili coś, żeby wyrządzić krzywdę Jordiemu, mnie i Gudrun. Unni dość już nadokuczali tymi dawnymi plotkami, a Jørn jest osobą postronną. Na razie skupili się na was, na tych, co pozostali w domu, ale z pewnością zaangażowali wszelkie swoje siły, chcą dopaść wszystkich bez wyjątku.

- Owszem - zgodziła się Unni. - Lecz to oznacza również, że Emma nie wyjechała do Hiszpanii, tak jak sądziliśmy. Pewnie nikt inny z nich również.

Pedro nie był jednak co do tego przekonany.

- Zastanawiam się, czy Alonzo nie maczał w tym palców. On potrafi odgrywać

niezwykle godnego zaufania dżentelmena, kiedy tylko zechce. Zna się również na fałszerstwach, więc to on może kryć się za tymi rzekomymi dowodami przeciwko mnie. Nic więcej nie wiem o tej sprawie, ale muszę to jakoś wyjaśnić. Tylko jak?

Gudrun odezwała się przygnębiona.

- Plotki, gadanie, oszczerstwa. Przed takimi rzeczami trudno się bronić!

- Zła opinia przykleja się do człowieka na bardzo długo, nawet jeśli już zostanie oczyszczony z zarzutów. To naprawdę nikczemne! - stwierdziła Unni w poczuciu bezsily.

- No, cóż - zastanowił się Antonio. - Wydaje mi się, że mam pewien pomysł na to, jak stawić czoło plotkom, krążącym tu, w tym kraju. Sprawą hiszpańską natomiast, obawiam się, musisz się zająć sam, Pedro.

- A co masz zamiar zrobić? - zainteresował się Hiszpan. Antonio nie zdążył odpowiedzieć, bo rozległ się dzwonek do drzwi. To przyszedł lekarz, kolega Antonia.

- W coś ty, na miłość boską, się wdał? - spytał z wymuszonym śmiechem, obejrzawszy jego zranione kolano.

Po gruntownym zbadaniu obrażeń młody lekarz stwierdził, że Antonio musi jednak znaleźć się w szpitalu. Wprawdzie nie wyglądało to na żadne złamanie, lecz z całą pewnością potrzebny był zastrzyk przeciwwężcowy, rentgen, obserwacja i...

Tak, tak, Antonio to rozumiał. Tego właśnie się obawiał i był na to przygotowany.

Kolega, czując się trochę niepewnie, spytał:

- Ale co to ja o tobie słyszę, Antonio? Dziś w szpitalu mówiono, że podobno zachowałeś się bardzo nieodpowiedzialnie podczas jakiejś operacji.

- Ja? Przecież ja ledwie uczestniczyłem w jakichkolwiek zabiegach!

- To samo i ja mówiłem, nikt nie mógł z tego nic zrozumieć. Tak naprawdę pozwolono ci dopiero być obserwatorem, mogłeś co najwyżej ocierać pot z czoła chirurga.

- Nawet tyle nie. Tym z radością zajmują się pielęgniarki. Na czym miało polegać moje zaniedbanie?

- Podobno coś pokręciłeś przy kroplówce.

- Ach, na miłość boską, przecież czegoś takiego nie mogłem... Kto tak twierdzi?

- Podobno przyszedł jakiś anonimowy list od pacjenta, który po operacji czuje się gorzej.

- Ach, tak - westchnął Antonio. - A więc tak będzie wyglądać moja droga krzyżowa.

Wyjaśnił koledze, że wszczęto przeciwko nim kampanię plotek, i poprosił, żeby listu, Boże broń, nie wyrzucano, i za bardzo go też nie dotykano.

Lekarz zdziwiony popatrzył na Jordiego.

- Kampania plotek? Zapewne więc możemy również odrzucić tę drugą sensację, którą zawierał list. A mianowicie, że twój brat jest homoseksualistą.

Jordi zaśmiał się z rezygnacją.

- No, przynajmniej to jest nietrafione. Po pierwsze, nie jestem homoseksualistą, a nawet gdybym nim był, to kto się w dzisiejszych czasach tym przejmuje? Najwyżej jacyś ciemniacy z zaścianka. Jeśli o mnie chodzi, to mogą sobie o mnie mówić co chcą. Nie mam zamiaru się tym martwić. Zresztą Unni wie najlepiej.

Doprawdy? pomyślała dziewczyna z goryczą. Wiem to? Owszem, tak. Jordi nie objawia takich skłonności, na szczęście dla mnie!

Lekarz nie miał tu już nic więcej do roboty, wyszedł więc zamówić karetkę dla Antonia.

Gudrun powiedziała zamyślona:

- Wiecie, rozmawialiśmy wcześniej o tym, że plotki dotknęły jedynie tych, którzy pozostali w domu. Teraz jednak również Antonio i Jordi dostali swoją porcję, pozostają więc ja, no i ty, Unni. Bo chyba tamten atak na ciebie można uznać za przedawniony, teraz już się nie liczy.

- Zobaczymy - odparła Unni. Na samą myśl o tym poczuła w ustach nieprzyjemny smak.

Zadzwoił telefon komórkowy Vesli. Gudrun, siedząca najbliżej niego, odebrała. Podała go dziewczynie.

- To twoja matka.

- Powinam była zmienić numer - stwierdziła Vesla. - Mam nadzieję, że przynajmniej do niej nic nie dotarło, bo jeśli tak, to rozpęta się prawdziwe piekło.

Ale matka już się dowiedziała. I rzeczywiście piekło się rozpętało. Vesla musiała trzymać telefon na odległość wyciągniętej ręki, żeby nie ogłuchnąć, wszyscy więc mogli słyszeć wybuch kobiety.

- A więc to moja córka zamordowała swego biednego dziadka? Jak mogłaś mi to zrobić, Veslo! Jak mogłaś to zrobić swojej rodzonej matce?

- To znaczy, że przyjmujesz za pewnik, że to prawda?

- Czy to prawda? A co to może mnie obchodzić? Czy ty nie pojmujesz, co to dla mnie znaczy? Przecież nie mogę pokazać się wśród ludzi! Nie mogłaś wziąć tego pod uwagę? Nie mogłaś tego przewidzieć? Pewnie zaraz pojawi się też policja, a sąsiedzi...

- Mamo, ja nic nie zrobiłam!

- Mój biedny ojciec był taki chory! Wzięłam go pod swoją opiekę, a ty mi się w taki

sposób odwzięczasz za wszystko!

Vesla nie mogła dłużej znieść tych wyrzutów. Antonio wyjął telefon z ręki dziewczyny.

- Mówi doktor Antonio Vargas. Narzeczony Vesli i jej przyszły mąż. Uważam, że powinna się pani zastanowić nad tym, co pani mówi.

Matka na parę sekund umilkła, pozwalając Antoniowi dojść do głosu, zaraz jednak wybuchła od nowa.

- Antonio Vargas? Cudzoziemiec? Moja córka jest z cudzoziemcem? Z jakimś ciemnoskórym indywiduum, które podstępem wdiera się do naszego kraju i odbiera pracę...

Antonio wyłączył telefon.

- I właśnie taki jest finał tego ohydneho dnia - powiedziała żałośnie Vesla, ze śmiechem ocierając łzy. Usiadła przy Antoniu na kanapie, a on objął ją, pozwalając jej wypłakać swą rozpacz.

Gudrun i Pedro siedzieli blisko siebie przy oknie, szukając u siebie nawzajem pocieszenia. Morten wyszedł do Moniki, by wyjaśnić jej pochodzenie złośliwych plotek.

Unni patrzyła na tych, którzy mogli u siebie szukać pociechy, i czuła się bardzo, ale to bardzo samotna. W piersi miała wielką pustkę. Popatrzyła na Jordiego i gorzko zatęskniła za tym, żeby i on mógł ją objąć i obdarzyć poczuciem spokoju i miłością.

Jordi popatrzył jej w oczy, a ona w jego spojrzeniu wyczytała ten sam smutek i bezsilę. Należeli do siebie, lecz mimo to dzieliło ich wiele mil. I tak też miało pozostać.

Państwo Karlsrudowie spali w swoim małżeńskim łóżku. Było wpół do czwartej nad ranem. Wilcza godzina.

Matka Unni śniła. Stawała się coraz bardziej niespokojna, rzucała się po łóżku, aż wreszcie poderwała się gwałtownie i usiadła.

Jej mąż się zbudził i zapalił lampkę na nocnym stoliku. Popatrzył na zegarek, potem przeniósł wzrok na żonę.

- Śniło mi się - wyjaśniła matka Unni bez tchu. - Śnił mi się jakiś rycerz, był tu w pokoju.

- Naprawdę? - spytał jej mąż, również siadając na łóżku. - Mnie także się przyśnił! Wpatrywał się we mnie surowym wzrokiem i kazał mi się przebudzić.

- Co ty mówisz? Mój rycerz także. Mówił po hiszpańsku, *Despierte!* Obudź się!

- Opisz go.

- Nosił coś ciemnego na głowie, może kaptur?

- Tak, mnisi kaptur. Miał w sobie coś straszego, upiornego.

- I siwą brodę. I jakby martwe oczy.

- Właśnie. A Unni wspominała coś o jakiś hiszpańskich rycerzach.

- Tak. Nigdy nie mogłam pojąć, o czym ona mówi. Taka była przy tym tajemnicza.

- To miało jakiś związek z jej przyjaciółmi. Z Mortenem i z tym sympatycznym kandydatem na lekarza, Antoniem.

Ojciec wysunął nogi z łóżka.

- Jak to możliwe, że śniło nam się to samo? Uważam, że to straszne!

- Okropnie dziwne. Mówił ci też, że się mamy obudzić?

- Tak.

- Nic z tego nie pojmuję.

Pan Karlsrud wstał i skierował się do drzwi. Otworzył je, raczej dlatego, że niczego nie mógł zrozumieć, niż z jakiegoś konkretnego powodu.

- Inger, chodź tutaj!

Matka Unni czym prędzej się poderwała.

- Czujesz coś?

Sprawdziła i popatrzyła na męża.

- Tak, jakiś słaby zapach dymu.

Narzuciła na siebie szlafrok, ojciec zszedł w samych slipach. Czym prędzej zbiegli po schodach.

- W kuchni nic się nie dzieje.

- To pewnie z zewnątrz. Ktoś coś pali.

- Taki duszący zapach? Chodź!

Zatrzymali się w salonie. Zapalili światło, lecz i tam nie dostrzegli nic niezwykłego.

- Ale to czuć stąd.

Zaczęli przeszukiwać pokój, kawałek po kawałku. Spotkali się w małym korytarzyku przy łazience. Znajdowała się tam nieduża szafka w ścianie, w której zbiegały się wszystkie przewody elektryczne ogrzewania podłogowego w całym domu i mnóstwo innych kabli możliwych do zrozumienia jedynie dla elektryka. Zapach dymu bił właśnie stamtąd.

- To może być coś poważnego - stwierdził pan Karlsrud.

- Dzwonię po straż pożarną - oświadczyła prędko jego żona, przechodząc do salonu.

- Nie, nie rób tego, dopóki nie sprawdzimy, co to może być. Może sam będę mógł sobie z tym poradzić.

Otworzył szafkę. W tej samej chwili huknęło, a roziskrzony płomień wystrzelił prosto w obraz wiszący po drugiej stronie korytarzyka. Na całe szczęście pan Karlsrud zdążył zasłonić się ręką i odskoczyć.

Ale obrazek już stanął w płomieniach, zwinął się z gorąca, a od ognia zajęła się tapeta.

Matka Unni zdążyła zadzwonić pod numer alarmowy. Jej mąż pobiegł po gaśnicę i zawołał jeszcze do niej, żeby pozbierała najcenniejsze rzeczy, takie jak zdjęcia i ważne papiery, i zaraz wybiegła z domu.

Zdążyli wynieść całkiem sporo w oczekiwaniu na straż pożarną, lecz chociaż panu Karlsrudowi udało się ugasić zarzewie pożaru, z szafki wciąż dobiegały nieprzyjemne trzaski. Nie wiedzieli też, czy nie płonie ściana za tapetą.

Kiedy razem wynosili antyczne krzesła, pan Karlsrud powiedział:

- A co by było, gdybyśmy nie zostali obudzeni?

- No właśnie, gdyby nas nie obudzili. Patrząc na siebie powiedzieli jednocześnie:

- Musimy porozmawiać o tym z Unni. I znów umilkli.

- Uznasz może, że oszalałam - zaczęła Inger Karlsrud ostrożnie. - Ale czy myślisz, że możemy ją poprosić o przekazanie od nas pozdrowień i podziękowań?

- Myślałem o tym samym.

- Zupełnie nie pojmuję, w co Unni się wplątała. Zawsze była dość szczególną osobą, ale teraz chciałabym, żeby się nam zwierzyła.

- Tak, musimy z nią porozmawiać.

- Wyłączyłeś główny przełącznik?

- Tak, zrobiłem to od razu.

Przyjechał samochód strażacki, szef strażaków sprawdził starannie „układ elektryczny w malej szafce.

- Coś takiego jak to nie powinno było się stać. Nie rozumiem, jak do tego doszło. Ruszaliście tu coś w ciągu ostatnich dni?

- Nie, nie dotykałem się do tej szafki, odkąd wyłączyłem wszystko po zimie. To było już parę miesięcy temu - powiedział ojciec Unni.

- W każdym razie teraz wszystkie obwody były włączone na pełną parę, ale układ tak czy owak powinien to wytrzymać nawet przy dużym obciążeniu. Trudno teraz stwierdzić, co wywołało pożar. Wszystko się wypaliło, wygląda to trochę tak, jakby w szafkę trafił piorun, a przecież dziś w nocy nie było burzy. No i czuliście przecież zapach dymu dużo wcześniej, niż cała instalacja strzeliła.

- Owszem. Ale jak to mogło być włączone, skoro wiem, że osobiście wszystko wyłączałem?

- Może odwiedził was jakiś chłopczyk o niespokojnych palcach?

- Nie, nie było żadnych dzieci.

- No cóż, musi się temu przyjrzeć specjalista. To może wynikać z przegrzania, lecz nie rozumiem, jak mogło do niego dojść. Tyle obwodów nie może się naraz włączyć samoczynnie. Mieliście szczęście, że obudziliście się w czas.

Rodzice Unni popatrzyli na siebie.

- To prawda - przyznali słabym głosem.

Nad morzem, nieopodal Selje, najbliższej sąsiadce Gudrun przyśnił się dziwny sen.

Znajdowała się na podwórzu. Wiał silny wiatr, szarpał jej spódnicę. Przed nią siedział na koniu rycerz otulony w czerni, czarny był również jego wierzchowiec. Widok ten powinien ją przerazić, bo rycerz miał straszną twarz, jak gdyby już nie żył.

Ona jednak wcale się nie przestraszyła. Mieszkała sama tak jak Gudrun, ale miała w domu dwa wielkie, wierne psy, a w dodatku postać rycerza nie wydawała jej się przerażająca.

Najwyraźniej chciał jej coś przekazać.

Nie słyszała żadnych słów, a mimo to coś do niej mówił. Wskazywał przy tym na dom Gudrun.

Kobieta zrozumiała, że to ostrzeżenie, chociaż nie jej dotyczyło. Ona nie miała się

czego bać.

Sen minął, obudziła się.

Była piąta. Głupia godzina, za wcześnie, żeby wstawać, ale o tej porze na pewno już nie zaśnie.

Miałyby leżeć i myśleć?

Przeciągnęła się i wstała. Psy zaraz też się poderwały.

Sen?

Uśmiechnęła się lekko. Wstała jednak i przeszła do kuchni, za sobą słyszała stąpanie psich łap. Wyrzała przez okno.

Powinno się częściej wstawać tak wcześnie, pomyślała jak większość miłośników natury, którym rzadko się to udaje.

Nagle usłyszała jakiś hałas, dochodzący od strony domu Gudrun. Ale przecież Gudrun nie ma! Czyżby wróciła nocą? Nie, przecież rozmawiały poprzedniego dnia, nie wspominała nic o powrocie.

Przed domem stał obcy samochód.

W tej samej chwili ujrzała jakiś mebel wylatujący przez okno, a z wnętrza domu dobiegł huk.

Uchyliła okno i usłyszała nieprzyjemny śmiech, jak gdyby dwóch młodych chłopców.

Telefonowanie do Gudrun było rzeczą bezsensowną, zamiast tego zadzwoniła do swego przyjaciela lensmana.

Unni oczywiście ogromnie się zdenerwowała, dowiedziawszy się o pożarze u rodziców. Była siódma rano, wcześniej nie chcieli do niej dzwonić.

- Przecież mogliście spłonąć żywcem! - jęknęła. Matka opowiedziała jej o śnie, który przyśnił się obojgu rodzicom jednocześnie.

Unni wypytywała o szczegóły wyglądu rycerza.

- To był don Sebastian de Vasconia - stwierdziła, dowiedziawszy się, jak wyglądał. - To mój przodek. Oczywiście z radością przekażę wasze podziękowania i dołączę jeszcze swoje. Ale jak się to mogło stać? Czy był ktoś u was z wizytą?

- Ktoś, kto tak źle nam życzy? Zastanawialiśmy się nad tym. Był u nas sąsiad wczoraj wieczorem, oddał pożyczony sekator. Chwilę porozmawialiśmy. Wpadł też jeden z kolegów taty. I była jedna z twoich przyjaciółek, chciała cię zaprosić na przyjęcie.

- Jedna z moich przyjaciółek? Nic z tego nie rozumiem.

- Powiedziała, że ma na imię Emma, to czarująca dziewczyna.

Unni nabrała powietrza.

- Emma nie jest moją przyjaciółką, ona jest... Zaczekajcie kilka godzin, postaram się to zbadać.

Była tak wstrząśnięta, że musiała najpierw pomyśleć. To trzeba jakoś załatwić, ale jak? Prędko zbiegła po schodach na dół.

Wszyscy już wstali i byli po śniadaniu. Antonio pojechał do szpitala, Jørn wrócił do siebie. Poza nimi byli wszyscy. Unni opowiedziała, co się stało.

- A więc tak wyglądała zemsta na mnie - podsumowała, wciąż czując się jak uderzona obuchem w głowę.

- Mnisi nie mają odwagi zaatakować cię bezpośrednio - stwierdził Jordi. - Zyskałaś już sobie u nich opinię niszczycielki mnichów.

- Więc zamiast tego rzucają się na moich najbliższych? To przecież idiotyczne! I na wskroś podłe!

Ostatnie zdania zmieniły się w jęk żalu i strachu.

- Uderzają tam, gdzie człowiek jest najbardziej wrażliwy - powiedział Jordi. - Pozostaje tylko pytanie, czy w takiej sytuacji nie powinniśmy w to zaangażować jeszcze innych ludzi. Mam na myśli rodziców, władze, policję. Skoro atakują postronne osoby, to nie mamy już nad nimi żadnej kontroli.

Dwukrotnie odezwał się telefon. Doprawdy, wielkie ożywienie tak o świecie!

Z pierwszej rozmowy wynikało, że Antonia można zabrać już do domu, równie dobrze mógł pozostawać pod opieką Vesli. Rana powoli zaczynała się goić, ale przez kilka dni nie będzie mu wolno stawać na chorą nogę. Vesla nie posiadała się z radości. Po jej oczach można było poznać, jak planuje opiekować się Antoniem i nieprzyzwoicie wprost go przy tym rozpieszczać.

Potem telefon zadzwonił drugi raz. Tym razem z Selje.

Okazało się, że dwóch młodych ludzi włamało się do domu Gudrun. Poniszczyli sprzęty i najwyraźniej mieli również zamiar podpalić dom, znaleziono bowiem przygotowany już do tego materiał. Niestety, nadgorliwy zastępca lensmana za wcześnie włączył w samochodzie niebieskie światło i syreny alarmowe, zanim więc wściekły lensman zdążył położyć kres temu hałasowi, sprawcy, ostrzeżeni, rozplynęli się w powietrzu.

Sąsiadka zdążyła jednak zobaczyć, że było ich dwóch.

- Ten twój piękny dom! - jęknęła Vesla.

- Muszę wracać - powiedziała Gudrun zatroskana. - I to jak najszybciej.

- Dobrze. Unni i ja jedziemy z tobą, pamiętasz?

- A ty, Mortenie, co zamierzasz? Chłopak uciekał wzrokiem.

- Przyrzekłem Monice...

- Zostań tu - powiedziała Gudrun, dobrodusznie kładąc rękę na ramieniu wnuka. - Z kielkującą miłością trzeba obchodzić się ostrożnie. Przynajmniej Vesla będzie miała jednego chodzącego mężczyznę do pomocy w zajęciu się domem, bo przecież samolot Pedra odlatuje za kilka godzin.

- Nie jedziesz samochodem, Pedro? - spytał Jordi.

- Nie, bo przecież niedługo wrócę. Zresztą chcę się tam znaleźć jak najszybciej. Muszę powstrzymać te plotki, zanim się rozniosą. Doprawdy, ładnie nas urządzili! Ciekaw też jestem, jaki plan ma Antonio.

- No właśnie - przyznała Gudrun. - Sprawiał wrażenie bardzo zdecydowanego. A wiecie, że moja sąsiadka również miała bardzo rzeczywisty sen o rycerzu?

- Naprawdę? Opowiadaj!

Z opisu Gudrun wynikało, że w Selje pojawił się don Garcia de Cantabria, co, zdaniem Vesli, było nieco dziwne. Próbowała wyjaśnić:

- Chodzi mi o to, że przodek Unni, don Sebastian, uratował dom jej rodziców. Czy w Selje wobec tego nie powinien zjawić się przodek Mortena?

- Don Ramiro jest również naszym przodkiem - tłumaczył Jordi. - A on był na bagnach i tam nas ocalił. Widać podzielili się zadaniami.

Gudrun z uśmiechem popatrzyła na Pedra.

- Przekonasz się, że w Hiszpanii pomoże ci twój przodek, don Federico.

- Mam nadzieję, że tak będzie - odpowiedział Pedro z uśmiechem. - Jego pomoc może być mi bardzo potrzebna.

- No dobrze - roześmiała się Unni. - A co wobec tego robi piąty, don Galindo de Asturias? Kręci młynka pakami? To trochę trudne w żelaznych rękawicach!

Antonio wrócił do domu i pomimo protestów został położony do łóżka, Pedro wyjechał, a Gudrun, Unni i Jordi przygotowywali się do wyjazdu do Selje. Morten na dobre zagościł w domu sąsiadów i rzadko stamtąd wychodził.

Wkrótce mieli się dowiedzieć, czym zajmował się piąty rycerz. Don Galindo, któremu przypadło najtrudniejsze zadanie, pojawił się przed Jordim, zmierzającym akurat w stronę pojemników na śmieci, z torbą pełną odpadków w każdej ręce.

Nie była to najodpowiedniejsza chwila na spotkanie z rycerzem.

Jordi jednak jak zwykle powitał go z powagą i czcią, prędko pozbył się śmieci, zatrzasnął pokrywę pojemnika i spokojnie spytał, o co chodzi.

Twarz dona Galindo była surowa, wprost miotał myśli, które wpadały w głowę Jordiego.

„Widzimy, że wszyscy padliście ofiarą bezwstydných oszczerstw...”

Jordi kiwnął głową.

- To prawda.

„Twój brat ma jakiś pomysł. Sprowadź go!” Ile oni właściwie wiedzą? Czyżby w ogóle nie mogli liczyć na trochę prywatności?

- To, niestety, niemożliwe - odparł Jordi. - Mój brat odniósł w górach bardzo poważną ranę. Możemy natomiast iść do jego pokoju. Jeśli mogę waszą wysokość tym trudzić, don Galindo.

Rycerz skinął krótko głową i weszli do domu. W drzwiach natknęli się na Gudrun, a Jordi uroczyście powiedział:

- Ustąp miejsca jego wysokości donowi Galindo de Asturias.

Eleganckim gestem wskazał Gudrun, gdzie znajduje się jego wysokość.

Kiedy znaleźli się w pokoju Antonia, Jordi poprosił:

- Veslo, don Galindo chce rozmawiać z moim bratem. Może mogłabyś...

- Naturalnie - odparła dziewczyna, wstając z krzesła przy łóżku. Jordi ocalił ją przed kolizją z dostojnym rycerzem.

Kiedy Vesla wyszła, Jordi powiedział uprzejmie:

- Czy będziesz łaskaw porozmawiać z Antoniem? Pacjent siedział w łóżku, wsparty na poduszkach. Nie mógł pojąć, dlaczego nie pozwalają mu siedzieć w fotelu, ale lekarz przykazał mu nie obciążać tej nogi przynajmniej przez pierwsze dni. Bezlitośnie się przecież z nią obszedł, tak długo na niej idąc. Jordi wyjaśnił:

- Don Galindo słyszał, że wszczęto przeciwko nam kampanię obrzucania nas błotem. Wie także, że miałaś jakiś pomysł. Uważa jednak, że nie da się go zrealizować bez jego

pomocy.

- Rozumiem - powiedział Antonio i dodał po hiszpańsku: - Mam przyjaciela, który jest dziennikarzem.

Ponieważ słowo to okazało się zbyt trudne dla rycerza z piętnastego wieku, Antonio usiłował wyjaśnić:

- To ktoś w rodzaju herolda. To, co napisze, dociera do wszystkich ludzi w tym mieście, a nawet, jeśli zechce, w całym kraju.

Don Galindo kiwnął głową.

Właściwie rycerza trudno było nazwać pięknym mężczyzną, a ponieważ wyglądem przypominał upiora, nie poprawiało to wrażenia, jakie wywoływał. Miał w sobie jednak także jakieś wielkie dostojeństwo i pomimo całej surowości od czasu do czasu w jego oczach pojawiały się ciepło i łagodność.

„Rozumiem wasze zamiary - powiedział, a Jordi tłumaczył jego myśli. - Pomysł jest dobry, z tego zaś, co rozumiem, tylko w ten sposób można położyć kres tym niezdolnym plotkom, które musicie znosić. Ale w jaki sposób macie zamiar to zrealizować?”

- Przygotujemy pismo, dementi, w którym wypiszemy wszystkie oskarżenia skierowane przeciwko nam, i zmusimy Emmę, żeby się pod tym podpisała. Ze zdjęciem... to znaczy z jej portretem. Artykuł musi w pełni oczyszczać nas od wszelkich zarzutów, a dla niej być upokorzeniem.

„Tyle zrozumieliśmy. Ale w jaki sposób zamierzacie ją złapać i zmusić, żeby się pod tym podpisała?”

- Tak daleko jeszcze nic nie planowałem. Może jakoś zdołamy ją tutaj przyciągnąć?

„To nie będzie łatwe. Ta przebiegła lisica dobrowolnie nie da się schwytać w pułapkę. Właśnie w tym mogę wam pomóc, w ściągnięciu jej tutaj. I chyba wiem, czym możemy jej zagrozić tak, żeby podpisała”.

- Straszanie jej policją na nic się nie zda - stwierdził Jordi. - Przecież już wcześniej siedziała w areszcie. Umiejętność flirtowania zawsze pomaga jej wyjść na wolność.

„Można jej zagrozić czymś gorszym”.

Bracia wyglądali na nieco zatroskanych. Nie chcieli się uciekać do zbyt drastycznych metod, ale kiedy don Galindo wyjaśnił im wszystko dokładnie, uśmiechnęli się.

- To rzeczywiście odpowiednie dla niej - zdecydował Antonio.

Poprosili, żeby poczekać z tym do powrotu Jordiego i jego przyjaciółek z Selje, bo wybierają się tam na krótko. Podczas ich nieobecności Antonio i Vesla przygotowują stosowny list do prasy.

„Będziecie już teraz bezpieczni - obiecał don Galindo. - Czuwamy nad wami wszystkimi”.

- Dziękujemy. Zakładam, że na zewnątrz domu? „Na zewnątrz” - potwierdził rycerz i Antonio odetchnął z ulgą.

- A don Pedro? Co będzie z nim?

„Możecie być spokojni. Don Federico zatroszczy się o to, żeby i w jego wypadku sprawiedliwości stało się zadość”.

Mieli więc rację. Pożegnali się z rycerzem w konspiracyjnym nastroju, ciesząc się na widok uśmiechu na jego udręczonej twarzy.

Nim zniknął, dodał jeszcze z powagą:

„Chcielibyśmy, abyście później skupili się na waszym właściwym zadaniu”.

- My też nie pragniemy niczego innego.

Morten trochę bez ładu i składu wyjaśnił, że następnej nocy nie spędzi w domu. Rodzice Moniki wyjechali, a dziewczyna boi się zostać sama.

Antonio odparł, może nieco zbyt prędko:

- Oczywiście, zostań u niej na noc i bądź jej opiekuńczym rycerzem.

Morten rozpromienił się, zaskoczony tym, jak łatwo mu poszło.

Nadszedł wieczór. Antonio i Vesla mieli być sami w domu przez całą noc. Pedro wyjechał do Hiszpanii, Morten czuwał nad biedną samotną Moniką, a pozostali zapewne o tej porze dotarli już spokojnie do Vestlandet.

Antonia bolało kolano.

Wiele rozmawiali o eksperymencie, który miała przeprowadzić Vesla. Opowiedziała mu o wszystkim, o lekkim mrowieniu w podbrzuszu po swoich długotrwałych zabiegach i o tym, jak za drugim razem pojawiło się ono pręcej, lecz nie chciała nic więcej robić sama, bo trochę się bała.

- Chodź, połóż się przy mnie - poprosił Antonio.

- Ale przecież ciebie tak boli!

- Wziąłem coś przeciwbólowego. Jeśli położysz się plecami do mnie, o tak, to zrobimy to razem.

Dziewczyna zawahała się.

- Ale musisz mi powiedzieć od razu, jak cię zaboli. Nie chcę mieć na sumieniu twojego ewentualnego kalectwa.

- Będziemy ostrożni - powiedział spokojnie Antonio. - Pamiętaj, że kochamy się już

od dawna. Znamy się nawzajem, będziemy mieć dziecko. Czego więc się boisz?

Rzeczywiście, w pierwszych chwilach zachowywali ostrożność, później Antonio miał zapomnieć o bólu i kolanie.

Vesla z początku była bardzo spięta, wiedziała, że chodzi o teraz albo nigdy. Podjęła próbę na własną rękę, później zaczęli współpracować.

Świadomość tego, że on leży za nią, dotyk jego ciała sprawił, że tamto wrażenie powróciło bardzo prędko.

Czy to tylko ból z powodu intensywnych zabiegów, czy też coś więcej?

Nagle Vesla znieruchomiała.

- Antonio, czy my to musimy robić? Natychmiast odsunął rękę.

- Nie, oczywiście, że nie. Jeśli nie chcesz...

- Nie zrozum mnie źle - powiedziała nerwowo. - Czy to naprawdę jest dla ciebie aż tak ważne, żebym i ja w tym uczestniczyła? Przecież mnie jest dobrze tak jak jest, uwielbiam się z tobą kochać, czy to ci nie wystarczy?

- Veslo, to ty decydujesz. Jeśli uważasz, że to nieprzyjemne...

- Czuję się tak głupio - poskarżyła się dziewczyna. - Doprawdy, urządzamy jakieś dziwaczne przedstawienie!

- Wybacz mi, jeśli postawiłem cię w kłopotliwej sytuacji. Chciałem tylko, żebyś była ze mną w pełni.

Vesla zorientowała się, że Antonio jest urażony, i to bardzo ją zasmuciło. A przecież wcale tego nie chciała.

Poczuła też coś innego. Podczas tej przerwy jej ciało wypoczęło, mówiło teraz: „I co, czy już nic więcej nie nastąpi?”

Tym razem ta prośba była dość natrętna.

- Chyba gotowa jestem do dalszego ciągu - wyznała Vesla.

Antonio natychmiast się ożywił.

- Chcesz, żebym...

- Nie, sama spróbuję.

Poczuła, że Antonio przysuwa się do niej od tyłu jeszcze mocniej. Pozwoliła mu zrobić to, co chciał. Zdawała sobie sprawę, że od dawna jest już gotów, lecz że wstrzymywał się ze względu na nią.

W nieoczekiwany sposób podnieciło ją to, że wszedł w nią pod takim kątem.

Jeśli teraz nic z tego nie wyjdzie, to jestem zgubiona, pomyślała. Z lękiem zbliżyła rękę do wrażliwego punktu i nagle poczuła, że coś się zmienia. Zadrżała, wrażenie minęło.

- Mało brakowało - wykrztusiła. - Ale to się nie da, nie mogę.

- Nie poddawaj się, to był dopiero początek!

Vesla czuła się żałośnie. Kiedy jednak odczekała chwilę i odetchnęła, wystarczyło, by lekko dotknęła tego wrażliwego miejsca, i cała nagle stanęła w płomieniach. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, zaczęła poruszać się w rytmie Antonia i nagle przeszył ją nieznośny dreszcz rozkoszy.

Wyprężyła się i nabrała powietrza ze stłumionym przeciągłym zawodzeniem. Dla Antonia był to nieomylny znak, że osiągnęła szczyt.

Teraz i on nie potrafił już dłużej się wstrzymać.

Leżeli obok siebie, spoceni, zdyszani i szczęśliwi. Pozwolili, by znów ogarnął ich spokój i wrócił normalny oddech.

- Ach, Boże - westchnęła Vesla. - Czułam się jak w niebie. Dziękuję ci, Antonio!

- Nie mnie dziękuj, tylko sczytanej książce, wyciągniętej spod nocnego stolika w małym, brudnym pokoju na kempingu!

- Przede mną w każdym razie otworzyła cały świat. A co z twoim kolanem?

- Ojej, całkiem o nim zapomniałem.

Wiedział, że znów je przeciążył, choć na nim nie stawał. Nie zachował spokoju, jak powinien, wiedział, że będzie musiał za to zapłacić, kiedy z czasem przestaną działać tabletki.

Ale warto było, zdołał pociągnąć Vesłę za sobą, wydobyć ją z tego więzienia, w którym była zamknięta od tak dawna.

Zycie było naprawdę wspaniałe!

To był wietrzny dzień w Selje, na morzu białły się szczyty fal, a w koronach drzew rozbrzmiewał cichy szum psalmów.

Unni zasadziła kilka letnich kwiatów na prostym grobie.

Widniał na nim napis: „Nasza droga Sigrid Andersen, z domu Vik Hansen, 1955 - 1980. Kochamy i tęsknimy”.

Gudrun i Jordi pomogli Unni uklepać ziemię i zrobić porządek wokół grobu. Unni oczywiście popłakiwała, zawsze zresztą uważała się za osobę skłoną do wzruszeń. Właściwie była to czarująca strona jej osobowości.

Przy nagrobku Sigrid wzniesiono inny. „Jonas Hansen 1933 - 1958. Spoczywaj w pokoju”. Pod imieniem Gudrun zostawione było wolne miejsce.

Jonas. Żył krótko, dokładnie tyle samo lat, co jego córka Sigrid.

- Nie znaleźliśmy jego dziennika - powiedział cicho Jordi.

Cały poprzedni wieczór spędzili na porządkowaniu zdewastowanego domu Gudrun. Na szczęście nie poczyniono zbyt dużych szkód, łotrów powstrzymano w porę.

Tego dnia przed południem Gudrun, Jordi i Unni szukali dziennika Jonasa. Bez rezultatów.

- Musiał go dobrze schować - stwierdziła Unni.

- Albo spalić - powiedziała Gudrun cierpko. - Jonas nienawidził wszystkiego, co miało jakikolwiek związek z tym złym dziedzictwem.

Unni zastanawiała się, czy Morten również spocznie tu kiedyś, może nawet już za kilka miesięcy.

Cóż za okropna myśl!

Ona sama nie chciała spocząć w grobie. Chciała zostać skremowana, a jej prochy miały zostać rozrzucone na szczycie góry.

Za trzy i pół roku? Jordiego już wtedy nie będzie.

Zadrzała. Przygotowali się do opuszczenia cmentarza. Zamierzali jechać prosto na lotnisko w Ørsta Volda. W pobliżu odbywał się akurat pogrzeb. Wiatr przyniósł im niektóre ze słów pastora: „... ale dla tego, kto ma wiarę... „

- Uważam, że „wiara” to niewłaściwe słowo - stwierdziła Unni, gdy znaleźli się już na drodze. - Powinno się raczej mówić o nadziei.

- Dlaczego?

- Bo przecież właśnie o nią chodzi. We wszystkich religiach. O nadzieję na istnienie jakiegoś Boga. Jakiegoś życia, które nastąpi później. Nadzieję na to, że ktoś czuwa nad człowiekiem i słucha jego próśb. Wtedy wszystko o wiele lepiej się ze sobą zgadza. Nigdy nie mogłam pojąć, co takiego wspaniałego jest w samej wierze.

Jordi nie odzywał się ani słowem. Wpuścił ją do samochodu na tylne siedzenie. Unni nigdy nie wolno było siedzieć obok niego, po prostu się nie dało. Przeklećci rycerze!

Ale przynajmniej wolno jej było mówić. I robiła to. Przepelniona rozpaczą i wściekłością wywołaną tym, czego się niedawno dowiedziała, swoją opinią złodziejki. Czuła się przy tym taka bezsilna, bliska płaczu, że ledwie była w stanie wydusić z siebie słowa.

A mimo to nie zamilkła nawet na moment. Jąkając się, urywanymi zdaniami, wylewała z siebie swoje skargi.

Nikt z nich nie śmiał się z jej żalów ani też nie próbował bagatelizować problemów. Na szczęście, bo tego by nie zniosła. Jordi proponował jedynie odszukanie bodaj jednego sprzedawcy, który mógłby udowodnić jej kradzież. To jednak byłaby metoda wymagająca bardzo wiele trudu, ale nie przynosząca wyników na większą skalę.

- Jesteśmy zgodni co do tego, że tobie przypadł w udziale największy ciężar, Unni - powiedziała Gudrun. - Świadomość, że byłaś podejrzewana przez tak długi czas i przez tylu ludzi, musiała być dla ciebie prawdziwym szokiem. A kiedy, przynajmniej z pozoru, spłynęło to po tobie jak woda po gęsi, ponieważ wcześniej nic o tym nie wiedziałas, cios zadano twoim rodzicom... To chyba więcej niż człowiek potrafi znieść.

Jordi nic nie powiedział. Wysunął tylko rękę do tyłu i uściśnął dłoń Unni.

- Ale Vesla również przeżyła wielki szok - ciągnęła Gudrun. - Zostać oskarżoną o spowodowanie śmierci dziadka, która była dla niej taką traumą, i fakt, że matka zwróciła się tak od razu przeciwko niej, to, doprawdy, straszne doświadczenie.

- Tak - zaszlochała Unni. - Ogromnie jej współczuję.

- Ja także - powiedziała Gudrun. - Dobrze, że ma Antonia.

- O, tak - przyświadczyła Unni. - Ale jemu także urządzili zimny prysznic. Ale tutaj postąpili głupio, Antonio nie mógł nic zmagistrować przy tej kroplówce. W tamtym czasie nie miał do niej dostępu.

- Problem Mortena rozwiązał się dosyć łatwo - uzupełnił Jordi. - Doszedł z Moniką do porozumienia i na pewno zdoła udowodnić, że nie jest impotentem. A sprawą gwałtu Emma może się wypchać. Kto uwierzy, że Morten, który ma takie naiwne spojrzenie i zachowuje się jak dzieciak, może być gwałcicielem? A Pedro? Możemy mieć tylko nadzieję, że i on sobie poradzi w Hiszpanii. Doprawdy, nie zasłużył na oskarżenia o korupcję! Przecież to

prawdziwy człowiek honoru. Ja osobiście nie przejmuję się ani trochę tym, że ktoś może uważać mnie za homoseksualistę, poza tym tak naprawdę wymeldowałem się już ze społeczeństwa, zarejestrowałem się jako zmarły. A ty, Gudrun, przynajmniej uniknęłaś złośliwych plotek.

- Tak, widać byłem postacią zbyt postronną. Zamiast tego przystąpili do dzieła bezpośrednio, chcieli zniszczyć mój dom. To miała być ich zemsta za to, że ośmieliłam się wmieszać w ich sprawy.

- Podziękowałaś sąsiadce?

- Oczywiście, bardzo serdecznie. Rozmawiałam też z lensmanem. Badają tę sprawę.

Unni na tylnym siedzeniu wycierała nos.

- Ale chyba wszyscy jesteśmy zgodni co do tego, że Ebba jest osobą nikczemną?

- Emma, nie Ebba! Nos masz zatkany - uśmiechnął się Jordi. - To oczywiste, że Emma jest nikczemna. Ciekaw jestem, co Antonio i don Galindo wymyślą przeciwko niej i jej kompanom!

W mieszkaniu Emmy w centrum miasta odbywała się narada. Byli tam również Kenny, Tommy i Roger. Alonzo wyjechał do Hiszpanii narobić kłopotów temu nieznośnemu Pedrowi.

- Muszę wam powiedzieć, że nasi przeciwnicy porządnie się teraz wystraszyli i przejęli - oświadczyła Emma z zadowoleniem. - Całe miasto aż huczy od plotek. Doskonale potrafimy je rozsiewać.

- Oczywiście - potwierdził Kenny. - Wystarczy rzucić kilka słów w trakcie jakiejś rozmowy, nawiązać do jakiegoś nieokreślonego typu, który to powiedział.

- Pewnie - wtrącił Tommy. - Albo rzucić od niechcienia: „Słyszałem wczoraj, że...” To zawsze działa i nie trzeba podawać źródła.

- Ta wiadomość o morderstwie dokonanym przez Vesłę rozeszła się najszybciej - zachichotał Roger. - Wróciła do mnie już po paru godzinach. Usłyszałem ją od kompletnie obcej osoby.

- Podobno gliny mają zamiar się tym zająć - dodał Kenny. Emma uśmiechnęła się triumfalnie.

- Tommy, załatwiłam dom Karlsrudów dokładnie tak, jak mi powiedziałeś. Byli wtedy w kuchni.

Tommy, kiedyś uczeń elektryka, teraz drobny łobuz, popatrzył na nią z ponurą miną.

- Owszem, ale dom nie spłonął.

- Co?

- Zaczęło się palić. To nie twoja wina, że oni się za wcześnie obudzili.

Emma cicho zaklęła.

- To niesprawiedliwe - powiedziała głośno. - Mnichom też nie powiodła się ich robota w lesie. A co w Senja?

- Selje - poprawił ją Kenny.

- Wszystko jedno - prychnęła. - Zniszczyliście tę chałupę?

- Nie, nie pojmuję, co tam się mogło stać. Ledwie zaczęliśmy, a już przyjechały gliny.

- Co? Widzieli was?

- Nie, włączyli syreny. Łatwo było uciec.

- Idioci, dobrze im tak!

- Owszem, ale nie mieliśmy czasu podpalić.

- Też nie? Czy ja wszystko muszę robić sama? To znaczy, że tylko te plotki przyniosły pożądany rezultat. Musimy wymyślić coś na tę babę z Senja... czy tam Selje. Ale tu wszystko wszędzie działa jak nasmarowane. Moi przyjaciele, mnisi, będą mieli swoją zemstę.

- My niedługo dostaniemy wynagrodzenie, prawda? - spytał Kenny nie bez groźby w głosie.

- Olbrzymie, dobrze o tym wiecie. Ach, gdybym tylko mogła przeniknąć do tej ich grupy i wyciągnąć od nich najświeższe wiadomości, to moglibyśmy pojechać do Hiszpanii przed nimi i sprzątnąć im wszystko sprzed nosa!

- Nigdy się do nich nie przedrzesz po tym, ile im krwi napsułaś.

- Ja? To ja...

- O, nie, nie - przerwał im Tommy. - Nie mamy teraz czasu na kłótnie.

Głęboko dotknięta Emma jakoś się uspokoiła. Nie warto tracić sił na tych idiotów.

- Omówię z mnichami następny krok. Byle tylko Alonzo wrócił.

Piękny Alonzo, we własnej opinii ulubieniec bogów, nie był zanadto zadowolony. Właściwie nie był zadowolony ani trochę.

Przyjechał do Madrytu triumfalnie, jak zwykle posługując się fałszywym paszportem. Pod swym właściwym nazwiskiem „Alonzo Gonzales” nie zajechałby daleko, gdyż znajdowało się ono na czarnej liście wszystkich lotnisk w Hiszpanii, oczywiście doskonale znała je również policja.

Dobrze im się żyło z nielegalnie zarobionych pieniędzy Leona.

Emma zabrała mu kartę bankową i zmusiła do zdradzenia kodu, gdy był oszołomiony podczas mentalnej przemiany z Leona w Wambę.

„W Madrycie Alonzo ubrał się tak, żeby mógł uchodzić za dyplomata, a następnie rzekomo głęboko urażony odwiedził wysoko postawioną osobę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i przedstawił „dowody” na to, że don Pedro de Verin dopuścił się nieuczciwości, związanych z pewną firmą na Środkowym Wschodzie. Korupcja, łapówki, wiele pieniędzy zmieniających właściciela. Sprawdzenie tych oskarżeń mogło zająć sporo czasu i właśnie na to liczył Alonzo.

W Ministerstwie Spraw Zagranicznych zapanowało wzburzenie, a Pedra natychmiast wezwano do powrotu do kraju.

Na przystojnej twarzy Alonza widać było zły uśmieszek, gdy w pośpiechu opuszczał budynek Ministerstwa, by już nigdy więcej tu nie wrócić.

Ale stary don Federico de Galicia chciał, żeby stało się inaczej.

Pedro przyjechał do Madrytu i czym prędzej pospieszył do Ministerstwa, żeby wszystko wyjaśnić.

Jednocześnie zaś don Federico z pogardą przypatrywał się Alonzowi, w oczekiwaniu na samolot do Norwegii leniwie wyciągniętemu na łóżku w hotelowym pokoju.

Don Federico był najpotężniejszym z rycerzy i tym w najwyższym stopniu obdarzonym niezwykłymi zdolnościami. Jedną rzeczą była jego możliwość zaglądania w przyszłość, inną natomiast talent, z którego skorzystał teraz.

Rycerze zawsze komunikowali się, wykorzystując siłę myśli. Najpierw rozmawiali w ten sposób z Jordim, a później, z nieco większym trudem, z Pedrem. Teraz don Federico użył całych swoich sił, żeby dotrzeć do człowieka całkowicie tego niegodnego.

„Zostawiłem paszport w Ministerstwie Spraw Zagranicznych”.

Zostawiłem paszport w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, pomyślał Alonzo.

Nie, nie mogłem tego zrobić, bo przecież nie wyjmowałem go...

Ależ tak, wyjmowałem!

Poderwał się i sprawdził wewnętrzną kieszeń marynarki.

Paszportu nie było.

Alonzo poczuł, że oblewa go zimny pot. Przecież bez paszportu nigdzie nie pojedzie!

Nie domyślał się, że to don Federico nakłonił go do zapomnienia paszportu w recepcji Ministerstwa.

„Muszę tam iść, natychmiast. Zanim don Pedro de Verin y Galicia y Aragon przyjedzie”.

Muszę tam iść, natychmiast. Zanim don Pedro de Verin y Galicia y Aragon przyjedzie, przebiegło przez głowę Alonzowi.

Dlaczego, u wszystkich diabłów, używam w odniesieniu do niego takiego wspaniałego tytułu? I skąd w ogóle przyszedł mi na myśl? A niech to, muszę tam iść, i to jak najprędzej!

Don Pedro odbył poważną rozmowę z wysoko postawionym urzędnikiem, którego dobrze znał. Przeżył bardzo kłopotliwe chwile. Nie mógł też tak od ręki przedstawić dowodów swojej niewinności. Obiecał jednak sprawdzić, kto wysunął przeciwko niemu tak niecne oskarżenia. Nie krył swej rozpacz. Urzędnik odprowadził go do wyjścia.

Nagle krzyknął:

- To ten człowiek! Tam, przy recepcji! Pedro odwrócił się we wskazanym kierunku.

- Ten? Przecież to Alonzo Gonzales! Wobec tego nic mnie już nie dziwi.

Alonzo spostrzegł ich, zabrał swój paszport i rzucił się do ucieczki.

- Zamknąć wszystkie lotniska i przejścia graniczne! - nakazał wysoko postawiony urzędnik. - Jakie nazwisko widniało w jego paszporcie?

Recepcjonistka jednak tego nie zapamiętała.

- Cóż, to bez znaczenia, i tak go dopadniemy! A ty, oczywiście, jesteś czysty, Pedro. Osobiście nie wierzyłem w te zarzuty, ale dowody wyglądały na całkiem solidne.

Pedro odetchnął z ulgą.

- Co za szczęście, że on tu akurat był!

- Oczywiście, już lepiej nie mogło się złożyć! Zadowolony don Federico uśmiechnął się półgębkiem.

Emma przedostała się do grupy znacznie szybciej, niż na to liczyła. A w dodatku nastąpiło to przez kanał, którego nigdy się nie spodziewała.

Akurat dzwoniła w różne miejsca, żeby się dyskretnie upewnić, na ile wszczęta przez nią kampania plotek rozwija się w kierunku takim, jakiego sobie życzyła, i otrzymywała przyjemne potwierdzenia, że wszystko układa się tak, jak chciała. Wtedy również do niej zadzwonił telefon.

Nie od razu poznała głos rozmówcy. Miękki, lekko zamglony męski głos, jak gdyby pochodzący z innego świata, spytał o jej nazwisko, potwierdziła, że to ona.

- Mówi Jordi Vargas. - Emma, słysząc to, podskoczyła wysoko ze zdumienia. - Zastanawiam się, czy znalazłabyś czas, żeby przyjść do naszego domu. Mój brat i ja postanowiliśmy zawrzeć z tobą ugodę.

Gdyby to był ktoś inny, Emma natychmiast by odmówiła, tym razem jednak dała się złapać w pułapkę. Tajemniczy Jordi Vargas, ten, który obciął głowę czarownikowi! Ten, o którym mówili, że jest martwy, a mimo to żył. I w którym ta mała, śmieszna Unni podobno tak się zakochała. Unni, z którą przyjaźni się Antonio Vargas i która, choć taka głupia, tyle razy już oszukała Leona, Emmę i całą ich grupę.

Emmie nie przyszło do głowy, że to mniej lub bardziej widzialny Jordi przybywał Unni z odsieczą w krytycznych sytuacjach.

Przejrzała się w lustrze, flirtując z własnym odbiciem.

- Ugodę? Chcecie współpracować?

- Można tak to nazwać - odparł fascynujący głos. Emma z przyzwyczajenia podziwiała swoje odbicie w wielkim lustrze, siedząc na brzegu łóżka i lekko kiwając nogą. Poprawiła linię brwi i głębokim, uwodzicielskim głosem oznajmiła, że zaraz sprawdzi w kalendarzu, czy ma czas na spotkanie.

Owszem, miała. (Powiedziała to, nigdzie nie zaglądając.)

- Wciąż mieszkanie tam, gdzie dawniej? - spytała ostrożnie.

- Nie, Antonio i ja się wyprowadziliśmy. Tam się zrobiło trochę za ciasno.

Wyprowadzili się od Unni i Vesli? Ha! Może z powodu plotek? Może udało jej się skłócić grupę przyjaciół ze sobą? Jordi ciągnął:

- Na razie mieszkamy u naszego dobrego znajomego, który ma willę nad morzem. Na północ od kąpieliska. Prowadzi tam ścieżka przez las, na pewno wiesz, gdzie to jest. Różowa

willa przy plaży, chyba z lat trzydziestych, z białymi rzeźbieniami.

- Tak, wiem.

Radosny uśmiech (szkoda, że przy tym taki chytry) pojawił się na twarzy Emmy, gdy zakończyła rozmowę.

Współpraca z braćmi Vargasami? Unni i Vesla wyeliminowane? Pozostali, Morten, Pedro i ta starsza kobieta w ogóle się nie liczyli!

Emma, Antonio i Jordi. Przecież to oni byli gwiazdami w całej tej sprawie. Tommy, Kenny i Roger to zera, nie szkoda ich porzucać.

Alonzo?

Przystojniak, chociaż nie najmądrzejszy. W dodatku niemal całkiem już zużyty. Wszystkie jego erotyczne finezje znała już na pamięć. Ale owszem, Alonzo mógł się w to włączyć. Przyda jej się jakaś rezerwa na wypadek, gdyby bracia Vargasowie okazali się zbyt zajęci. Lecz Alonza tu nie było.

Pozostawała jeszcze reszta ich hiszpańskiej grupy. Niektórzy z nich powinni już wkrótce znaleźć się na wolności, nie popełnili przecież żadnych poważnych grzechów, a byli potrzebni. Potrzeba wielu ludzi, żeby wykonać końcową pracę, tak twierdził Leon.

Leon...

Emma skrzywiła się i znów o nim zapomniała.

W czasie gdy Alonzo w paskudnym humorze chodził po Madrycie, zastanawiając się, w jaki sposób cało i zdrowo wrócić do Norwegii, Pedro przyszedł do Gudrun, która była akurat sama w domu. Antoniowi nareszcie pozwolono wstać i Vesla zawiozła go wraz z Jordim nad morze, gdzie dziennikarz, przyjaciel Antonia, miał swój letni dom.

Pedro opowiedział Gudrun, jak świetnie się wszystko ułożyło. Niestety, Alonza nie udało się odnaleźć, lecz kłamliwa historia na temat korupcji przestała w każdym razie istnieć.

- Tak bardzo się cieszę, że znów cię widzę, Gudrun - mówił prosto z serca. - Wiele myślałem o tej podróży. Siedziałem w samolocie, patrzyłem na ziemię i marzyłem o tym, żebyś zechciała pojechać razem ze mną do Hiszpanii i tam ze mną zamieszkać. Na zawsze. Potrzebuję kogoś, kto by potrzebował mnie.

- Dziękuję, Pedro, to najwspanialsza rzecz, jaką mogłeś mi powiedzieć. Słyszałam od Unni, jaki wspaniały masz dom i... taki jesteś drogi memu sercu. Wiem, że to dość staromodne określenie, ale tak właśnie czuję. I ja także wiele o tobie myślałam, ale wiesz, ja już nie jestem młoda, mam tyle drobnych wad, defektów i złych nawyków. A rzadko ma się ochotę pokazać miłemu to wszystko, bo właśnie na nim chce się zrobić dobre wrażenie. A

mnie doprawdy bardzo daleko do doskonałości.

Musiała urwać, żeby zaczerpnąć tchu.

- Ależ, moja droga - rzekł Pedro z uśmiechem. - A któż z nas jest doskonały? Na tym zresztą właśnie polegał błąd w moim związku z Flavią. To ona była taka we wszystkim na wskroś doskonała. W przeciwieństwie do mnie.

Usiedli na kanapie i zaczęli się sobie nawzajem zwierzać ze wszystkich małych i dużych słabości. Tylko po to, żeby stwierdzić, że są do siebie bardzo podobni.

Gudrun się rozmarzyła. Miałyby opuścić Selje, gdzie mieszkała przez całe swoje życie? Zawsze jednak dużo podróżowała i potrafiła zaaklimatyzować się w każdym miejscu. Ale w Madrycie? Jednym z najcieplejszych i najsuchszych miast w Europie? Czy ta zmiana nie będzie za duża? Czy nie będzie tęsknić za morską bryzą, za poranną orkiestrą mew i za cudowną nadmorską wiosną?

Pedro zauważył, że Gudrun się zastanawia.

- Uspokójmy najpierw tę burzę, związaną ze złym dziedzictwem rycerzy. Zobaczymy, co będzie potem.

Gudrun z wdzięcznością kiwnęła głową.

Emma zamknęła samochód i na wysokich obcasach podreptała ścieżką w dół ku brzegowi morza przez piękny bukowy las, lecz nie rozkoszowała się jego urokami. Widok pięknego leśnego podszycia, z kępami szczawiku, przekwitniętych zawilców, niebieskich fiołków i innych drobnych zielonych roślinek o wyszukanej delikatności, nie robił na niej wrażenia. Myślała jedynie o tym, że ścieżką trudno się idzie, że jakiś zwiędły liść nabił się na jej ostry jak sztyło obcas.

Wieczór był mgliście niebieski, powietrze znieruchomiało. Od strony pobliskiego morza nie dochodził żaden - odgłos.

Jak daleko właściwie ciągnie się ta ścieżka?

Emma się zatrzymała.

Kto, do diabła, za mną idzie?

Za jej plecami zaszeleściło w zeszlórocznych liściach. Emma odwróciła się gwałtownie, nie lubiła historii o duchach.

Nikogo tam nie było.

Pewnie sama poruszyła suche liście.

Jordi czy Antonio?

Którego wybrać na początek? Antonio jest przystojniejszy, można się z nim pokazać i

wzbudzić zazdrość u innych kobiet, za to Jordi jest bardziej interesujący, bardziej tajemniczy. Była pewna, że nie spał z Unni, tak mówił Morten, podobno nie mogła wytrzymać jego zimna.

To mogło oznaczać jedynie, że uważał Unni za zbyt natrętną i odpychał ją od siebie, okazując jej lodowaty chłód.

Teraz będzie miał ją, Emmę, ona go wiele nauczy. Na pewno da się złapać na haczyk. To będzie niezwykle interesujące.

Kolejny raz się odwróciła, tym razem bardziej zdenerwowana. Doprawdy, to jakieś bardzo dziwne odgłosy!

Powinna była dla wszelkiej pewności zabrać ze sobą chłopaków, kazać im schować się gdzieś na skraju lasu w pobliżu tej willi.

Ale wówczas oni dowiedzieliby się o nawiązaniu współpracy z braćmi Vargasami, a przecież chciała to utrzymać w tajemnicy.

Poza tym czuła się najzupełniej bezpieczna we własnym towarzystwie. Kiedy zostanie z braćmi w cztery, nie, raczej w sześcioro oczu, będzie mogła nimi manipulować tak jak zechce.

Własna siła przyciągania nigdy jeszcze Emmy nie zawiodła.

Zabawne będzie przyjrzeć się Jordiemu Vargasowi z bliska. Wcześniej miała okazję widzieć go jedynie przelotnie.

Okropnie nieprzyjemne są te skradające się kroki za plecami. To na pewno jej ubranie tak szeleści.

Aha, dzięki Bogu jest już plaża! Pusta o tej porze dnia, o tej porze roku. Jest też różowa willa, absolutnie bezguście, ale to problem właściciela.

Uf, obcasy zapadają się w piasek. Do butów też się nasypało. Jaki sens ma spotkanie się tutaj? Najwidoczniej jednak chcieli zachować tajemnicę przed resztą grupy.

Emma i bracia Vargasowie, to dopiero konstelacja! Nie do pokonania!

A więc to był Jordi Vargas. Emma zadrżała ze strachu wymieszanego z radością. Jej doświadczone spojrzenie przesunęło się po jego ciele. Znow powędrowało do góry.

Szczególny, bardzo szczególny! Niemal jakby nadziemski. Chyba jednak zacznę od Antonia, żeby mogła się cieszyć i jego podbojem, ale potem będziemy tylko Jordi i ja!

Emma poczuła, że serce wali jej z podniecenia. To coś zupełnie nowego. Unni może się pakować.

Osunęła się w wiklinowy fotel, ustawiony na przeszklonej werandzie.

- Zraniłeś się, Antonio? - spytała swym najśłodszym głosem.

Siedział z nogą na stołeczku.

- Tak, ale to nic poważnego. Zwichnąłem tylko nogę w kolanie - zbagatelizował sprawę.

Emma zaczęła się seksownie kręcić.

- Słyszałam, że chętnie będziecie współpracować?

W pierwszej chwili nie odpowiedzieli. Antonio siedział po drugiej stronie stołu, Jordi stał odwrócony plecami i wyglądał przez szklaną ścianę. Jakież on ma piękne plecy! Wprost idealne, do tego wąskie biodra i szerokie barki.

- Tak - powiedział wreszcie Antonio. - Pragniemy zgody.

- Oczywiście - zapewniła Emma. - To całkiem naturalne, że to my troje, najlepsze mózgi, podzielimy się skarbem. Tamtych jest za wielu i kompletnie się nie liczą. To płotki bez znaczenia.

Jordi odwrócił się.

- My nic nie wiemy o żadnym skarbie - oznajmił spokojnie.

Emma roześmiała się wyniośle.

- Nie próbuj mnie oszukiwać!

- Ale to prawda - powiedział Antonio.

- Co? Twierdzicie, że nic nie wiecie o skarbie? No to czego szukacie?

- My walczymy o nasze życie - odparł Jordi. - O życie Mortena, Unni i moje. I o życie naszych przyszłych dzieci.

- Nic z tego nie pojmuję!

Zdumieli się, lecz wyglądało na to, że Emma mówi prawdę.

- Zechcesz tu podpisać - zażądał Antonio, kładąc na stole przed nią jakąś kartkę i długopis.

Na werandę wyszedł jeszcze jeden mężczyzna. Emma przyjrzała mu się podejrzliwie, a potem z rosnącym przerażeniem i coraz wyraźniejszymi oznakami wstrząsu zaczęła czytać zapisany maszynowym pismem arkusz.

- To zostanie zamieszczone w mojej gazecie - oświadczył nieznajomy. - Potrzebny jest nam tylko twój podpis.

Oświadczenie

Ja, Emma Lang, niniejszym przyznaję, że to ja wypuściłam fałszywą płotkę o tym, iż Unni Karlsrud kradnie w sklepach. Zrobiłam to, by dostać pracę w lokalnej stacji radiowo -

telewizyjnej, którą wcześniej obiecano Unni.

Przyznaję również, że to ja jestem autorką plotki mówiącej, że Vesla Ødegård zamordowała swego dziadka. Było to z mojej strony kłamstwo.

Poza tym w obecności innych osób oskarżyłam Mortena Andersena o impotencję i próbę gwałtu, stażystę Antonia Vargasa o dopuszczenie się zaniedbań podczas przeprowadzania operacji, a jego brata Jordiego o skłonności homoseksualne.

Zrobiłam to wszystko powodowana żądzą zemsty, pragnąc osłabić pozycję tych osób w społeczeństwie.

Biorę na siebie całą winę i niniejszym przepraszam wszystkie te osoby za wszelkie przykrości, jakich z tego powodu doznały.

Dziennikarz uniósł zdjęcie Emmy z zalotną miną, zrobione w atelier fotograficznym.

- To będzie towarzyszyło notatce. Emma patrzyła na nich zdumiona.

- Wydaje wam się, że ja się pod tym podpiszę? - krzyknęła.

- Tak - odparł Antonio spokojnie.

- Ja nie mam z tym nic wspólnego! A poza tym nie ma dymu bez ognia!

- Na takie słowa powinnaś uważać, Emmo. Wiemy przecież, że to ty stoisz za podpaleniem domu państwa Karlsrudów, a także za dewastacją domu w Selje, w którym wychowywał się Morten. Jeśli się nie podpiszesz, poinformujemy policję o tym, co wiemy, a wtedy pociągniesz za sobą również swoich kompanów.

Emma wstała, prychnęła tylko, nie wiedząc, co robić. Jordi dodał:

- Na nic też się nie zda wzywanie krwiożerczych mnichów, twoich panów...

- Panów? To moi niewolnicy.

- Tak ci się tylko wydaje. W każdym razie nie licz na żadną pomoc z ich strony.

- A co ty możesz o tym wiedzieć?

Dziewczyna chwyciła kartkę i wybiegła. Obcasy zastukały o stopnie schodów werandy.

Dziennikarz pytająco popatrzył na kolegów.

- Nie ma obawy - rzekł Antonio spokojnie. - To tylko kopia. Zresztą Emma wróci, i to bardzo prędko. Jordi, idź jej pomóż.

Jordi kiwnął głową i poszedł za Emmą, która pobiegła przez piasek, chcąc dotrzeć do lasu. Zatrzymał się u stóp schodów i czekał.

Emma dotarła wreszcie do leśnej ścieżki. W rękę ścisnęła kulę ze zgniecionego papieru. Musi się jej pozbyć, ale nie tutaj. Trzeba ją spalić albo podrzeć na drobnusieńkie kawałeczki i spuścić w toalecie.

Co to się dzieje za jej plecami? Znowu jakieś skradające się kroki?

Nie, nic tu nie ma. Nareszcie chyba zrozumieli, że przegrali. Nie da się zmusić niechętniej ręki, żeby coś podpisała. Naprawdę wydawało im się, że ją do tego nakłonią? Jak można być aż tak głupim?

Ależ oni wiedzą strasznie dużo, właściwie wszystko!

Nie, nie wszystko. Nie wspomnieli o zemście Alonza nad Pedrem. Przynajmniej to się udało Emmie i jej przyjaciółom.

Za jej plecami znowu rozległo się to nieprzyjemne dreptanie, jakby ktoś tym razem znajdował się znacznie bliżej.

Phi, to nic takiego!

Ale wieczór, tu wśród drzew, też pociemniał.

- Przestańcie! - krzyknęła histerycznie w nicość, bo przecież na ścieżce za nią nic nie było. Ale ten odgłos kroków był taki straszny.

Musi zadzwonić do Alonza, dać mu znać, żeby został w Hiszpanii, bo teraz i ona musi tam wyjechać. Nie może już dłużej mieszkać w tym idiotycznym kraju, z groźbą tego głupiego redaktora wiszącą nad głową. Co to za nudny typ! Na pewno do niczego się nie nadaje w łóżku. Ale przecież i tak mieli działać w Hiszpanii, na co więc czekać tutaj? Wprawdzie ta banda Vargasów posiada informacje, które Emmie i jej kompanom bardzo by się przydały, ale na pewno i bez tego sobie poradzą.

Co znowu?

Emma się zatrzymała. Przed nią na ścieżce stało dwoje młodych ludzi.

Co to za typy? Przebrani jak na karnawał? Ale co się stało z ich twarzami? To jakaś straszna choroba skóry! Może epidemia? Ospa? Nie, nie, już nie istnieje. Dżuma? Nie, nie tutaj. W dzisiejszych czasach mało gdzie można się na nią natknąć.

To wyglądało naprawdę okropnie.

Zaczęli się zbliżać.

Nie, nie podchodźcie do mnie!

Młoda dziewczyna wyciągnęła do niej rękę, chciała dotknąć jej twarzy. Emma

uderzyła w krzyk.

Tuż obok odchodziła w bok jakaś ścieżka. Emma wbiegła na nią, ale dreptanie wciąż dochodziło zza jej pleców. A więc to te dzieciaki tak ją prześladowały? Potem przekradły się i zaszły ją od przodu.

Na pomoc!

Emma postanowiła wysłać sygnały wzywające mnichów. Nie miała już dłużej siły. Wkrótce usłyszała ich przenikliwe ptasie krzyki. A więc jest ocalona!

Mnisi jednak się nie zjawiali.

Zerknęła przez ramię. Te straszne zadżumione dzieciaki wciąż tam były. Blisko.

Emma biegła, ile sił w nogach.

Przyjdźcie mi z pomocą, do diabła, przekłete wrony!

Podobno, podobno zostało ich już tylko siedmiu.

To niemożliwe, przecież na początku był ich okrągły tuzin! Tymczasem jeden po drugim zaczęli znikać, a teraz nie chcieli pomóc swej władczyni, chociaż tak ich potrzebowała.

Emma zatrzymała się jak wryta.

Znów miała przed sobą to paskudne różowe domiszcze.

To znaczy, że biegła w koło. Ruszyła zdradziecką ścieżką, która zawiodła ją wprost w pułapkę. Spojrzała do tyłu, dzieciaki, dzięki Bogu, zniknęły.

Ale oto w jej stronę idzie Jordi. O, nie, nie zgodzi się niczego podpisywać!

Emma zawróciła i drgnęła gwałtownie, wydając z siebie niekontrolowany przerażony wrzask. Ścieżkę zagradzał jej olbrzymi koń, niosący na swym grzbiecie upiornego rycerza w zbroi i narzuconej na nią mnisiej opończy. Po obu jego stronach stały te dzieci.

- Niczego nie próbujcie! - zawołała. - Moi mnisi was dopadną!

Jordi podszedł już do niej.

- Chodź ze mną, Emmo. Mnisi nie przybędą.

- Oczywiście, że przybędą, słuchają mnie we wszystkim. A ty lepiej uważaj! Chcą dopaść właśnie takich jak ty!

Jordi powiedział spokojnie:

- Kiedy siadłaś w tym wiklinowym fotelu, znak, który narysowaliśmy sadzą na jego oparciu, odbił się na plecach twojej jasnej kurtki. Mnisi unikają tego znaku jak zarazy.

Emma zaczęła skakać w koło, jak gdyby usiłowała w ten sposób obejrzeć swoje plecy, a w końcu ściągnęła kurtkę i zobaczyła znak. Jej krzyk poniósł się między drzewami. Cisnęła kurtkę głęboko w krzaki.

- Teraz jestem już wolna! - zawołała do nieba.

- To się na nic nie zda, Emmo - stwierdził Jordi ze spokojem. - Widzisz, na dachu domu również narysowany jest znak.

- A co ich to obchodzi? Zresztą tu, w lesie, jestem swobodna. Mnisi są moimi niewolnikami, zrobią dla mnie wszystko. Odziedziczyłam ich po Leonie, oni wołają mnie, są w pobliżu, usłyszałam...

Jordi przerwał jej gadaninę.

- Chodź teraz ze mną. Ci młodzi mają dżumę, bardzo łatwo się nią zarazić. Ta choroba oszpeca. Zabija.

- Nie wygaduj głupstw! To wszystko tylko omamy, dobrze o tym wiem. Mogę przebiec przez tego konia, zobacz!

Bang! Wpadła na pierś konia i przerażona zaczęła się cofać. Jordi poprowadził ją w stronę schodów. Emma opierała się jak pięciolatka, która musi iść do dentysty.

- Nie, niczego nie podpiszę. Zniszczyłam ten papier! Pojawił się dziennikarz.

- Nic nie szkodzi. Mam jeszcze jeden - oświadczył z uśmiechem, kładąc na ogrodowym stole nową kartkę. - Proszę, tu jest długopis.

- Nigdy w życiu!

- Wobec tego porozmawiamy z policją o tych podpaleniach!

Z Emmy spłynęła cała politura, ukazując tę osobę, którą była naprawdę: wnuczką wulgarnej Emilii.

- Gównu mnie to obchodzi! Nie zdołacie mnie za to wsadzić do więzienia! Mam przyjaciół w policji, zaraz mnie wypuszczą!

Jordi skinął ręką i po obu stronach Emmy pojawiły się dzieci. Dziewczynka niemal dotknęła jej twarzy.

- Och, nie, nie! - zaszlochała Emma. - Tylko nie moja twarz, dajcie mi ten przeklęty długopis!

Don Galindo z wysokości grzbietu swego karego narowistego rumaka spoglądał na Emmę, drżącą ze wzburzenia. Nie do końca zdołał ukryć uśmiezek, igrający mu w kącikach ust.

Dziewczyna z wściekłością, przez którą końcówka długopisu przebiła papier, napisała swoje nazwisko pod całym tym fatalnym oświadczeniem, a następnie cisnęła długopis w twarz dziennikarzowi.

Z oczu Jordiego posypały się błyskawice.

Emma poderwała się i wybiegła. Na piasku przewróciła się na swych wysokich obcasach, ale zaraz się podniosła.

- Nie wszędzie jest ten znak! - zawołała groźnie, oddalając się tyłem. - Mam potężnych sprzymierzeńców, dobrze o tym wiecie, i nadejdzie wreszcie taki dzień, kiedy was dopadną. Pomszczą moją krzywdę!

- Im przede wszystkim chodzi o ratowanie własnej skóry! - odkrzyknął Jordi. - Chyba wiesz, że nie zostało ich już tak wielu!

- Wystarczy!

- I czy nie większą krzywdą jest niszczenie komuś życia podłymi wstrętnymi oszczerstwami?

- Niszczenie komuś życia? A co zrobiliście z moim?

- Sama się o to prosiłaś!

Teraz Emma zrobiła się naprawdę wulgarna, jak często bywa, gdy wyczerpują się argumenty.

- Zamknij pysk, ty przeklęty wykastrowany kocurze! Pożałujecie tego jeszcze! Ach, do diabła, jak pożałujecie!

Zniknęła wśród drzew.

- Tak naprawdę Emma miała rację - powiedział Jordi cicho. - To był paskudny szantaż.

- Jedyne sposobem na uratowanie dobrej sławy wielu ludzi. Pojawił się Antonio, kuśtykając na jednej nodze, opierał się na kuli. Dziennikarz pomógł mu zejść po schodach.

Rycerz i para młodych ludzi nie ruszali się z placyku przed domem. Twarze młodych były teraz gładkie i śliczne jak za życia.

Trzej mężczyźni ze współczesności z szacunkiem pochylili głowy, a Jordi odezwał

się:

- Dziękujemy wam, dono Elviro i donie Rodriguezie, i tobie, donie Galindo. Odegraliście doskonale przedstawienie. Aż trudno powiedzieć, jak wiele to dla nas znaczyło.

Don Galindo uśmiechnął się gorzko z wysokości końskiego grzbietu, a Jordi zaraz przekazał towarzyszom jego myśli:

„Tę sztuczkę z dżumą młodych zawdzięczamy mądrej Urrace. Wielką przyjemność sprawiło nam to wszystkim czworgu. Wiemy, że złej plotce prawie nie da się zaprzeczyć ani też o niej zapomnieć. Tymczasem to osiągnęliśmy”.

Antonio rzekł z szacunkiem:

- Przekażcie moje ciepłe pozdrowienia i podziękowania doni Urrace. Nigdy nie zapomnę tego toastu, który razem wznieśliśmy w górach.

„Ona również - odparł don Galindo. - Mówiła, że dawno już nie piła z tak przystojnym młodym mężczyzną”.

- Dziękuję - powiedział Antonio.

„I... - ciągnął don Galindo - nasza droga przyjaciółka ucieszy się również, że tytułujecie ją zgodnie z przynależnym jej honorem z racji urodzenia. Zbyt wielu już o tym zapomniało, nazywając ją czarownicą. A teraz żegnajcie! Uważajcie na siebie, bo jesteście nam potrzebni. Strzeżcie się chytrych planów naszych wrogów. Przede wszystkim zaś po tym jakże trudnym przerywniku, związanym z pozbyciem się pojemnika z trucizną mnichów, który tak bardzo nas wszystkich wyczerpał... wróćcie do głównego zadania. Czas płynie!”

Troje przybyszów z przeszłości rozwiało się w powietrza Dziennikarz nagle uświadomił sobie, że na długą chwilę wstrzymał oddech.

- Musicie mi pozwolić napisać o tym spotkaniu!

- Ani słóweczka - oświadczyli bracia chórem. - Później, kiedy to wszystko już się skończy. Obiecujemy.

- Za to zachowanie Emmy możesz opisać dokładnie - zaśmiał się Antonio, nie bez złośliwej radości w głosie.

- Nienawidzę tego! - krzyczała Unni. - Nienawidzę tego, nienawidzę!

Jordi stanął akurat w drzwiach pokoju na poddaszu.

- Czego tak...

Reszta zdania zatonąła zduszona w materiale. Jordi musiał wyplątywać się z prześcieradła.

- Przepraszam - powiedziała Unni, chichocząc. - Nie zauważyłam, że idziesz.

- A czego tak gorąco nienawidzisz?

Unni znów się rozzłościła, ale nie na niego.

- Nienawidzę zmieniać poszwy na kołdrę! Chyba nie ma drugiej takiej rzeczy na świecie, której tak bardzo nie lubię robić. Zobacz, cała kołdra leży skłębiona pośrodku i ani jeden róg nie pasuje.

- Ja to zrobię - powiedział Jordi z uśmiechem. - Zobacz, już!

Unni aż otworzyła usta ze zdziwienia.

- Takie rzeczy też potrafisz?

- Wykonywałem różne prace.

Unni o tym wiedziała. Jordi przyjmował najprzeróżniejsze zlecenia, te najlepiej płatne lub takie, które w ogóle mógł znaleźć, po to, żeby młodszy brat mógł studiować i zostać lekarzem.

I osiągnął swój cel, Antonio miał przed sobą tylko jeszcze kilka miesięcy nauki. Ale Jordi? Kim on został?

Został po prostu Jordim.

Unni poczuła, jak wzbiera w niej miłość, i pocałowała go w policzek tak prędko, że prawie nie zdążyła poczuć jego lodowatego chłodu. Uśmiechnął się do niej.

- W każdym razie mam ogromny szacunek dla ludzi, którzy pracują w hotelach i codziennie muszą zmieniać pościel na wielu łóżkach - powiedziała Unni. - I jak wam się powiodło z Emmą?

Emma się pakowała. Zamówiła bilety lotnicze na następny dzień rano, nie miała czasu do stracenia. Zbierała rzeczy we wściekłym tempie, zrywała ubrania z wieszaków, nawet dzwoniąc do Alonza, drugą ręką nie przestawała się pakować.

Na jej oświadczenie, że przyjeżdża już jutro, Alonzo odczuł ulgę, bo wciąż nie miał pojęcia, w jaki sposób zdoła wydostać się z Hiszpanii. A czego miał szukać w zimnej Norwegii, skoro Emma przyjedzie tutaj? Tu przynajmniej znał wiele kryjówek, w których mogli mieszkać za pieniądze Leona. A co z Kennym, Tommym i Rogerem? Gwizdź na nich, Alonzo, kochanie, teraz liczymy się tylko my. Ach, do diabła, gdzie ten drugi but? Będzie nam naprawdę cudownie.

Ale chyba potrzeba nas więcej?

Sprzymierzeńcy Leona wyszli już pewnie z więzienia?

Tego Alonzo nie wiedział, lecz obiecał, że sprawdzi. Ostrożnie, w taki sposób, żeby jego przy tym nie złapali. Przyrzekł wyjść po nią na lotnisko.

Żegnaj, Norwegio! Róbcie tu sobie, co chcecie, pomyślała Emma triumfalnie, jadąc

przez Oslo w drodze na lotnisko Gardermoen.

Bracia Vargasowie i ta ich głupia banda wciąż mają informacje o tym, gdzie znajduje się skarb, choć najwyraźniej sami nie zdają sobie z tego sprawy. Lecz ona z Alonzem na pewno i bez nich sobie poradzą. Leon wiedział całe mnóstwo, ledwie im o tym wspomniał. Odwiedzą go w jego kryjówce w Hiszpanii i wydrą z niego wszystkie tajemnice. Leon to głupek, Alonzo i ona... Nie, ona sama. Alonzo nie jest geniuszem. Sama odkryje tajemnice Leona.

Jeszcze w taksówce otworzyła gazetę, przewróciła kilka stron.

Wstrząs zabarwił jej twarz na czerwono.

Przecież to jej zdjęcie!

W gazecie ogólnokrajowej!

Sądziła, że chodzi o lokalną gazetę.

A oto całe jej oświadczenie, w ramkach! Na widocznym miejscu! I na dodatek jej najładniejsze zdjęcie!

Pod oświadczeniem jej nazwisko!

Emma czym prędzej złożyła gazetę. Siedziała nieruchomo, udając że wygląda przez okno, a serce waliło jej jak szalone.

Kierowca?

Ciekawe, czy on to czytał?

Nie śmiała już więcej z nim rozmawiać.

Stojąc w kolejce do okienka, starała się zakrywać twarz, jak tylko się dało. Po drodze do hali tranzytowej nie patrzyła na nikogo. Potem weszła do toalety i tam czekała, aż wywołają jej samolot.

Dookoła chodzili ludzie i czytali poranną prasę.

Dzięki Bogu, jest już na pokładzie samolotu!

Mogła wreszcie spokojnie usiąść. Była ocalona.

- Gazety?

To stewardesa ze swoim wózkiem. Emma miała ochotę wymierzyć jej porządnego kopniaka.

Czy ktoś nie szepcze tam z boku, za jej plecami? Czy nikt się nie śmieje?

Bała się odwrócić.

A jeśli będzie musiała iść do toalety? To przecież na samym końcu, trzeba minąć wszystkie rzędy siedzeń!

Nigdy w życiu! Będzie musiała wytrzymać.

Gorzko tego pożałują!

- Za tydzień wyjeżdżamy do Hiszpanii - powiedział Jordi do Unni. - Do tego czasu Antonio odzyska już zdrowie na tyle, żeby móc nam towarzyszyć.

- Tak, on musi być z nami - oświadczyła zdecydowanie Unni.

- Rycerze również są tego zdania. Mają niezłomną wiarę w „medyka”.

- Ale czy to nie będzie miało wpływu na jego naukę?

- Dostał zwolnienie, dopóki kolano nie wydobrzeje, a na razie jeszcze nie musimy zdradzać, że jest lepiej.

- Kto oprócz niego pojedzie?

- Zobaczymy. To zależy od wielu rzeczy. Wiem na pewno, że musi nam towarzyszyć Pedro, co do innych nie mam jeszcze zdania.

Vesla, Gudrun i Morten... Rzeczywiście trzeba rozważyć wiele za i przeciw. Wiadomo już natomiast, że Jørn zostanie przy swoim komputerze i postara się kontrolować sytuację od tej strony.

Unni wypełniło ciepłe, przyjemne uczucie. Przy jej imieniu nikt nie stawiał znaku zapytania, nawet rycerze.

- Było wiele telefonów w związku z tą wstrząsającą notatką w gazecie. Mama i ojciec bardzo wam dziękują. Na szczęście nie słyszeli żadnych plotek o mnie, bo wiesz, ludzie potrafią być delikatni wobec krewnych. Otrzymałam również przeprosiny z urzędu pracy i z różnych firm za te odmowy, które dostałam. Dzwonili też do Antonia ze szpitala, nie kryjąc radości. Oczywiście, odezwało się także wielu ciekawskich.

Jordi uśmiechnął się ze smutkiem.

- Matka Vesli nie zrozumiała z tego ani odrobiny. Miała okazję spotkać kiedyś Mortena, a teraz powiedziała: „On nie wygląda na kogoś, kto zdołałby kogokolwiek zaciągnąć do łóżka, a tu gwałt? Nie mógł jakoś zapanować nad tym swoim... „ Jakie to podobne do niej tak wszystko poplątać!

- Vesla musiała mieć naprawdę wspaniałego ojca - stwierdziła Unni, uśmiechając się wieloznacznie.

- To prawda, jego geny musiały być dominujące. A co z pamiętnikami Estelli?

- Przepisuję je teraz na maszynie. Pomyślałam, że kiedy skończę, moglibyśmy zebrać się w pokoju Vesli i Antonia. Możemy je czytać na głos, a on będzie sobie leżał jak basza turecki, przyjmował winogrona i słodycze od swojej Vesli.

- Świetny pomysł, ale nie boisz się tego? Ta siedemnastowieczna dama była doprawdy

swawolna.

- Zahartowałam się. W tej grupie trzeba umieć wiele znieść!

Gdzieś daleko surowy, niemal zasuszony mężczyzna siedział w fotelu i uśmiechał się, lecz jego uśmiech był jedynie wąską kreską na kościstej twarzy.

- Doskonale, że są nowe informacje. Dzięki za nie - powiedział swemu asystentowi. - Wkrótce powinniśmy być już gotowi do wyjazdu na północ Hiszpanii.

- Grupa Leona się rozpada, ich nie musimy się już bać.

- Owszem, lecz są tamci. Ciągłe się potykają, ale jakoś stają na nogi. Musimy bacznie uważać na to, co robią.

- Tak, żebyśmy mogli ich uprzedzić. Mamy przecież coś, czego oni nie mają. „Baśnie” Santiago.

Zgromadzili się więc wokół łóżka Antonia. Vesla, Gudrun, Pedro, Morten, Jordi i Unni.

Napięcie było wielkie. Unni pozwolono jako pierwszej odczytywać zapiski, które miały im przynieść pozostającą dotąd w ukryciu wiedzę:

Opowieści grzesznej Estelli.